

WIELKIE SERIE SF

TIMOTHY ZAHN

tom II cyklu

KOBRZY AVENTINY


AMBER

Timothy Zahn

Kobry Aventiny

Tom drugi cyklu „Kobra”

* * *

Jonny Moreau razem z innymi Kobrami służy Dominium Ludzi, ochraniając przed niebezpieczeństwami osadników z nowej kolonii na Aventynie. W obliczu buntu swoich kolegów musi podjąć decyzję, od której może zależeć jego przyszłe życie. Chcąc skutecznie bronić interesów powierzonych jego opiece ludzi, Jonny zostaje politykiem, a w obliczu zagrożenia ze strony Troftów wykazuje, że potrafi rozwiązywać problemy nie tylko przy użyciu siły...

* * *

Lojalista: 2414

Granica między polem a lasem była prosta jak promień światła lasera. Gigantyczne, błękitnozielone cyprysowce rosły tuż za szeroką na pół metra, jaskrawopomarańczową ochronną barierą oddzielającą pierwsze delikatne kielki pszenicy od rodzimej flory Aventyny. Czasem, kiedy był w filozoficznym nastroju, Jonny widział w tym wieloaspektowym porządku wzajemne oddziaływanie sił *jin i jang* : wysokie walczyło z niskim, stare z młodym, a rodzime ze sprowadzonym przez człowieka. W tej chwili jednak ani w głowie mu było jakiegokolwiek filozofowania.

Podnosząc wzrok znad kartki, Jonny popatrzył na chłopca, który mu ją przyniósł i stał teraz przed nim wyprężony na baczność w postawie uznawanej w wojsku za zasadniczą.

– I co to wszystko ma znaczyć? – zapytał, lekko machając kartką.

– Powiedziano mi, że ta wiadomość nie będzie wymagała żadnych komentarzy, proszę pana... – zaczął chłopiec.

– To wiem, potrafię przecież czytać – przerwał mu Jonny. – Ale jeśli jeszcze raz odezwiesz się do mnie „proszę pana”, Almo, to obiecuję ci, że powiem o wszystkim ojcu. Chodziło mi o to, dlaczego Challinor wysyłał cię w tak długą drogę, jeśli tylko zamierzał zawiadomić mnie o spotkaniu. Do tych celów już dawno wymyślono przecież inne sposoby.

Poklepał słuchawkę miniaturowego telefonu umieszczonego w kieszeni na biodrze.

– Ce-dwa Challinor nie chciał ryzykować, że dowie się o tym ktoś niepowołany, proszę pana... eee, Jonny – poprawił się pospiesznie chłopiec. – Powiedział mi, że w tym spotkaniu mają brać udział tylko Kobry.

Jonny przyglądał się przez dłuższą chwilę twarzy chłopca, a później złożył kartkę i wsunął ją do kieszeni spodni. Bez względu na to, co planował Challinor, straszenie jego wysłannika nie miałooby żadnego sensu.

– Możesz powiedzieć Challinorowi, że najprawdopodobniej przyjadę – powiedział więc tylko. – Niedawno kręcił się tu na skraju lasu kolczasty lampart. Je-

żeli nie zabiję go teraz, wieczorem będę musiał jechać jako strażnik na siewniku China.

– Ce-dwa Challinor powiedział, iż powinienem zwrócić ci uwagę na fakt, że to spotkanie jest bardzo ważne.

– Tak samo, jak słowo, które dałem. Obiecałem Chinowi, że dzisiaj wieczorem będzie mógł posiać drugą partię ziarna. – Jonny sięgnął po mikrotelefon. – Jeśli chcesz, sam zadzwonię do Challinora i powiem mu, co o tym myślę – zaproponował.

– Nie, już wszystko w porządku – odparł pospiesznie Almo. – Sam mu powiem. Dziękuję, że zechciałeś poświęcić mi tyle czasu.

Obrócił się na pięcie i ruszył przez pole w kierunku czekającego na niego samochodu.

Jonny stwierdził, że się uśmiecha, ale uczucie rozbawienia minęło bardzo szybko. W tej części Aventyny nie widywało się wielu nastolatków – pierwsze dwa transporty osadników byli to ludzie bezdzietni, a w kolejnych dwóch sprowadzono zbyt mało dzieci, aby ten niedobór wyrównać. Jonny czuł w sercu ukłucie bólu na myśl o tym, jak bardzo Almo i jego rówieśnicy przeżywają to przymusowe osamotnienie. Pocieszał się tylko, że pewien wzór dla chłopców mogło stanowić czterech żołnierzy z oddziału Kobra przydzielonych do miasteczka Thanksgiving, w którym mieszkał Almo. Jonny był rad, że mały zaprzyjaźnił się z Torseem Challinorem. Przynajmniej cieszył się z tego aż do tej chwili. Teraz nie był już tego taki pewien.

Samochód z Almem w środku odjechał, wzniesając tylko niewielki obłok kurzu, a Jonny odwrócił się i zaczął obserwować górujące nad nim wielkie drzewa. Pomyślał, że intrygą Challinora w stylu płaszcza i lasera pomartwi się nieco później. Teraz miał do zabicia kolczastego lamparta. Upewniwszy się, że przytroczone do pasa ekwipunek będzie bezpieczny, przekroczył ochronną barierę i wszedł do lasu.

Pomimo siedmiu lat spędzonych na Aventynie, ilekroć spoglądał na baldachim z dziwacznych liści, zamieniający dzień w przeniknięty rozproszonym światłem półmrok, czuł coś w rodzaju grozy. Już dawno doszedł do wniosku, że jedną z przyczyn takiego lęku musiała być długowieczność drzew. Drugą stanowiła świadomość tego, jak niewiele naprawdę wiedział człowiek o planecie, którą tak niedawno uznał za swoją własność. Las tętnił życiem roślin i zwierząt, a ludzie ani ich nie rozumieli, ani nawet nie znali. Włączywszy wzmacniacze wzroku i słuchu, Jonny zagłębił się w gęstwinę, starając się spoglądać na wszystkie strony naraz.

Wyjątkowo głośny trzask gałązki rosnącego za jego plecami drzewa był jedynym ostrzeżeniem, ale Jonny żadnego innego nie potrzebował. Jego nanokomputer prawidłowo zinterpretował ten dźwięk i doszedł do wniosku, że stanowi zagrożenie. Zanim Jonny miał czas sobie to uświadomić, władzę nad mięśniami przejęły serwowmotory, odrzucając go na bok w tej samej chwili, w której cztery komplety pazurów przecięły dopiero co opuszczone przez niego miejsce. Jonny przekoziółkował po ziemi kilka razy – o włos unikając zetknięcia się z drzewem porośniętym lepką winoroślą – a potem przykucnął. Kątem oka zauważył, że lampart wyprężył się do drugiego skoku. Dostrzegł ostre jak igły, schowane w futrze przednich łap kolce – i ponownie władzę nad jego ciałem przejął komputer.

Jedyną bronią, jaką Jonny dysponował, stojąc na odsłoniętym kawałku gruntu, były lasery w opuszkach małych palców. Komputer, nakazując mu wykonać kolejny unik, wykorzystał tę broń ze śmiertcionośną dokładnością. Z palców Jonny'ego wystrzeliły dwie nitki światła, omiatając łeb obcego stwora z prawej strony na lewą i z powrotem.

Kolczasty lampart zawył z bólu, a Jonny, słysząc ten przeraźliwy skowyt, miał wrażenie, że wywracają mu się wnętrzności. Lampart tymczasem odruchowo wysunął na boki i do przodu swoje kolce, ale ten odruch nie odniósł zamierzonego skutku, gdyż Jonny już dawno zdążył usunąć się z zasięgu ich ostrzy i szpiców. Ponownie upadł na ziemię, ale tym razem nie przekoziółkował ani nie wstał. Spoglądając przez ramię, zobaczył, że kolczasty zwierz usiłuje się podnieść, niepomny na ciemne, wypalone na futrze łba pręgi i na uszkodzenia mózgu, jakie musiały się dokonać. Podobne rany z pewnością zabiłyby człowieka, ale zdecentralizowany metabolizm stworzenia z innego świata zapewne był mniej podatny na takie obrażenia. Stwór dźwignął się na łapy, ale nie schował kolców...

W tej samej chwili trafił go w łeb strzał z przeciwpancernego lasera Jonny'ego... tym razem rany okazały się bardziej niż wystarczające.

Jonny ostrożnie wstał, krzywiąc się na widok nowych zadrapań i otarć zdobytych w czasie ostatniej walki. W kostce czuł ciepło nieco większe niż powinien po pojedynczym strzale z przeciwpancernego lasera. Było to, co od dawna podejrzewał, uczulenie na wysoką temperaturę wywołane zbyt intensywnym używaniem tej broni podczas ucieczki z rezydencji Tylera.

Wyglądało więc na to, że nawet na Aventynie nie mógł się całkiem pozbyć pamiętek z okresu wojny.

Rozejrzawszy się jeszcze raz, wyciągnął telefon i wystukał numer operatora.
– Ariel – odezwał się głos z komputera.

– Połącz mnie z Chinem Restonem – powiedział Jonny. Po chwili usłyszał w słuchawce głos farmera:

– Tu Chino Reston.

– Mówi Jonny Moreau, Chino. Zabiłem twojego kolczastego lamparta. Mam nadzieję, że nie chciałeś go wypchać... musiałem niemal zwęglić mu łeb.

– Do diabła z łbem. Czy nic ci się nie stało? – Jonny uśmiechnął się.

– Za bardzo się przejmujesz, wiesz o tym? Nie, nic mi się nie stało, nie dałem się nawet drasnąć. Jeśli chcesz, zostawię przy nim włączony nadajnik z sygnałem namiarowym, żebyś mógł przyjść i ściągnąć skórę, kiedy zechcesz.

– Dobry pomysł. Dziękuję bardzo, Jonny... naprawdę doceniam to, co zrobiłeś.

– Drobiazg. Pogadamy później.

Jonny nacisnął przycisk przerywający połączenie, a potem ponownie połączył się z operatorem.

– Z Kennetem MacDonaldem – powiedział komputerowi.

Tym razem przez dłuższą chwilę w słuchawce panowała zupełna cisza.

– Nie zgłasza się – poinformował go w końcu komputer.

Jonny zmarszczył czoło. Podobnie jak wszystkie Kobry na Aventynie, MacDonald nie powinien rozstawać się z telefonem. Być może więc znajdował się gdzieś w lesie lub robił coś równie niebezpiecznego i nie chciał, aby cokolwiek odwracało jego uwagę od pracy.

– Zarejestruj wiadomość – polecił.

– Rejestruję.

– Ken, tu Jonny Moreau. Połącz się ze mną, kiedy będziesz mógł, najlepiej jeszcze przed wieczorem.

Wyłączywszy telefon, Jonny umieścił go na poprzednim miejscu, a spod spodu swej podręcznej torby wyjął jeden z dwóch miniaturowych radionadajników. Uruchomił go za pomocą mikroskopijnego przełącznika, podszedł do zabitego lamparta i umieścił na jego grzbiecie. Przez chwilę patrzył na martwego stwora, przyglądając się zwłaszcza kolcom w przednich łapach. Wszyscy awentińscy biolodzy jednomyślnie twierdzili, że ich rozmieszczenie, kierunki wysuwania i wymiary czyniły z nich raczej broń obronną niż zaczepną. Jedyne kłopot polegał na tym, że jak dotąd nikt nie stwierdził na planecie obecności jeszcze groźniejszych zwierząt, przeciwko którym lampart miałby używać swoich kol-

ców. Jonny pomyślał, że nie chciałby być świadkiem odkrycia pierwszej z tych nieznanych bestii.

Włączywszy ponownie wzmacniacze wzroku i słuchu, odwrócił się i zaczął przedzierać przez gąszcz w kierunku wyjścia z lasu.

MacDonald zadzwonił do niego późnym popołudniem, gdy Jonny rozglądał się właśnie po spiżarni w poszukiwaniu czegoś, co mógłby przyrządzić na obiad.

– Przepraszam, że kazałem ci tak długo czekać – powiedział przedstawivszy się. – Większość dnia spędziłem w lesie w okolicach rzeki. Wyłączyłem telefon.

– Nic nie szkodzi – odparł Jonny. – Polowałeś na kolczaste lamparty?

– Tak. Jednego udało mi się zabić.

– Mnie także. To musi być ich jakaś kolejna migracja, bo zazwyczaj nie docierają aż tak szybko do obszarów zagospodarowanych przez nas. Sądzę, że przynajmniej przez jakiś czas będziemy mieli mnóstwo pracy.

– No cóż, ostatnio życie stawało się trochę nudne. Czego właściwie ode mnie chciałeś?

Jonny zawahał się przez chwilę. Możliwe, że naprawdę istniał jakiś ważny powód, dla którego Challinor nie chciał powiadamiać ich przez radio o planowanym spotkaniu.

– Czy przypadkiem nie dostałeś dzisiaj jakiejś niezwyklej wiadomości? – zapytał wymijająco.

– Prawdę mówiąc, dostałem. Chcesz, żebyśmy się spotkali i pogadali na ten temat? Poczekaj chwilę, Chrys chce mi coś powiedzieć.

Przez chwilę było słycać niewyraźny głos, mówiący coś z dala od mikrofonu.

– Chrys proponuje, że moglibyśmy obaj wpaść do niej na obiad za jakieś pół godziny.

– Przykro mi, ale właśnie zacząłem coś gotować – skłamał Jonny. – Może wpadnę trochę później, jak zjem i posprzątam?

– Wspaniale – zgodził się MacDonald. – Powiedzmy, około siódmej? Później moglibyśmy wybrać się we dwóch na małą przejażdżkę.

Spotkanie u Challinora zostało zaplanowane na pół do ósmej.

– Dobry pomysł – powiedział Jonny. – A zatem do zobaczenia o siódmej.

Odłożywszy słuchawkę, schwycił ze spiżarni pierwszą lepszą opakowaną porcję, rozwinął ją i umieścił w swojej mikrofalówce. Z przyjemnością skorzystałby z zaproszenia na obiad – MacDonald i Chrys Eldjarn należeli do jego najlepszych przyjaciół – i zrobiłby to bez wahania, gdyby ojciec Chrys, chirurg, nie wyjechał z miasta, wezwany do przeprowadzenia niespodziewanej operacji. Chrys i MacDonald od bardzo dawna stanowili parę, ale nie mieli wielu okazji do przebywania sam na sam, a Jonny nie zamierzał pozbawiać ich takiej okazji właśnie teraz. Ani Jonny, ani MacDonald nie mieli zbyt wiele wolnego czasu, bo jako jedyne tutejsze Kobry musieli strzec czterystu sześćdziesięciu kolonistów z Ariel przed fauną Aventiny, a czasem też bronić któregoś osadnika przed napaścią innego.

A poza tym – pomyślał z kwaśną miną – częstsze przebywanie w zasięgu uśmiechu Chrys tylko by go kusiło, aby ponownie spróbować ją MacDonalldowi odbić, a nie widział żadnego sensu w narażaniu się mu w taki głupi sposób. Ich przyjaźń była czymś zbyt cennym, aby miał ryzykować, że może ją utracić.

Przyrzędził sobie – jak na jego zwyczaje bez pośpiechu – obiad i dokładnie o siódmej znalazł się przed domem Eldjarnów. Chrys wpuściła go do środka, obdarzając jednym ze swoich olśniewających uśmiechów, i poprowadziła do salonu, w którym, siedząc na tapczanie, czekał już na niego MacDonald.

– Straciłeś wspaniałe danie – odezwał się na jego widok, wskazując mu krzesło, aby usiadł.

– Jestem pewien, że godnie mnie zastąpiłeś – odparł Jonny z lekką ironią.

MacDonald był od niego o głowę wyższy i znacznie bardziej krępy, a jego umiejętność pochłaniania dużych ilości jedzenia znano w całej okolicy.

– Staralem się jak mogłem. Pokaż mi teraz tę wiadomość, którą otrzymałeś.

Jonny wy dostał z kieszeni kartkę i wręczył MacDonalldowi. Tamten przeczytał ją szybko, a potem podał Chrys, która z podkurczonymi nogami usiadła na tapczanie obok niego.

– Dostałem identyczną – stwierdził MacDonald. – Masz pojęcie, o co może chodzić? Jonny potrząsnął głową.

– Od ostatnich kilku miesięcy „Dewdrop” bada najbliższe systemy gwiazdne – powiedział. – Czy sądzisz, że mogli znaleźć coś ciekawego?

– Ciekawego czy niebezpiecznego? – zapytała cicho Chrys.

– To możliwe – odpowiedział jej MacDonald. – Można dojść do takiego wniosku, sądząc po tym, że wiadomość jest przeznaczona tylko dla Kobr. Ja jednak w

to nie wierzę – dodał, zwracając się do Jonny'ego. – Gdyby to miała być narada wojenna czy coś w tym rodzaju, powinniśmy wszyscy spotkać się w Capitalii, a nie w Thanksgiving.

– Chyba że do każdej osady przesyłają inny fragment informacji – zasugerował Jonny. – To jednak wykluczałoby ją z kategorii wieści bardzo pilnych. A jeśli już o tym mowa, kto przyniósł ci tę wiadomość? Almo Pyre?

MacDonald kiwnął głową.

– Wyglądał na strasznie przejętego swoją misją. Chyba że cztery razy zwrócił się do mnie formalnie jako do ce-dwa MacDonalda.

– Do mnie też. Czyżby Challinor chciał powrócić do starego systemu stopni wojskowych, czy może chodzi tu o coś innego?

– Nie mam pojęcia. W Thanksgiving nie byłem od kilku tygodni. MacDonald popatrzył na zegarek.

– Myślę, że już najwyższy czas nadrobić to niedopatrzenie. Pojedźmy tam i zobaczymy, czego może chcieć od nas Challinor.

– Wróćcie i powiedzcie mi, o co chodziło – odezwała się Chrys, kiedy wszyscy wstali.

– Może być bardzo późno, jak wrócimy – ostrzegł MacDonald, całując ją na pożegnanie.

– Nic nie szkodzi. Ojciec też wraca dziś nocą, więc z pewnością nie będę jeszcze spała.

– No, to świetnie. Chodź, Jonny, samochód czeka.

Thanksgiving znajdowało się o dobre dwadzieścia kilometrów na pomocny wschód od Ariel. Można było się tam dostać polną, chronioną po obu stronach przez bariery drogą, która jak dotąd była czymś normalnym w nowo zasiedlanych przez ludzi częściach Aventiny. Prowadził MacDonald, omijając zręcznie najgorsze dziury w nawierzchni i unikając gałęzi drzew, które czasami sterczały ze zbitej ściany lasu to z lewej, to znów z prawej strony.

– Pewnego dnia z jednej z takich gałęzi zeskoczy na dach samochodu jakiś kolczasty lampart i przeżyje największą niespodziankę swojego życia – stwierdził MacDonald.

Jonny zachichotał.

– Myślę, że są na to zbyt mądre. A jeśli już mowa o mądrych posunięciach, to czy ty i Chrys ustaliliście już jakąś datę?

– Hmm... właściwie jeszcze nie. Sądzę, że obydwójce chcemy się upewnić, czy naprawdę do siebie pasujemy.

– No cóż, moim zdaniem musiałbyś być szalony, gdybyś zmarnował taką szansę. Nie jestem jednak pewien, czy Chrys mógłbym powiedzieć to samo.

MacDonald parsknął.

– Serdeczne dzięki. Za takie rady powinienem kazać ci wracać pieszo do domu.

Dom Challinora znajdował się na przedmieściach Thanksgiving, a z okien było widać otaczające osadę uprawne pola. Na podjeździe stały już dwa zaparkowane samochody. Kiedy wysiedli i ruszyli w stronę domu, drzwi wejściowe się otworzyły i stanął w nich szczupły mężczyzna ubrany w kompletny mundur Kobry.

– Dobry wieczór, Moreau, witaj MacDonald – odezwał się do nich chłodno. – Spóźniliście się o dwadzieścia minut.

Jonny wyczuł, jak idący za nim MacDonald zeszywniał, więc pospieszył się, aby nie dać mu dojść do głosu.

– Cześć, L'est – powiedział beztrosko, wskazując na strój tamtego. – Nie wiedziałem, że to ma być bal przebierańców.

Simmon L'est uśmiechnął się z przymusem. Była to maniera, w której starannie odmierzana protekcyjność zawsze Jonny'ego drażniła. Niemniej spojrzenie L'esta dowodziło, że kąśliwe stwierdzenie odniosło zamierzony skutek. MacDonald musiał to także dostrzec, gdyż bez słowa przecisnął się przez drzwi obok L'esta, nie wypowiadając o wiele bardziej złośliwej uwagi, którą z pewnością by wygłosił, gdyby nie uprzedził go Jonny. Odetchnąwszy z niejaką ulgą, Jonny udał się w ślad za przyjacielem, a L'est zamknął za nimi drzwi wejściowe.

W niedużym salonie znajdowało się już na szczęście wielu mężczyzn. W przeciwległym kącie rozparł się na krześle Tors Challinor w nowiutkim mundurze Kobry. Po jego prawej ręce siedzieli Sandy Taber i Bart DesLone, Kobry stacjonujące w Greenswardzie. W swoich codziennych roboczych strojach nie rzucaли się w oczy. Obok nich, także w mundurach Kobry, Jonny ujrzał Haela Szintrę z Oasis i Franka Patrusky'ego z Thanksgiving.

– Aha, MacDonald i Moreau – odezwał się Challinor na ich powitanie. – Chodźcie, wasze miejsca są tutaj. Gestem wskazał im dwa wolne krzesła po swojej lewej stronie.

– Mam nadzieję, że to naprawdę coś ważnego, Challinor – burknął MacDonald, kiedy on i Jonny przeszli przez pokój i zajęli miejsca. – Nie wiem, jak wyglądają sprawy w Thanksgiving, ale my w Ariel nie mamy zbyt dużo czasu na zabawy w wojsko.

– Tak się składa, że twój brak wolnego czasu ma być jednym z tematów, na jakie chcielibyśmy porozmawiać – odparował Challinor bez wahania. – Powiedz mi, czy wasza osada ma tyle Kobr, ile mieć powinna? Jeżeli już o tym mowa, o to samo chciałbym zapytać również Kobry z Greenswardu – zwrócił się do Tabera i DesLone’a.

– Co masz na myśli, mówiąc: „powinna”? – zapytał go Taber.

– Podczas ostatniego spisu naliczono w całym okręgu Caravel mniej więcej dziesięć tysięcy osadników i dokładnie siedemdziesiąt dwie Kobry – odparł Challinor. – To oznacza, że na każdego Kobrę przypada około stu czterdziestu ludzi. Jakkolwiek by na to patrzeć, do osady wielkości Greenswardu powinny zostać przydzielone trzy Kobry, a nie dwie. Do osady wielkości Ariel dwa razy tyle.

– W tej chwili nie zagraża nam żadne poważne niebezpieczeństwo – odezwał się MacDonald. – Naprawdę nie potrzebujemy większej siły ognia, niż mamy teraz. – Popatrzył na Tabera. – A jak wygląda sytuacja w Greenswardzie?

– Tu nie chodzi tylko o siłę ognia – odezwał się spiesznie Szintra, nie dopuszczając Tabera do głosu. – Chodzi o to, że wymaga się od nas znacznie więcej niż tylko strzeżenia naszych osad przed kolczastymi lampartami i falksami. Musimy polować na zbożowe węże, pilnować porządku w osadach jak policjanci, a jeśli zostanie nam trochę wolnego czasu, oczekuje się od nas pomocy przy ścinaniu drzew czy rozładowywaniu ciężarówek. A w zamian za to nie dostajemy niczego!

Jonny popatrzył na zarumienioną twarz Szintry, a później na trzech innych, ubranych w mundury Kobr mężczyzn. Poczł, że jakaś niewidzialna ręka zaczyna ścisnąć go za gardło.

– Ken, myślę, że powinniśmy wracać do domu – powiedział półgłosem do MacDonalda.

– Nie, proszę, zostańcie jeszcze chwilę dłużej – odezwał się szybko Challinor. – Być może ce-trzy Szintra przedstawił to wszystko zbyt dobitnie, ale jest w Oasis zdany wyłącznie na własne siły, więc zapewnię widzi problem nieco ostrzej niż niektórzy zaproszeni przeze mnie goście.

– Załóżmy więc na chwilę, że ma rację. Ze naprawdę nie traktuje się nas z takim szacunkiem, na jaki zasługujemy – powiedział MacDonald. – O jakim rozwiązaniu mamy zamiar tu dyskutować?

– To nie chodzi tylko o szacunek ani nawet nie o to, że uważa się naszą pomoc za coś oczywistego – odparł Challinor z przekonaniem. – Chodzi również o sposób, w jaki biuro syndyka przewleka w nieskończoność załatwianie naszych najprostszych próśb o dostawy sprzętu albo żywności, chociaż potrafi działać bardzo szybko, kiedy chodzi o odbieranie od nas dostaw pszenicy czy soku z lepkiej winorośli. Być może władze nie pamiętają, że nie wszędzie na Aventynie okolice są tak przyjazne człowiekowi jak Rankin i Capitalia. Być może zapominają, że kiedy osadnik na pierwszej linii frontu walki z przyrodą czegoś potrzebuje, musi mieć to natychmiast. Dodajcie do tego manię tworzenia wielkiej ilości małych osad zamiast umacniania obszarów już zdobytych, dzięki czemu jesteśmy tak rozproszeni, a będziecie mieli pełny obraz władzy, która nie wywiązuje się ze swych obowiązków. Mówiąc bez ogródek, uważamy, że najwyższy czas coś z tym zrobić.

Na chwilę w pokoju zapadła głucha cisza.

– Co proponujesz? – zapytał w końcu DesLone. – Żebyśmy najbliższym statkiem, jaki przyleci na Aventinę, wysłali do Dominium petycję?

– Nie bądź głupszy, niż musisz, Bart – mruknął Taber. – Chodzi im o obalenie gubernatora generalnego Zhu i przejęcie steru rządów we własne ręce.

– Prawdę mówiąc, uważamy, że nie tylko sam generalny gubernator będzie musiał zostać zmieniony – odparł spokojnie Challinor. – Jest chyba dla wszystkich jasne, że scentralizowany system rządów, tak dobrze funkcjonujący na rozwiniętych światach, tutaj, na Aventynie, zawodzi na całej linii. Potrzebny jest nam system bardziej zdecentralizowany, który by szybciej reagował na potrzeby tujejszych osadników.

– I rządony przez kogoś, kto się najbardziej stara? – wpadł mu w słowo Jonny. – To znaczy na przykład przez nas?

– Pod wieloma względami nasza walka o ujarznienie Aventyny przypomina partyzantkę przeciw Troftom – stwierdził Challinor. – Jeżeli o mnie chodzi, myślę, że odwaliliśmy wtedy kawał dobrej roboty... Nie sądzicie, że mam rację? Kto inny na tej planecie umiałby poradzić sobie lepiej od nas?

– A zatem, co proponujesz? – zapytał MacDonald tonem świadczącym o znacznie większym zainteresowaniu, niż było to konieczne. – Podzielić Aventinę na małe księstwa, z których każde byłoby rządzone przez jakiegoś Kobre?

– Z grubsza biorąc, tak – rzekł Challinor i kiwnął głową. – Muszę jednak powiedzieć, że wszystko to jest o wiele bardziej skomplikowane. Będzie trzeba ustalić coś w rodzaju hierarchii, aby móc załatwiać sporne sprawy, ale myślę, że mniej więcej właśnie o to chodzi. Co powiecie na ten temat? Czy to was interesuje?

– Ilu was chce to zrobić? – zapytał MacDonald, pomijając pytanie.

– Wystarczająco wielu – odparł Challinor. – Nas czterech plus trzech z Fallow, dwóch z Weald i jeszcze trzech z Headwater i okolic obozów drwali na zboczach gór w sąsiedztwie kopalń firmy Kerseage Mines.

– I proponujesz nam przejęcie władzy nad planetą, dysponując jedynie dwunastoma Kobrami? Challinor lekko zmarszczył brwi.

– Nie, oczywiście, że nie. Rozmawiałem z wieloma Kobrami, tak z okręgu Caramel, jak i spoza niego. Większość postanowiła poczekać i przekonać się, co wyniknie z naszego eksperymentu.

– Innymi słowy, zobaczyć, jak bardzo Zhu przetrzepie wam skórę, kiedy ogłosicie niepodległość? – powiedział MacDonald i pokręcił głową. – Twój pomysł ma zbyt wiele dziur, Challinor. Nikt z Kobr w takim sporze nie będzie mógł pozostać neutralny. Otrzymają rozkaz przybycia tu i podjęcia kroków, mających na celu przywrócenie legalnej władzy. Reakcja na ten rozkaz postawi ich po jednej lub po drugiej stronie. Jak sądzisz, za kim się opowiedzą, mając do wyboru, powiedzmy, tuzin Kobr z sześciuset dwudziestu, jakie są na planecie, to daje mniej więcej jednego przeciwko sześćdziesięciu?

– A po której stronie ty się opowiesz, MacDonald? – odezwał się nagle L'est ze swojego miejsca przy drzwiach. – Zadajesz bardzo dużo pytań jak na kogoś, kto jeszcze się nie zdecydował.

MacDonald nie spuszczał jednak wzroku z Challinora.

– No, co powiesz na to, Tors? To będzie wymagało więcej niż kilku asów, jakie być może chowasz w rękawie.

– Zadałem ci pytanie, do diabła! – wybuchnął L'est. MacDonald powoli odwrócił głowę w jego stronę i jakby od niechcienia podniósł się z miejsca.

– Opowiem się po tej stronie, po której opowiadałem się zawsze i ja, i cała moja rodzina: po stronie Dominium Ludzi. To, co panowie planujecie, to zwykła zdrada i nie mam zamiaru mieć z tym nic wspólnego.

L'est w tym czasie także wstał i zwrócił się bokiem do MacDonald, przyjmując bojową postawę Kobry.

– Lojalność harcerzyka przeciwko hańbie zdrajcy – powiedział pogardliwie.
– Na wszelki wypadek, harcerzyku, przypomnę ci jedną rzecz, gdybyś sam o niej nie pamiętał. To Dominium, którego chcesz tak bronić, potraktowało cię jak niebezpieczny śmieć. Wyrzuciło cię na śmietnik tak szybko, jak tylko mogło, odgradząc się od ciebie stu pięćdziesięcioma latami świetlnymi przestrzeni i dwustu-ma miliardami Troftów.

– Jesteśmy tu potrzebni po to, aby pomagać osadnikom w kolonizowaniu nowych światów – zabrał głos Jonny, chcąc opowiedzieć się po stronie MacDonalda, ale równocześnie się obawiając, aby nie zostało to niewłaściwie zinterpretowane.

W tak ograniczonej przestrzeni jakakolwiek walka dwóch Kobr zakończyłaby się tragicznie dla wszystkich znajdujących się w pomieszczeniu.

– Jesteśmy tylko śmieciami, Moreau – wycedził przez zaciśnięte zęby L'est. – Przysłano nas tu tylko dlatego, że opłacało to się bardziej, niż wszczynać nową wojnę, aby się nas pozbyć. Dominium w najmniejszym stopniu nie dba o to, czy przeżyjemy tu, czy zdechniemy. My sami musimy się troszczyć o to, żeby przeżyć... bez względu na to, ilu krótkowzrocznych głupców będziemy musieli usunąć ze swej drogi.

– Idziesz, Jonny? – zapytał MacDonald, postępując krok w stronę drzwi wyjściowych. L'est także zrobił krok, zagrządzając dostęp do drzwi.

– Nigdzie nie wyjdiesz, MacDonald – oświadczył. – Za dużo tu słyszałeś.

– Daj spokój, Simmon – odezwał się Challinor cicho, ale ton jego głosu wskazywał, że to rozkaz. – Nie zamierzamy przecież zmuszać tych panów do wyboru między przyłączeniem się do nas a śmiercią, prawda?

L'est jednak nie ruszył się ze swojego miejsca.

– Nie znasz jeszcze tego pajaca, Tors. Możemy mieć przez niego kłopoty.

– Tak, już kiedyś mi o tym mówiłeś. Ce-dwa MacDonald, zależy mi, byś zrozumiał, że nie mamy zamiaru robić tego wyłącznie dla własnego dobra. – w głosie Challinora dźwięczało teraz przekonanie o własnej uczciwości. – Ludziom na Aventinie potrzebna jest silna, sprawna władza, a takiej w tej chwili nie mają. To, co zamierzamy zrobić, jest więc tylko naszym obowiązkiem wobec ludzi, wobec obywateli Dominium, który musimy wypełnić, żeby ocalić ich przed katastrofą.

– Jeżeli twój przyjaciel nie zejdzie mi w tej chwili z drogi, będę musiał sam usunąć go stamtąd siłą – zagroził MacDonald.

Challinor westchnął.

– Simmon, odsuń się. MacDonald, czy przynajmniej nie zastanowiłbyś się nad tym, co mówiłem?

– O tak. Zastanowię się bez wątpienia.

Nie spuszczać wzroku z L'esta, MacDonald ruszył w kierunku wyjścia.

Bardzo powoli, obserwując przez cały czas nadal siedzących Patrusky'ego i Szintre, Jonny wstał i poszedł za nim.

– Gdybyś chciał z nami zostać, Moreau – zawołał za nim Challinor – moglibyśmy odwiedzić cię później do domu.

– Nie, dziękuję – odparł Jonny, spoglądając na niego przez ramię. – Mam trochę pracy, którą powinienem jeszcze dzisiaj skończyć.

– W porządku. Ale pomyśl o tym, co powiedziałem, dobrze?

Słowa były przyjazne, ale ton, jakim zostały wypowiedziane, sprawił, że Jonny'emu zjeżyły się na głowie wszystkie włosy. Przyspieszył kroku, starając się stłumić przeszywające go zimne dreszcze.

Wracali do Ariel w zupełnym milczeniu. Jonny, spodziewając się, że MacDonald będzie chciał wyładować swoją wściekłość, oczekiwał jazdy na złamanie karku po pełnej dziur i nieutwardzonej drodze. Ku jego zdumieniu jednak MacDonald prowadził samochód tak spokojnie, że niemal flegmatycznie. A jednak w odbijającym się od drogi świetle reflektorów było widać napięcie, malujące się na jego twarzy. Jonny uznał więc, że najlepiej będzie milczeć.

Kiedy MacDonald zatrzymał samochód po drugiej stronie drogi, w oknach domu Eldjarnów paliło się wciąż światło. Przed domem stał zaparkowany inny wóz, ten sam, którym ojciec Chrys pojechał wcześniej do Rankinu. Zapewne więc wrócił zbyt późno, aby odprowadzić go do garażu, który znajdował się w osadzie.

Jak poprzednio, drzwi otworzyła Chrys.

– Wejdźcie – zaprosiła, usuwając się na bok. – Jesteście wcześniej, niż się spodziewałam. Spotkanie trwało tak krótko?

– Zbyt długo – burknął MacDonald.

W oczach Chrys pojawiło się zrozumienie.

– Aha. Co się stało? Czyżby Challinor znowu chciał, żebyście wystąpili do władz o kolejne Kobry? MacDonald zaprzeczył ruchem głowy.

– Nic tak zabawnego – powiedział. – Tym razem chce dokonać zamachu stanu. Chrys zatrzymała się w pół kroku.

– Chce dokonać c z e g o? – zapytała.

– Słyszałaś. Chce pozbawić gubernatora generalnego władzy i ustanowić system małych księstw rządzonych przez wszystkie Kobry, które zechcą przyłączyć się do jego ludzi. Chrys popatrzyła na Jonny'ego.

– Żartuje sobie ze mnie, Jonny? – zapytała.

– Nie. Challinor mówił nam o tym ze śmiertelną powagą. Nie wiem, w jaki sposób uda mu się cokolwiek zrobić, nie parząc przy tym sobie palców...

– Zaczekaj – przerwała mu Chrys, kierując się w stronę drzwi wiodących do sypialnego skrzydła domu. – Sądzę, że będzie lepiej, jak i mój ojciec również się o tym dowie.

– Dobry pomysł – mruknął MacDonald, wyjmując butelkę ze stojącego w samym kącie barku i nalewając sobie do małej szklanki.

Uniósłszy butelkę, popatrzył pytająco na Jonny'ego, ale tamten potrząsnął głową.

Po kilku minutach Chrys wróciła, a za nią wszedł do pokoju mężczyzna odziany w szlafrok.

– Ken, Jonny – odezwał się doktor Orrin Eldjarn, kiwnąwszy im na powitanie głową.

Sprawiał wrażenie całkowicie rozbudzonego, chociaż jego włosy zdradzały, że przed chwilą został zerwany z łóżka.

– Co to za intryga, o której się dowiaduję? – zapytał.

Usiedli w salonie, a Chrys i jej ojciec w milczeniu wysłuchali streszczenia propozycji, jaką przedstawił im Challinor.

– Ale, jak powiedział Jonny – zakończył swą opowieść MacDonald – po prostu nie mają szans, żeby ich ruch odniósł sukces. Umiejętności wojskowe jednej Kobry są takie same jak każdej innej.

– Ale bez porównania większe niż jakiegokolwiek zwykłego człowieka – zauważył Eldjarn. – Gdyby Challinor oświadczył, że przejmuje władzę w Thanksgiving, pozostali mieszkańcy nie mogliby zrobić nic, by mu w tym przeszkodzić.

– Przecież muszą mieć tam trochę broni – odezwała się Chrys. – My tutaj, w Ariel, mamy kilka śrutówek, a Thanksgiving jest przecież większą osadą niż nasza.

– Prawdę mówiąc, śrutówki nie na wiele przydadzą się przeciw Kobrom, chyba że podczas walki w bardzo małych pomieszczeniach – wyjaśnił Jonny. –

Mechanizm spustowy strzelby wydaje doskonale znany szcęk, który jest na tyle głośny, że dobrze go słyszymy. Na ogół nie mamy żadnych kłopotów z uskokiem z linii strzału. Tylko Troftowie na Silvern jakoś nigdy nie mogli się do tego przyzwyczaić.

– Nie o to chodzi – powiedział MacDonald. – Do zabicia dwunastu zbuntowanych Kobr potrzeba tylko tuzina Kobr lojalnych wobec starej władzy.

– Chyba że rebelianci namierzą wszystkie pozostałe, zanim jeszcze rozpocznie się jakakolwiek walka – zauważyła nagle Chrys. – Czy gdyby to zrobili, nie mogliby zabić wszystkich buntowników pierwszą salwą?

MacDonald pokręcił głową.

– Wzmacniacze wzroku, jakie nam zostawiono, uniemożliwiają mierzenie do wielu celów równocześnie, jak kiedyś. Ale dobrze... przyjmijmy, że będzie potrzeba pięćdziesięciu Kobr, jeżeli buntownicy się okopią, a my będziemy chcieli być absolutnie pewni, że wygramy. To wciąż tylko jedna dwunasta Kobr, jakimi dysponuje Zhu. Challinor musi o tym wiedzieć.

– A więc pozostaje pytanie, o czym więcej wie, a czego my nie wiemy – rzekł Eldjarn i potarł z namysłem policzek. – Czy w tej chwili dzieje się gdzieś na Awentynie coś takiego, co wiązałoby dużą liczbę Kobr? Jakies rozruchy wśród ludności albo coś w tym rodzaju?

Jonny i MacDonald wymienili spojrzenia. MacDonald wzruszył ramionami.

– O niczym takim nie wiem – powiedział. – Być może w innych miastach Challinor ma zorganizowane grupy zwolenników, gotowe do ogłoszenia podobnych deklaracji w tym samym czasie, ale jakoś nie bardzo chce mi się w to wierzyć.

– Kolczaste lamparty ruszyły się z legowisk – dodał z powątpiewaniem Jonny. – Patrowanie terenu i walka z nimi z pewnością zajmie wielu Kobrom sporo czasu, chyba że farmerzy zechcą przez kilka dni nie wychodzić na pola. Wątpię jednak, aby dla gubernatora generalnego coś takiego było powodem do niepokoju. Może więc Challinor jednak postradał zmysły?

– Nie Challinor. – Tego MacDonald był całkiem pewien. – Nie znam nikogo, kto umiałby myśleć tak racjonalnie i przebiegle. Poza tym L'est nie zgodziłby się do niego przyłączyć, sugerując się jedynie jego zdaniem. Jeszcze przed przybyciem na Awentinę był spryciarzem, jakich ze świecą szukać.

– Jestem skłonny przyznać ci rację – odezwał się po namyśle Eldjarn. – Ci megalomani muszą wiedzieć, że to najlepszy moment na tę akcję. Jak mówileś, Jonny, wędrowni kolczastych lampartów opóźnią możliwą oficjalną reakcję, ale

nie przypuszczam, by na długo. Jestem przekonany, że to nie zbieg okoliczności, iż zaledwie przed paroma dniami opuścił Capitalię statek kurierski Dominion, co oznacza, że następny przyleci tu dopiero za pół roku.

– Mnóstwo czasu, żeby umocnić nową władzę – mruknął MacDonald. – Będą mogli postawić jego załogę przed faktem dokonanym i niech tylko Kopuła spróbuje im coś zrobić.

– A w tym czasie „Dewdrop” znajduje się gdzieś w przestrzeni międzygwiazdnej – powiedział z grymasem Jonny.

– Zgadza się – stwierdził Eldjarn i kiwnął głową. – Dopóki nie wróci, Zhu nie będzie mógł się z nikim skontaktować. Zresztą nawet wtedy, o ile „Dewdrop” nie zdoła gdzieś bezpiecznie wylądować, żeby odnowić zapasy paliwa i żywności, jego powrót nie przyda się Zhu na nic. Nie, Challinor przemyślał wszystko bardzo dokładnie. Szkoda, że nie potrafiliście udawać trochę dłużej i poznać więcej szczegółów jego planu.

– Zrobiłem, co mogłem – odrzekł MacDonald z niejaką urazą. – Nie umiem kłamać w sprawach, w których chodzi o lojalność.

– Jasne, rozumiem – powiedział Eldjarn. Na chwilę w pokoju zapanowało milczenie.

– Być może ja mógłbym do nich wrócić – odezwał się z wahaniem w głosie Jonny. – Właściwie nie opowiedziałem się po żadnej stronie.

– Będą cię podejrzewali – rzekł MacDonald i pokręcił z powątpiewaniem głową. – A jeśli cię złapią na tym, że nas o tym informujesz, potraktują cię jak zwykłego szpiega.

– Chyba że – odezwała się cicho Chrys – chcesz do nich wrócić.

Jej ojciec i MacDonald spojrzeli na nią zdumieni, ale Chrys patrzyła tylko na Jonny'ego.

– Przez cały czas zakładamy, że Jonny nie waha się być po naszej stronie – mówiła dalej, nie podnosząc głosu. – Tymczasem może jeszcze się nie zdecydował. To nie jest sprawa, w której moglibyśmy za niego decydować.

Eldjarn skinął głową.

– Oczywiście, masz rację. No co, Jonny? Co masz nam do powiedzenia?

– Chcąc być wobec was całkiem szczerzy, muszę przyznać, że nie wiem. Ja także składałem przysięgę na wierność Dominion, ale władze Aventyny naprawdę robią coś, co może być niebezpieczne dla obywateli... choćby to nadmierne

rozpraszanie ludności i sprzętu. Nie mogę się tak zupełnie nie zgodzić z tym, co powiedział Challinor na temat obowiązku wobec mieszkańców Aventyny.

– Ale jeśli ktokolwiek zlekceważy legalne sposoby załatwienia sprawy, otworzy tym samym drogę do zupełnego bezprawia – sprzeciwił się MacDonald.
– A jeśli naprawdę sądzisz, że Challinor i L'est potrafią poradzić sobie chociaż trochę lepiej niż Zhu...

– Ken. – Chrys położyła mu dłoń na ramieniu, a potem powiedziała do Jonny'ego: – Rozumiem twoje wątpliwości, ale jestem pewna, że wiesz, iż w tej sprawie nie będziesz mógł zachowywać się w sposób neutralny.

– I w dodatku musisz się szybko zdecydować – dodał Eldjarn. – Challinor nie ryzykowałby ujawnienia tak ważnych planów komuś takiemu jak Ken, gdyby nie był gotowy do wprowadzenia ich w życie.

– Rozumiem to – powiedział Jonny wstając. – Myślę, że powinienem iść do domu. Jeśli postanowię czynnie przeciwstawić się Challinorowi, zawsze będziecie mogli powiedzieć mi później, co ustaliliście po moim wyjściu. W każdym razie – popatrzył MacDonalldowi prosto w oczy – to, o czym tu mówiliśmy, pozostanie wyłącznie naszą tajemnicą. Challinor z pewnością ode mnie nie dowie się niczego.

MacDonald po namyśle kiwnął głową.

– W porządku. Rozumiem, że na razie nie możemy spodziewać się niczego więcej. Podwieźć cię do domu?

– Nie, dziękuję. Pójdę pieszo – odparł Jonny. – Dobranoc wszystkim.

Podobnie jak w osadach farmerów znanych Jonny'emu z Horizonu, życie w Ariel także na ogół zamierało wraz z nadejściem zmierzchu. Ulice były ciemne i opustoszałe, rozjaśniane jedynie światłami nielicznych latarni i jasnymi gwiazdami, świecącymi na bezchmurnym niebie. Zazwyczaj, ilekroć tylko przebywał tak późno poza domem, Jonny lubił patrzeć na gwiazdy, teraz jednak prawie ich nie zauważał.

Przypomniawszy sobie, krzywiąc twarz w grymasie, że kiedyś wystarczyło mu tylko spojrzeć w jasne oczy Chrys, by uznać za słuszne wszystko, co mówiła. Tamte czasy należały jednak od dawna do przeszłości. Najpierw wojna, potem jego późniejsze, zakończone fiaskiem starania o włączenie się w nurt cywilnego życia, a w końcu siedem długich lat ciężkich zmagania o ujarzmienie nowego świata pozbawiły go całkowicie młodszej werwy. Dawno temu nauczył się także, aby nie podejmować decyzji, kierując się tylko emocjami.

Kłopot w tym, że na razie nie dysponował wystarczająco dużą liczbą faktów, na podstawie których mógłby postanowić coś sensownego. Wszystko, o czym dotychczas wiedział, wskazywało na szybką klęskę grupy Kobr Challinora... a zatem musiało istnieć coś więcej, o wiele mniej oczywistego. L'est, mimo wielu irytujących cech charakteru, był znakomitym taktykiem, synem instruktora wojskowego w bazie na Asgardzie. Nie zgodziłby się na udział w przedsięwzięciu, które w tak oczywisty sposób musi się zakończyć niepowodzeniem – a trwająca przez dłuższy czas krwawa wojna oznaczałaby klęskę i dla niego, i dla kolonistów.

Z drugiej strony, patrząc na sprawy z formalnego punktu widzenia, Jonny winien był posłuszeństwo władzom Dominium, a więc i mianowanemu przez nich gubernatorowi generalnemu kolonii na Aventynie. Bez względu na szyderstwa L'esta, zawsze szanował i podziwiał lojalność MacDonalda.

Bił się z myślami aż do chwili, kiedy znalazł się przed wejściem do domu. Przygotowania do snu zajęły mu jak zwykle tylko kilka minut, potem zgasił światło, położył się i zamknął oczy. Pomyślał, że może rankiem rozjaśni mu się w głowie.

Był jednak zbyt podekscytowany, by zasnąć. W końcu, po godzinie ciągłego przewracania się z boku na bok, wstał, podszedł do biurka i wyjął kasetę od rodziny, którą dostarczono mu po przylocie ostatniego statku pocztowego. Umieścił ją w czytniku, ale zostawił włączony tylko głos, wyłączwszy obraz, i ponownie położył się, mając nadzieję, że głosy bliskich pomogą mu szybciej zasnąć.

Pograżał się właśnie w sen, kiedy przez mgłę ogarniającą mu z wolna umysł przebił się jakiś fragment monologu wygłaszanego przez jego siostrę.

– ...przyjęto mnie niedawno na uniwersytet na Aerie – mówiła radośnie. – Oznacza to, że resztę wykształcenia zdobędę z dala od Horizonu, ale to właśnie tutaj mają najlepszy w całym Dominium program kształcenia geologów. Po ukończeniu studiów zostanę młodszą specjalistką w dziedzinie wykorzystania zjawisk tektonicznych. Spodziewam się, że takie kwalifikacje staną się moją najlepszą rekomendacją, kiedy zgłoszę się, żeby zostać kolonistką na Aventynie. Mam nadzieję, że będziesz miał tam tak duże wpływy, kiedy skończę studia, iż pomożesz załatwić mi skierowanie do Ariel. Być może także Jame będzie mógł mi trochę pomóc, jeśli zdomowi się na Asgardzie, na co także liczę. Domyślasz się, że pragnę pracować na Aventynie nie tylko dlatego, żeby obejrzeć sobie imperium Troftów z drugiej strony. A jeśli już mowa o Troftach, niedawno mieliśmy tu coś w rodzaju nieformalnej, otwartej dyskusji na temat tego, czy projekt skolonizowania Aventyny nie został wymyślony przez wojskowych tylko po to, by wziąć Troftów w dwa ognie, gdyby kiedyś przyszła im chęćka znowu na nas napaść. Myślę, że w czasie tej dyskusji radziłam sobie wcale nieźle... bardzo mi w

tym pomogły te dane statystyczne dotyczące poziomu wydobycia surowców w kopalniach firmy Kerseage Mines, które mi przysłałeś. Obawiam się jednak, że przy tej okazji straciłam raz na zawsze szansę, by ktokolwiek uważał mnie za dystyngowaną i uprzejmą. Żywię tylko nadzieję, że jak dotąd nie wydano zakazu wpuszczania awanturnic na Awentinę...

Jonny nagle wstał i wyłączył urządzenie... ale kiedy wracał do łóżka, już wiedział, jaką decyzję ma podjąć. Radosny szczebiot Gwen, pełen zaufania i uwielbienia dla bohaterstwa jej odważnego brata, już nieraz pomagał mu w najtrudniejszych chwilach życia nawet bardziej niż o wiele spokojniejsze słowa otuchy i poparcia ze strony Jame'a i rodziców. Gdyby świadomie zgodził się na to, aby dać sobie przykleić etykietę zdrajcy – zwłaszcza w sytuacji nie wyglądającej wcale na rozpaczliwą – zawiódłby zaufanie Gwen i rodziców. Na to zaś Jonny nie umiał się zdecydować.

Przez chwilę się zastanawiał, czy nie zadzwonić do MacDonalda i nie powiedzieć mu o swej decyzji... ale wygodne łóżko nęciło coraz bardziej, w miarę jak opuszczało go zdenerwowanie. Poza tym, zrobiło się już bardzo późno. Jonny pomyślał, że o poranku zdąży przyłączyć się do obozu lojalistów.

Pięć minut później już mocno spał.

Usłyszał natarczywy brzęczyk budzika. Kiedy przecierał oczy, by szybciej się obudzić, do głowy przysłała mu nagle odpowiedź na dręczące go pytanie. Przez chwilę leżał nieruchomo, rozważając w myślach możliwe sytuacje i ich konsekwencje. Później zerwał się z łóżka, sięgnął po telefon i wystukał kod operatora.

– Z Kennetem MacDonaldem – powiedział do komputera.

Na połączenie musiał czekać dość długo. Widocznie MacDonald jeszcze nie wstał.

– Tak, słucham – dobiegł go w końcu zaspany głos przyjaciela.

– Tu Jonny, Ken. Już wiem, co zamierza zrobić Challinor.

– Naprawdę? – W głosie MacDonalda usłyszał nagłe ożywienie. – Co takiego?

– Ma zamiar zająć kopalnie firmy Kerseage Mines. Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

– Do diabła – odezwał się wreszcie MacDonald. – Masz rację, to nie może być nic innego. Ponad połowa wydobycia rudy pierwiastków ziem rzadkich pochodzi właśnie stamtąd. Wystarczy, że zdetonuje kilka ładunków, które tam trzymają, aby zniszczyć szyby i wejścia do kopalni. Zhu będzie się musiał porządnie zastanowić, zanim wyśle swoje oddziały, żeby go stamtąd wykurzyć.

– A im dłużej będzie się zastanawiał, tym bardziej będzie sprawiał wrażenie bezradnego – dodał Jonny – i tym większe prawdopodobieństwo, że przynajmniej niektóre z dotychczas „neutralnych” Kobr uznają Challinora za przyszłego zwycięzcę i przejdą na jego stronę. Im więcej Kobr zdecyduje się na taki krok, tym szybciej Zhu będzie musiał albo skapitulować, albo rozpętać wojnę domową.

– Do diabła! Musimy ostrzec Capitalię, żeby wysłali tam swoje oddziały, zanim Challinor zdecyduje się ich uprzedzić.

– Masz rację. Ty ich zawiadomisz, czy chcesz, żebym ja to zrobił?

– Najlepiej zróbmy to razem. Nie rozłączaj się, spróbuję sobie przypomnieć, jak to się robi... W słuchawce rozległ się cichy trzask.

– Ariel – odezwał się operator.

– Z biurem gubernatora generalnego – powiedział MacDonald.

– Bardzo mi przykro, ale połączenie nie może zostać zrealizowane. Jonny zamrugał oczami.

– Dlaczego nie? – zapytał.

– Bardzo mi przykro, ale połączenie nie może zostać zrealizowane.

– Czy to znaczy, że satelita jest uszkodzony? – zapytał Jonny z nadzieją.

– To mało prawdopodobne – burknął MacDonald. – Operator: z biurem syndyka Powella Stuarta w Rankinie.

– Bardzo mi przykro, ale połączenie nie może zostać zrealizowane.

Rankin znajdował się zbyt blisko od nich, aby połączenie wymagało posłużenia się satelitą.

– To zbyt wiele jak na zwykły przypadek – odezwał się Jonny, czując, jak w żołądku zaczyna tworzyć się mu jakaś kłucha. – W jaki sposób Challinor tak szybko zdołał się dostać do komputera telekomunikacyjnego?

– Mógł zrobić to w każdej chwili w ciągu ostatnich kilku dni – mruknął MacDonald. – Nie sądzę, aby ktokolwiek z mieszkańców musiał kontaktować się z kimś w Rankinie lub Capitalii. Z pewnością nikt nie zrobił tego, odkąd odleciał statek kurierski.

– Może dlatego przysłał do nas Alma Pyre’a z kartkami papieru, zamiast po prostu zadzwonić do nas z Thanksgiving – domyślił się Jonny, przypomniawszy sobie nagle tamtą chwilę. – Jest niemal pewne, że sparaliżował cały system łączności międzymiastowej.

– To możliwe. Posłuchaj, nagle odechciało mi się rozmawiać o tym przez telefon. Spotkajmy się w sklepie Chrys, powiedzmy, za pół godziny.

– Zgoda. Za pół godziny.

Jonny przerwał połączenie, po czym przez chwilę siedział i patrzył na małe pudełko, zastanawiając się, czy naprawdę ktoś mógł podsłuchiwać ich rozmowę. To było mało prawdopodobne... ale jeśli Challinor zlecił komputerowi blokadę rozmów międzymiastowych, dlaczego nie mógłby również kazać mu podsłuchiwać rozmów prowadzonych w obrębie osady?

Wyskoczył z łóżka i zaczął się ubierać.

Chrys była jednym z dwóch wykwalifikowanych techników elektroników, jakimi dysponowała osada. Pracowała w piętrowym budynku wzniesionym na skraju mniej więcej kolistego nie zabudowanego miejsca w samym centrum osady, zwanego, prawdopodobnie z historycznych względów, Placem. W budynku mieściły się biuro, sklep, warsztat i magazyn. Jonny dotarł tam trochę za wcześnie i musiał czekać, aż przyjadą Chrys i MacDonald z kluczami.

– Wejdzmy – przynaglił ich MacDonald, spoglądając na grupki ludzi, którzy pojawili się na ulicach budzącej się do życia osady. – Challinor może tu mieć swoich szpiegów.

Kiedy znaleźli się w środku, Chrys zapaliła światła, a potem opadła na krzesło stojące za warsztatowym stołem i ziewnęła szeroko.

– No, dobrze, to jesteśmy – powiedziała. – Czy teraz zechcielibyście mi wyjaśnić, do czego jestem wam potrzebna po pięciu zaledwie godzinach snu i dziesięciu minutach od chwili obudzenia?

– Jesteśmy odcięci i od Rankinu, i od Capitalii – wyjaśnił MacDonald. – Challinor prawdopodobnie polecił komputerowi blokadę wszystkich łączy.

W kilku zdaniach przedstawił podejrzenia na temat opanowania kopalń Kerseage Mines oraz wynik starań Jonny'ego i własnych, mających na celu ostrzeżenie urzędników.

– Jeżeli nie liczyć drogi wodnej w górę Chalk River, jedynymi szlakami lądowymi prowadzącymi do kopalń są dwie drogi biegnące tam z Capitalii i Weald – wyjaśnił. – Challinor bardzo łatwo może je zablokować, a jeśli będzie w stanie opanować i przystań w Ariel, gubernator generalny nie zdoła w żaden sposób wysłać tam swoich Kobr, chyba że drogą powietrzną.

– Niech go diabli – mruknęła Chrys, spoglądając na nich teraz szeroko otwartymi oczami, w których pojawiły się nagle złe błyski. – Jeżeli uszkodził

komputer realizujący połączenia międzymiastowe, jego naprawa może trwać co najmniej przez tydzień.

– No cóż, to odpowiedź na jedno z moich pytań – odezwał się ponuro MacDonald. – Następne pytanie: czy umiałabyś zbudować nadajnik, którym można przesłać wiadomość przez satelitę do Capitalii z pominięciem operatora w Ariel?

– Teoretycznie, tak. W praktyce... – Wzruszyła ramionami. – Nie budowałam takich wysokoczęstotliwościowych nadajników kierunkowych od czasów, kiedy byłam w szkole. Zajęłoby mi to co najmniej dwa albo trzy dni, nawet gdybym dysponowała niezbędnymi podzespołami.

– A czy nie mogłabyś użyć zapasowych modułów telekomunikacyjnych? – podpowiedział Jonny. – W ten sposób oszczędziłabyś chociaż trochę czasu na montażu.

– Być może, ale wówczas istnieje obawa, że mój sygnał zajmie którąś częstotliwość normalnie używaną przez system. Wywołałoby to straszne zamieszanie w całej komputerowej sieci łączności, a przestrajanie gotowych modułów na inną częstotliwość może zająć mi tyle samo czasu, co budowanie ich od nowa. Myślę jednak, że warto spróbować.

– To dobrze. Zabieraj się do pracy – powiedział MacDonald, a potem zwrócił się do Jonny'ego: – Nawet gdyby Challinor nie umieścił systemu alarmującego go o każdej próbie połączenia się z Capitalią, powinniśmy założyć, że już wkrótce będzie chciał dobrać się nam do skóry. Musimy więc zawiadomić burmistrza Tylera i, na ile to możliwe, zająć się organizowaniem czegoś w rodzaju oddziału ruchu oporu.

– Który będzie się składał głównie z dwóch osób: mnie i ciebie? – zapytał Jonny.

– I kilku śrutówek, o których wspominała nam Chrys zeszłej nocy. – Na widok wyrazu twarzy Jonny'ego niechętnie wzruszył ramionami. – Wiem, że to zabytki muzealne. Ale równie dobrze jak ja zdajesz sobie sprawę z tego, że nasze nanokomputery reagują wolniej, kiedy muszą poradzić sobie z dwoma lub większą liczbą zagrożeń naraz. Być może dałoby nam to pewną przewagę, której teraz tak bardzo potrzebujemy.

– Być może. – Jonny poczuł, że do życia zbudziły się wszystkie duchy z Adirondack. Niewinni ludzie, których śmierć zaskoczyła w krzyżowym ogniu walki... – A co będziemy robili? Próbowali strzec przed nimi drogi łączącej nas z Thanksgiving?

MacDonald potrząsnął głową.

– Nie widzę szans na to, by uniemożliwić im dotarcie do osady... W każdej chwili przecież mogą zejść z drogi i przedzierać się przez las, jeżeli tylko nie mają nic przeciwko zabiciu po drodze do osady jednego czy dwóch kolczastych lampartów i nie muszą zabierać ze sobą ciężkiego sprzętu. Nie, cała nasza nadzieja w obronie tego budynku do czasu, aż Chrys uda się zbudować nadajnik, bo wówczas będziemy mogli wezwać na pomoc posiłki z Capitalii.

– A może powinniśmy udawać niewiniątka? – zaproponowała Chrys, unosząc na chwilę głowę znad książki pełnej schematów układów elektronicznych. – Dlaczego, dopóki jeszcze nas nie zaatakowali, nie mielibyśmy wysłać kogoś, na przykład mojego ojca, samochodem w drogę przez Thanksgiving do Sangraalu, aby stamtąd zadzwonił do Capitalii?

– Nie sądzę, by Challinor pozwolił komukolwiek wyjechać na wschód – stwierdził MacDonald. – Myślę jednak, że warto się o tym przekonać. Czy sądzisz, że twój ojciec by się zgodził?

– Jestem pewna. – Chrys sięgnęła po mikrotelefon... ale się zawahała. – Może powinnam poprosić go tylko, żeby tu przyszedł, i powiedzieć mu o wszystkim, kiedy już tu będzie? Challinor mógł przecież założyć urządzenia podsłuchowe.

Rozmowa z ojcem zajęła jej pół minuty. Eldjarn, nie zadając niepotrzebnych pytań, oświadczył, że zaraz będzie. Kiedy Chrys się rozłączyła, MacDonald ruszył do wyjścia.

– Idę zawiadomić burmistrza – powiedział. – Jonny, na wszelki wypadek zostań tutaj. Wrócę tak szybko, jak tylko będzie to możliwe.

Eldjarn wyszedł i nie wracał, a Chrys pracowała od półtorej godziny, kiedy nagle ona i Jonny usłyszeli odgłos strzału.

– Co to było? – zapytała, unosząc wzrok znad płytki montażowej.

– Śrutówka – odparł zwięźle Jonny, zrywając się ze swojego miejsca i kierując w stronę wyjścia. – Zostań lepiej tam, gdzie jesteś, a ja...

– Mowy nie ma – powiedziała, ostrożnie odłożyła lutownicę na stół i szybko ruszyła za nim. – To może być coś, co dotyczy Kena!

Dalszych strzałów nie było, mimo to nie mieli żadnych kłopotów ze znalezieniem miejsca, w którym to się stało. Na skraju Placu zobaczyli ponad trzydzieści stojących już tam ludzi. Następni, podobnie jak Chrys i Jonny, spieszyli ze wsząd w tamto miejsce. Z boku Placu, obok jednego z rogów budynku mieszczącego biuro burmistrza osady, ujrzeli leżącą na ziemi nieruchomą postać. Obok niej, nachylając się nad nią, klęczał MacDonald.

– Stać! – warknął jakiś mężczyzna nawykłym do rozkazywania głosem, kiedy Jonny i Chrys precyzyjnie się przez tłum gapiów i ruszyli w stronę MacDonalda. – Zabraniam wam zbliżać się do niego!

Jonny spojrzał na mówiącego, ale nawet nie zwolnił kroku.

– Niech cię diabli, L'est – powiedział tylko. – Przecież ten człowiek jest ranny!

Strzał z lasera, którego Jonny na wpół świadomie oczekiwał, nie nastąpił i dotarli do MacDonalda bez żadnych innych incydentów.

– Co możemy zrobić? – zapytał Jonny, kiedy ukląkł obok niego.

Drugi Kobra, jak Jonny się zorientował, rytmicznie uciskał dłońią mostek leżącego człowieka.

– Sztuczne oddychanie – rzucił MacDonald.

Chrys, spodziewając się tego polecenia, już przykładła usta do ust nieruchomego mężczyzny. Jonny rozpiął mu ostrożnie osmaloną koszulę i aż skrzywił się na widok zięjącej w jego piersi wypalanej przez strzał z lasera rany.

– Jak to się stało? – zapytał.

– Challinor pojawił się tu mniej więcej przed kwadransiem i oświadczył burmistrzowi Tylerowi, że przejmuje władzę – powiedział MacDonald przez zaciśnięte zęby. – Nie mieliśmy żadnych szans, żeby się bronić, ale mimo to Insley złapał za śrutówkę i strzelił.

MacDonald zaklął.

– Challinor zdołał uskoczyć z linii strzału, a później znalazł sobie jakąś osłonę, ale L'est, chociaż nie było najmniejszej potrzeby, strzelił do niego z lasera tak, aby zabić. Widocznie uważał, że powinien nam wszystkim dać nauczkę.

Jonny popatrzył ponad ramieniem MacDonalda na ludzi znajdujących się na Placu. Niemal na samym środku zobaczył L'esta. Stał zwrócony w ich stronę i patrzył. Jonny, spojrzawszy w prawo i w lewo, dopiero teraz dojrzał czterech innych, odzianych w mundury Kobr mężczyzn, stojących mniej więcej w równych odległościach po przeciwległej stronie Placu. Dwaj z nich byli obecni tamtej nocy na spotkaniu z Challinorem, trzecim był sam Challinor, czwartym zaś...

– Sandy Taber także się do nich przyłączył – powiedział. MacDonald mruknął twierdząco.

– Chrys? – zapytał.

Chrys oderwała usta od twarzy Insleya i pokręciła głową.

– W tętnicy szyjnej nie wyczuwam żadnego pulsu – powiedziała. – Przykro mi, Ken, ale od samego początku go nie czułam.

Przez długą chwilę MacDonald tylko patrzył na nią, nadal trzymając dłonie na piersiach martwego mężczyzny. Potem powoli wstał i odwrócił się w stronę środka Placu z twarzą groźną jak wyrzeźbiona w skale gradowa chmura.

– Trzymaj ją z dala od tego, Jonny – mruknął cicho i zaczął iść w stronę stojącego L'esta.

Wszystko wyglądało tak niewinnie, że zdążył przejść cztery kroki, zanim Jonny zdał sobie sprawę z tego, co chce zrobić. W tej samej chwili stojąca za nim Chrys nabrała głęboko powietrza w płuca, uświadamiając mu, że i ona zrozumiała, co stanie się za chwilę.

– Ken! – krzyknęła i zerwała się z ziemi. Jonny był jednak od niej szybszy i chwycił ją mocno, zanim zdążyła obok niego przebiec.

– Zostań tutaj! – szepnął jej rozkazująco do ucha. – Tam nie możesz mu w niczym pomóc.

– Jonny, musisz go powstrzymać! – jęknęła, starając się wyrwać z jego objęć. – Oni go zabiją!

Dla Jonny'ego była to najtrudniejsza decyzja, jaką musiał podjąć w swoim życiu. Instynkt podpowiadał mu, że powinien wyjść na środek i zacząć strzelać, aby wyeliminować z walki jak najwięcej Kobr rozstawionych wokół Placu. W głębi duszy nie wątpił, że zabicie Insleya było starannie zaplanowaną przez L'esta prowokacją. Miała wywołać u MacDonalda właśnie taką reakcję, aby dał się wciągnąć w konflikt, w którym nie miał ani przewagi liczebnej, ani nawet taktycznej. Jonny rozumiał jednak równie dobrze i to, że nie mógł zrobić niczego, żeby zmienić wynik tej walki na jego korzyść. We dwóch z MacDonaldem w walce przeciw pięciu zbuntowanym Kobrom zginęliby równie pewnie co sam MacDonald... a gdyby przeciwnikom udało się zabić ich obu, jedynych obrońców osady Ariel, jej mieszkańcy nie mogliby nawet marzyć o walce przeciw narzuconym im przez Challinora kacykom przyszłego księstwa. Rozumiał nawet lepiej niż poprzedniego wieczoru, po czyjej stronie powinien się opowiedzieć. Trzymał więc Chrys z całej siły i bezradnie patrzył, jak tamci zabili jego przyjaciela.

Walka nie trwała długo. Rozwścieczony MacDonald zachował na tyle jasność umysłu, że nie zatrzymał się i nie próbował trafić L'esta. Robiąc któryś z rzędu krok podkurczył prawą nogę i upadł niespodziewanie na ziemię. Szybkim ruchem wyciągnął ręce i wysłał na boki dwie strugi światła z laserów małych palców. Stojący po przeciwnych stronach Placu Patrusky i Szintra, w których były wymierzone te strzały, zareagowali błyskawicznie. Ich własne nanokompu-

tery kazały im odskoczyć na bok i odpowiedzieć ogniem. Niemal natychmiast rozległy się dwa jęki bólu. Promienie światła ich laserów przecięły Plac, a strzelający trafili się nawzajem... MacDonald, nadal leżący na ziemi, unosił już lewą nogę do strzału wymierzonego w L'esta.

Nie miał jednak najmniejszej szansy na to, by strzelić. Dysponujący równie błyskawicznymi odruchami i wspomaganymi przez serwomotory mięśniami L'est wyskoczył łukiem na wysokość sześciu metrów, dzięki czemu znalazł się niemal dokładnie nad swoim przeciwnikiem. MacDonald próbował jeszcze w geście rozpaczy unieść ręce... ale lewa noga L'esta szybciej znalazła się w pozycji dogodnej do strzału.

Plac rozjaśnił się jednym krótkim błyskiem, po którym walka się zakończyła.

Jonny poczuł, jak wszystkie mięśnie Chrys zwiotczały. Przez chwilę obawiał się nawet, że kobieta zasłabnie albo zacznie histeryzować... ale kiedy się odezwała, w jej głosie słychać było stanowczość i opanowanie.

– Pozwól mi iść do niego, Jonny. Proszę... Zawahał się, wiedząc, jak może teraz wyglądać MacDonald.

– To może być bardzo przykry widok, Chrys...

– Proszę.

Poszli we dwoje, a Jonny nadal obejmował Chrys za ramiona.

Widok był rzeczywiście bardzo przykry. Strzał z przeciwpancernego lasera L'esta trafił MacDonalda w środek piersi, niemal zwęglając mu serce i większą część tkanki płucnej. Ręce leżały bezwładnie na ziemi, bo zniszczeniu uległy także połączenia między nanokomputerem a serwomotorami mięśni, uniemożliwiając w ten sposób Kobre oddanie ostatniego, przedśmiertnego strzału.

– Takie straszne marnotrawstwo – odezwał się z boku czyjś głos.

Jonny powoli się odwrócił, zdjął rękę z ramienia Chrys i odsunął się od niej o pół kroku.

– Tak, straszne, nieprawdaż, Challinor? – powiedział do mężczyzny stojącego teraz przed nim, czując, jak zaczyna ogarniać go nagle wściekłość. – Straszne, że nie spróbował dobrać się najpierw do ciebie i twojego głównego rzeźnika zamiast do tych dwóch frantów, których udało ci się przeciągnąć na swoją stronę.

– On zaatakował nas pierwszy, sam widziałeś. Wszyscy to widzieliście. – Ostatnie słowa powiedział Challinor podniesionym głosem, zapewne na użytek osłupiałego ze zgrozy tłumu. – Ce-trzy L'est starał się tylko was chronić, a to przecież należy do jego obowiązków.

Wszystkie możliwe odpowiedzi ugrzęzły Jonny'emu w gardle i wydał z siebie tylko głęboki, zwierzęcy niemal pomruk. Challinor popatrzył na niego z namysłem.

– Przykro mi z powodu śmierci twojego przyjaciela. Naprawdę mi przykro – odezwał się cicho. – Musisz jednak zrozumieć, że nie możemy dopuścić, aby ktokolwiek sprzeciwiał się naszym planom. Zamierzamy dokonać wielkich zmian na Aventinie, a im szybszy i bardziej stanowczy będzie nasz pierwszy krok, tym bardziej prawdopodobne, że gubernator generalny skapituluje, nie uciekając się do zbędnego przelewu krwi.

Do Challinora podszedł Taber.

– Szintra nie żyje – powiedział, unikając spojrzenia Jonny'ego. – Patrusky przez kilka dni nie będzie nadawał się do żadnej akcji, ale obrażenia, jakie odniósł, nie zagrażają jego życiu.

Challinor kiwnął głową.

– Naprawdę go nie doceniałem – odezwał się z zadumą. – Myślałem, że będzie zbyt wściekły, by zaprzętać sobie głowę taktyką walki. Tak, to był niebezpieczny człowiek. Jaka szkoda, że nie chciał stanąć po naszej stronie.

– Zabiję cię kiedyś, Challinor – powiedział przez zaciśnięte zęby Jonny. – Wystawiłeś Kena na pewną śmierć i za to będziesz musiał umrzeć.

Challinor nawet nie drgnął, tylko jego oczy zmieniły się w wąskie szparki.

– Możesz próbować – odezwał się spokojnie. – Ale nie uda ci się nas powstrzymać. Jeśli zginę, moje miejsce zajmie L'est. Czy naprawdę wolisz, żeby on tu rozkazywał? I tylko niech ci się nie zdaje, że będziesz mógł pokonać nas wszystkich. MacDonald miał dużo szczęścia, skoro udało mu się dokonać aż tyle.

Jonny nie odpowiedział. Dając się ponosić wściekłości jak piórko wzburzonym falom, zaczął niezwykle szybko i jasno analizować swoje możliwości i szansę. Challinor stał na wprost niego, Taber o dwa kroki z jego lewej strony, a L'est gdzieś za nim i trochę dalej. Ledwo zauważalne ugięcie nóg w kolanach pozwoliłoby mu na wykonanie skoku, w czasie którego mógłby silnym kopnięciem w głowę zabić dwóch pierwszych, zwłaszcza jeśliby najpierw ogłuszył ich bronią akustyczną. L'est znajdował się niestety zbyt daleko, aby siła tego dźwięku na otwartej przestrzeni mogła wyrządzić mu jakąkolwiek szkodę, ale gdyby w tym czasie był zajęty obserwowaniem tłumu w obawie przed oznakami buntu, Jonny mógłby trafić go pierwszym strzałem...

– Nie! – Nieoczekiwany okrzyk Chrys i jej dłoń położona mu na ramieniu sprawiły, że myśli Jonny’ego przestały biec dotychczasowym torem. – Nie rób tego, Jonny! Wystarczy mi, że straciłam Kena... nie chcę teraz utracić także ciebie.

Jonny zamknął oczy i głęboko odetchnął. Moje obowiązki wobec osady nie przewidują, żebym oddawał życie, powodowany nienawiścią – pomyślał, starając się stłumić trawiącą go wściekłość... i po chwili poczuł, jak płonący w nim ogień zaczyna z wolna gasnąć.

Otworzył oczy. Challinor i Taber z napięciem mu się przyglądali.

– Doktor Eldjarn musiał dzisiaj rano pojechać w pilnej sprawie do Sangraalu – powiedział oschle do Challinora. – powinieneś odblokować łączność telefoniczną, żebyśmy mogli tam zadzwonić i kazać mu wrócić.

Słyszając te słowa, dwaj stojący przed nim mężczyźni w mundurach Kobr trochę się odprężyli.

– Nie ma takiej potrzeby – odrzekł Challinor. – Za kilka minut powinien być już w domu, o ile jeszcze tam nie dotarł. Rzecz jasna, nasze posterunki blokujące drogi zatrzymały go, zanim zdołał dojechać do Thanksgiving. Naprawdę nie powinieneś próbować przesłać wiadomości w tak głupi sposób... nie pozostawiłeś nam wyboru i zmusiłeś nas do rozpoczęcia akcji.

Nic na to nie można było odpowiedzieć. Ujmując Chrys za ramię, Jonny odwrócił się i odszedł.

– Jego pradziadek był ostatnim z sześciu pokoleń MacDonaldów i na Ziemi pełnił służbę w wojsku jako oficer w Pięćdziesiątej Pierwszej Dywizji Szkockich Górali. Wiedziałeś o tym?

Jonny tylko kiwnął głową. Chrys siedziała z podkurczonymi nogami na tapczanie i od chwili ich przybycia do domu kilka godzin wcześniej prawie bez przerwy mówiła o MacDonaldzie. Z początku Jonny’ego to martwiło, zastanawiał się, czy Chrys nie próbuje uciec od rzeczywistości w swój dziwny intymny świat fantazji. Potem jednak zrozumiał, że w ten sposób pragnie jedynie się pożegnać.

Siedział więc w milczeniu na krześle i tylko od czasu do czasu, kiedy to było konieczne, przytakiwał obserwując, jak Chrys usiłuje pozbyć się dręczącego ją bólu.

Minęło całe popołudnie, zanim w końcu przestała mówić. Później przez dłuższy czas siedzieli w zupełnej ciszy i patrzyli przez okno na wydłużające się z każdą chwilą cienie. Jonny nigdy się nie dowiedział, o czym Chrys wówczas myślała, ale jego myśli płynęły leniwie nurtem przepelnionym goryczą i poczuciem winy. Scena na Placu stawała mu przed oczami wciąż na nowo, wracały pytania,

na które nie było odpowiedzi. Czy MacDonald rzeczywiście działał ogarnięty wściekłością, czy może myślał wtedy całkiem jasno? Czy dostrzegł nadarzącą się szansę równoczesnego wyeliminowania Szintry i Patrusky'ego z walki i starał się zrobić wszystko, by tę szansę wykorzystać? Czy spodziewał się, że Jonny pospieszy mu z pomocą? Czy mogli we dwójkę przeciwstawić się wszystkim Kobrom Challinora?

Dźwięk otwieranych drzwi wejściowych uwolnił go z tego zaklętego kręgu wyrzutów sumienia i poczucia winy.

- Tata? - zawołała Chrys.

- Tak, to ja.

Eldjarn wszedł i usiadł obok córki. Wyglądał na zmęczonego.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Nic mi nie jest. Co się dzieje teraz w mieście?

- Niewiele - odparł Eldjarn, przecierając oczy. - Burmistrz Tyler musiał obiecać Challinorowi, że nikt z nas nie będzie mu przeszkadzał. Nie wiem tylko... słyszałem, jak ludzie dużo gadają o tym, że ktoś jednak powinien coś z tym zrobić.

- Tym kimś mam być oczywiście ja - odrzekł Jonny. - Zapewne doszli do wniosku, że się boję?

Eldjarn popatrzył na niego, a później niechętnie wzruszył ramionami.

- Nikt nie ma do ciebie żalu - powiedział.

- Innymi słowy, mają go wszyscy - odparł Jonny, być może ze zbyt dużą goryczą w głosie.

- Jonny...

- W porządku, Chrys.

Właściwie nie powinien mieć o to do nich pretensji. Nie mogli przecież wiedzieć, dlaczego powstrzymał się od walki. Sam nawet nie był teraz pewien dlaczego...

- Orrin, czy wiesz może, ilu ludzi Challinora przebywa w tej chwili w Ariel? - zapytał.

- Wiem o co najmniej dziesięciu Kobrach. Do tego trzeba dodać kilkunastu rozrabiaków, którzy zajęci są przy blokadzie dróg - odparł Eldjarn.

Jonny tylko kiwnął głową. Challinor kiedyś sam powiedział, że ma po swojej stronie tuzin Kobr. Jeśli dodać do nich Tabera i być może kilku innych, a nie uwzględniać Szintry, można byłoby sądzić, że w tej chwili prawie wszyscy buntownicy przebywali w Ariel. Wynikał z tego tylko jeden wniosek.

– Nie są jeszcze gotowi do tego, żeby zająć kopalnie. Są do tego stopnia niegotowi, że wolą raczej odciąć całą osadę od reszty świata, niż przyspieszyć realizację swoich planów. Macie jakieś pomysły, dlaczego?

Na chwilę w pokoju zapadła cisza.

– Każda zmiana górników pracuje na ogół przez dwa tygodnie, a przez trzeci odpoczywa w Weald, prawda? – zapytała Chrys. – Może Challinor zaplanował, że wykona swój ruch w chwili, w której załogi górnicze się zmieniają?

– To byłoby rozsądne posunięcie – zgodził się z nią Jonny. – W zależności od tego, jak zazwyczaj odbywa się taka rotacja, Challinor zechce opanować kopalnie albo wtedy, kiedy będzie tam tylko jedna zmiana, albo wówczas, kiedy znajdą się tam wszystkie trzy. Jeżeli zdecyduje się na to pierwsze, łatwiej je opanuje, jeżeli na to drugie, będzie mógł wziąć więcej zakładników, a więc i taką ewentualność musimy brać pod uwagę. Jeśli będzie działał zgodnie z tym planem, miną trzy dni. Czasu powinno wystarczyć.

– Na co? – zapytała podejrzliwie Chrys.

– Rzecz jasna, na to, żebym wybrał się w górę rzeki do górników i ostrzegł ich o grożącym niebezpieczeństwie – odparł. – Nie wolno mi tracić ani chwili.

Wstał.

– Zaczekaj, Jonny, to szaleństwo – odezwał się Eldjarn. – Po pierwsze, odziera nas od nich czterdzieści kilometrów wyjątkowo nieprzyjaznego ludziom lasu. Po drugie, zauważą twoją nieobecność o wiele wcześniej, niż tam dotrzesz.

Po namyśle Jonny wrócił na swoje miejsce i usiadł.

– Tak, o tym drugim nie pomyślałem – przyznał. – Czy uważasz, że Challinor będzie mnie tak bardzo pilnował? Eldjarn wzruszył ramionami.

– Mimo twojego... hm... braku reakcji dzisiejszego ranka jesteś nadal jedyną osobą w osadzie, która może być dla niego naprawdę niebezpieczna. Twoje zniknięcie z pewnością zostanie dostrzeżone jutro rano, a nie chcę nawet myśleć o tym, na jak desperackie kroki zdecyduje się wówczas Challinor. Pomysł jest całkiem niezły, ale sądzę, że wprowadzeniem go w życie powinien się zająć ktoś inny. Ja na przykład.

– Ty? – Chrys wyglądała na zdumioną. – Tato, to niedorzeczne. Powiedziała-
bym nawet, że graniczy z samobójstwem. Bez broni, przy tylu kolczastych lam-
partach buszujących w gęszczu, nie będziesz miał najmniejszej szansy.

– Muszę spróbować – powiedział jej ojciec. – Przed atakami lampartów po-
winna uchronić mnie łódka. No może poza tymi najbardziej wściekłymi. I wcale
nie zamierzam wybierać się bez broni. W osadzie jest przecież broń, którą mogę
zabrać.

– Jaką? Maczetę Setha Ramosy? – prychnęła Chrys.

– Nie.

Eldjarn przerwał, a Jonny zobaczył, że na policzku drga mu jakiś mięsień.

– Laser przeciwpancerny Kena. Chrys ze zdumienia otworzyła usta.

– Masz na myśli ten, który... Tato! Ty chyba nie mówisz poważnie!

– Jak najpoważniej. – Popatrzył na Jonny'ego. – Czy jest jakiś sposób na usu-
nięcie lasera bez amputowania nogi? – zapytał. – Bo tego Challinor nie mógłby
nie zauważyć.

– Raz kiedyś już to robiono. Podczas naszego krótkiego wypadu do cywila –
odrzekł machinalnie Jonny.

Całe wyposażenie Kobry MacDonalda było do dyspozycji, a on nawet ani
razu nie pomyślał, by go użyć.

– Czy rozmawiałeś już z ojcem Vitkauskasem na temat przygotowań do po-
grzebu? – zapytał Eldjarna. Eldjarn kiwnął głową.

– To będzie wspólny pogrzeb MacDonalda i Insleya. Jutro, o dziewiątej rano
na Placu. Sądzę, że zechce wziąć w nim udział większość mieszkańców osady, a
w takim tłumie Challinor nigdy się nie połapie, że mnie nie ma.

Jonny wstał.

– Wygląda na to, że ten laser musimy wydostać właśnie teraz. Ciało Kena
złożono w kostnicy, prawda? To dobrze, a więc chodźmy.

Jak w większości osad kolonistów na Aventynie, kiedy zachodziła potrzeba,
praca Eldjarna jako lekarza w Ariel polegała także na pełnieniu roli przedsię-
biorcy pogrzebowego. Jego skromne biuro z niewielką salą operacyjną znajdo-
wało się na tyłach domu, a w małym pokoju służącym jako kostnica przygotowy-
wał zwłoki do pogrzebu. Pozostawiwszy Chrys koło drzwi, aby strzegła wejścia,
Jonny i Eldjarn udali się do środka. Spoczywające na stole ciało MacDonalda nie
wyglądało ani trochę lepiej niż wówczas, kiedy leżało rozciągnięte na Placu, ale

przynajmniej swąd spalenizny nie był tak intensywny jak wtedy. Zapewne zdążył już sam wywietrzeć albo został celowo zneutralizowany. Jonny spojrzał na ranę w piersi tylko raz, a potem odwrócił wzrok, skupiając całą uwagę na nodze.

– Laser jest umieszczony w tym miejscu, poniżej większości mięśni łydki – wyjaśnił Eldjarnowi, przesuwając lekko palcem po nodze MacDonalda. – Prawdopodobnie nie będzie widać żadnej blizny... a przynajmniej nie widać jej u mnie... Kiedy ostatni raz go wyjmowali, nacinali ciało mniej więcej tutaj – pokazał.

Eldjarn kiwnął głową.

– Widzę już, jak go później umieścili. No dobrze. Idę po tacę z narzędziami i możemy zaczynać.

Ich jedynym ostrzeżeniem był cichy odgłos kroków za drzwiami. Jonny obejrzał się przez ramię w porę, aby ujrzeć, jak drzwi się otwierają i do pokoju wchodzi L'est i Taber, a za nimi blada jak ściana Chrys.

– Dobry wieczór! O, doktor Eldjarn i Moreau – odezwał się L'est, omiatając wzrokiem cały pokój. – Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkadzamy?

– Przygotowujemy ciało MacDonalda do pogrzebu – odrzekł chłodno Eldjarn. – Czego od nas chcecie?

– Och, tylko się upewnić, że nikt nie będzie próbował żadnych bohaterskich sztuczek. L'est spojrzał ponad ramieniem Eldjarna.

– Przyszło mi właśnie do głowy, że być może powinniśmy usunąć uzbrojenie naszego zmarłego kolegi, zanim komuś innemu przyjdzie do głowy taki pomysł. Zajmie mi to tylko minutę, jeżeli zechce pan się odsunąć na bok.

Eldjarn się nie poruszył.

– Mowy nie ma – powiedział ucinającym wszelką dyskusję tonem. – Nie zamierzam pozwolić, żeby pan okaleczył zwłoki w taki sposób.

– Nie ma pan wyboru. Proszę odsunąć się na bok. Eldjarn parsknął.

– Rozumiem, że może pan nie mieć doświadczenia jako przyszły kacyk nowego księstwa, ale jeśli naprawdę pan sądzi, że można zabić albo aresztować jedynego lekarza w całej osadzie, a później oczekiwać, żeby jej mieszkańcy zechcieli z panem choćby niechętnie współpracować, to jest pan w grubym błędzie.

Wyraz twarzy L'esta wskazywał, że po raz pierwszy zaczyna tracić pewność siebie.

– Niech pan posłucha, doktorze... – zaczął.

– Doktorze, a może pan usunąłby te lasery? – odezwał się nagle Taber. – Jest pan przecież chirurgiem. Z pewnością potrafi pan zrobić to w taki sposób, by nie było widać żadnych śladów.

Eldjarn zawahał się przez chwilę.

– Jonny? – zapytał.

Jonny wzruszył ramionami, starając się ukryć rozczarowanie z powodu podejrzliwości i zdolności przewidywania L'esta.

– Jeżeli nie zrobisz tego ty, zrobi to L'est – powiedział. – Z dwojga złego wolałbym, żebyś zrobił to ty, i to osobiście. – Przeszył L'esta wzrokiem. – Ale Orrin ma rację. Nie będzie żadnego okaleczania zwłok – dodał. – Mówiąc bez ogródek, nie pozwolimy odciąć małych palców.

– Ale lasery... – zaczął L'est.

– Żadnych ale. Jego ręce w trumnie będą widoczne dla wszystkich. Taber trącił L'esta.

– Powinno nam wystarczyć, jeżeli stwierdzimy przed pogrzebem, że są nadal na swoich miejscach – mruknął. – Zawsze będziesz mógł zabrać te lasery i moduł zasilania po zakończeniu ceremonii pogrzebowej, jeżeli naprawdę uznasz to za konieczne.

Po namyśle L'est kiwnął głową.

– No dobrze. Ale jeśli rano okaże się, że palców brakuje, pan będzie za to przed nami odpowiadał, doktorze.

– Rozumiem. Jonny, mógłbyś razem z Chrys pójść do domu Kena i przynieść mi stamtąd jego mundur Kobry?

Jonny kiwnął głową. Źle się stało, że Chrys była świadkiem, jak wojskowi kłócili się o usunięcie z ciała MacDonalda jego uzbrojenia. Nie musiała jeszcze przyglądać się nacinaniu zwłok.

– Jasne – powiedział. – Myślę, że obydwójgu nam spacer dobrze zrobi. Chodź, Chrys, idziemy.

– Tylko nie rób głupstw i nie łaź, gdzie nie trzeba – ostrzegł go jeszcze L'est. – Drogi wylotowe z osady są zablokowane, a na każdej barykadzie mamy co najmniej jednego Kobrę.

Jonny nie zadał sobie trudu, by mu odpowiedzieć. Przecisnąwszy się obok nich, ujął Chrys pod ramię i wyszedł.

Dom MacDonalda nie znajdował się daleko, ale Jonny specjalnie się nie spieszył. Było tam zbyt wiele rzeczy przypominających mu zabitego przyjaciela. Kiedy w końcu wyszli ze starannie złożonym mundurem, zrobiło się tak ciemno, że na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy.

– Może jeszcze trochę pospacerujemy? – zaproponował Jonny, kiedy Chrys skręciła w drogę do domu.

– To zbyt bezpieczne – odparła zmęczonym głosem. – Tata z pewnością już wszystko skończył.

– Ale wieczór jest taki piękny – nalegał Jonny, skierowując ją delikatnie, choć pewnie, w kierunku centrum osady.

Opierała się tylko przez chwilę, a później zrezygnowała i poszła obok niego.

– Przyszedł ci do głowy jakiś pomysł? – zapytała szeptem.

Jonny kiwnął głową.

– Tak mi się zdaje. Masz przy sobie klucze do sklepu?

– Mam... ale nie posunęłam się zbyt daleko w pracy nad tym nadajnikiem kierunkowym.

– Nic nie szkodzi. Czy nie zostało ci jeszcze trochę tych elektronicznych cacek, jakie zwykle instaluje się w układach kierowania pojazdami, jeśli chce się nimi zdalnie sterować?

– Mikroprzełączników sterowanych przez radio? Jasne. Górnicy w kopalniach firmy Kerseage Mines używają ich przez cały czas w urządzeniach do wiercenia otworów i automatach kierujących barkami, którymi ruda płynie z prądem rzeki... – Przerwała. – Statek, płynący pod prąd? Z wiadomościami od nas?

– Staraj się mówić trochę ciszej – ostrzegł ją Jonny. – Ten gość, który za nami idzie, może cię łatwo usłyszeć.

Właściwie sam nie bardzo w to wierzył. Zdążył się już upewnić, że śledzący ich nastolatek był jednym z pomocników Challinora. Ale trzymał się przez cały czas tak daleko z tyłu, że nie mógłby usłyszeć niczego, może z wyjątkiem głośnego krzyku. Jonny nie był jednak pewien, jak Chrys zareaguje na plan, który z wolna zaczynał krystalizować mu się w głowie, i wszelkie niezbędne wyjaśnienia miał zamiar odwlekać tak długo, jak to możliwe.

Dotarli mniej więcej do skraju Placu, skąd widzieli już wejście do sklepu Chrys, kiedy dziewczyna raptownie pociągnęła go za rękę.

– Przy drzwiach ktoś stoi! – syknęła. Jonny włączył swój wzmacniacz wzroku.

– To Almo Pyre – powiedział, rozpoznawszy chłopaka. – Jest uzbrojony w śrutówkę. Challinor zapewne się obawiał, że ty albo Ned spróbujecie pokusić się o odblokowanie łączności telefonicznej.

Pomyślał jednak, że sam fakt rozmieszczenia przez Challinora większości ludzi w taki sposób, aby uniemożliwić komukolwiek wydostanie się z osady, dowodził, że nie uważał aparatury Chrys za bardzo duże zagrożenie.

– To nie powinno być zbyt trudne – dodał.

– A co z tym, który nas śledzi? – zapytała z niepokojem Chrys. – I uważaj, żeby Almo nie odniósł żadnych obrażeń. Jest przecież jeszcze tylko dzieckiem.

– Które jest na tyle dorosłe, że może odpowiadać za swoje czyny – zauważył Jonny. – Ale nie martw się, ja także go lubię. A jeżeli chodzi o nasz cień, to jeśli skręcimy w prawo za róg tej apteki, po kilku chwilach szybkiego marszu powinniśmy go zgubić, nie uświadamiając mu, że o nim wiemy. Później okrążymy Plac i dotrzemy do sklepu od tyłu. Kiedy się tam znajdziemy, nie będziemy mogli rozmawiać, a więc musisz udzielić mi kilku informacji teraz...

Jego plan powiódł się znakomicie i kiedy znaleźli się na tyłach sklepiku Chrys, szpiega Challinora nie było nigdzie widać. Tył budynku nie miał drzwi, których trzeba byłoby pilnować, dlatego nikogo tam nie postawiono. Stanąwszy dokładnie pod oknem na piętrze, które pokazała mu Chrys, Jonny po raz ostatni spojrzął w prawo i w lewo, a potem skoczył. Serwomotory nóg okazały się aż nadto wystarczające do tego, co chciał zrobić, i po chwili znalazł się na wąskim występie zaokiennym. Wylądował tam, skulony, z rozsuniętymi na boki kolanami, aby nie stłuc szyby, i natychmiast postarał się uchwycić drewnianą framugę. Stwierdził, że okno było na kilka centymetrów uchylone, żeby zapewnić dostęp powietrza do pokoju. Udało mu się dolną część okna przesunąć do góry i po kilku sekundach już stanął w środku.

Nie musiał długo szukać – wszystkie rzeczy, których potrzebował, znajdowały się dokładnie tam, gdzie Chrys powiedziała, że będą – więc po dwóch minutach Jonny przykucnął znów na występie i zamknął okno za sobą. Po chwili oddalali się od budynku tak nonszalancko, jak tylko to w tych warunkach było możliwe. Idąc u jego boku, Chrys oddychała z nieco większym wysiłkiem niż Jonny.

– Bez problemu – zapewnił ją, odpowiadając na jej nieme pytanie. – Nikt nawet nie zauważył, że tam byłem. Wracajmy teraz do domu. Ty i twój ojciec będziecie mieli tej nocy mnóstwo pracy.

Kiedy dotarli w końcu do domu Eldjarnów, L'est i Taber dawno już sobie poszli, ale Jonny był zbyt sprytny, aby zostawać tam długo. Na szczęście wyjaśnienie szczegółów planu Chrys i Orrinowi zajęło mu najwyżej pięć minut. Ani dziewczyna, ani jej ojciec nie byli nim zachwyceni, lecz mimo zrozumiałych oporów w końcu zgodzili się mu pomóc.

Opuścił ich w kilka chwil później, ale kiedy skręcał w ulicę wiodącą do jego domu, kątem oka zobaczył cień odrywający się od krzaków rosnących w pobliżu budynku Eldjarnów i ruszający za nim, tym razem w nieco mniejszej odległości niż poprzednio.

Westchnął i po raz pierwszy od czasu śmierci MacDonalda na jego twarzy zagościł gorzki uśmiech. Wiedział teraz, że jego sztuczka się udała i że szpieg Challinora był znów zajęty swoją pracą. Nieobecność zdenerwowanych Kobr patrolujących osadę wskazywała, że chłopak nie uznał kilkuminutowego zniknięcia śledzonej ofiary za coś na tyle ważnego, by warto było zameldować o tym swoim rozkazodawcom. Jonny rozumiał go bardzo dobrze, zważywszy na wcześniejszy pokaz szybkości, z jaką potrafią zabijać Kobry. Jeżeli chodziło o niego, nie miał nic przeciwko temu, aby chłopak obserwował go przez całą resztę nocy.

Żywił tylko nadzieję, że Challinor nie pomyślał o tym, aby obserwować także Chrys i jej ojca.

Poranek następnego dnia wstał pogodny i jasny, a ciemnobłękitne niebo było upstrzone tylko kilkoma pierzastymi cirrusami. Jonny uważał w pewnym sensie za nietakt, że niebo Aventyny wyglądało tak radośnie w dniu pogrzebu MacDonalda i po nocy, którą on sam spędził dręczony koszmarными snami. Z drugiej strony ładna pogoda powinna zgromadzić na pogrzebie tłumy ludzi, a to mogło ściągnąć na Plac większość Kobr Challinora. Być może więc mimo wszystko Aventina stanie po jego stronie.

Nieco podniesiony na duchu zjadł śniadanie, wykapał się i ogolił, i o pół do dziewiątej wyszedł z domu, ubrany w kompletny mundur Kobry.

Na dole czekali już na niego L'est i Taber. Byli tak samo zmęczeni i niewyspani jak Jonny.

– Dzień dobry, Moreau – odezwał się L'est, mierząc go wzrokiem od stóp do głów. – Już dawno nie widziałem cię tak porządnie ubranego.

– Jesteś bardzo uprzejmy – mruknął Jonny. – A teraz, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, muszę iść na pogrzeb. Jestem pewien, że i ty musisz iść tam, do kąd wzywają cię obowiązki.

Przeszedł pomiędzy nimi i skierował się w stronę centrum osady.

Dwaj mężczyźni odwrócili się i ruszyli po obu jego stronach, ale o krok za nim.

– Istnieje co najmniej sto miejsc, do których wolałbym w tej chwili pójść i z tysiąc osób, w towarzystwie których wolałbym przebywać – oświadczył L'est. – Tors jednak widocznie uważa, że potrzebujesz kogoś, kto przez ten czas będzie trzymał cię na smyczy.

Jonny parsknął.

– Challinor nigdy nie przebierał w słowach. Czego, do diabła, się obawiacie? Że w trakcie pogrzebu Kena będę starał się wywołać zamieszanie?

– Nie ma sensu ryzykować – odezwał się głucho Taber. – Jak dotąd panował w Ariel spokój, ale tak liczne gromady ludzi są zawsze podatne na najmniejszą iskrę, Demonstracja naszej siły jest najlepszą gwarancją, że nikt nie wpadnie na żaden szalony pomysł.

Jonny odwrócił głowę i popatrzył na niego.

– Nie wygląda na to, żebyś był tego tak samo pewien jak kiedyś – zauważył.
– Czyżby despotyzm Challinora zaczynał działać ci na nerwy?

Taber przez chwilę szedł w milczeniu.

– Ja też lubiłem MacDonalda – powiedział w końcu. – Challinor ma jednak rację: nasz rząd nie funkcjonuje, jak powinien.

– Istnieją sposoby na to, by to zmienić bez uciekania się do jawnego buntu...

– Dostyc tego – uciął L'est. – Czas na rozmowy o polityce dawno minął.

Jonny zacisnął mocno usta. Właściwie nie powinien spodziewać się niczego innego. L'est nie miał zamiaru bezczynnie się przyglądać, jak Jonny polewa obficie wodą ziarna niepokoju, jakie zaczynały kiełkować w umyśle Tabera. Było możliwe – całkiem możliwe – że zapuszczą korzenie i wydadzą owoc nawet bez tego. Zupełnie inny problem to pytanie, czy zdążą zrobić to w odpowiedniej chwili.

Jonny nie widział na Placu takich tłumów od czasu ostatniej rocznicy Dnia Lądowania. Na samym środku, umieszczone na dwóch metrowej wysokości postumentach, znajdowały się dwie nie zamknięte trumny. W jednej nawet ze skraju Placu można było dostrzec twarz i złożone ręce MacDonalda. Miedzy trumnami, na jedynym widocznym krześle, siedział ojciec Vitkauskas. Nie zatrzymując się, Jonny skręcił w lewo i okrążył tłum, przystając dopiero na wysokości trumny ze zwłokami przyjaciela. Spojrzawszy w prawo i w lewo, dostrzegł co najmniej sześć Kobr Challinora rozstawionych na obrzeżach Placu w mniej więcej rów-

nych odległościach. Pozycje, jakie zajmowali, wybrano z pełną świadomością faktu, że znajdując się nieco wyżej niż reszta ludzi, mogli lepiej obserwować, co się dzieje. Widocznie Challinor naprawdę się obawiał, że w tłumie może dojść do rozruchów.

– Witaj, Moreau – zaszemrał za nim jakiś głos. Jonny obejrzał się i zobaczył, jak obok L'esta zatrzymuje się Challinor. – Mnóstwo ludzi, nie uważasz?

– Uważam – odparł chłodno Jonny. – MacDonald był osobą bardzo popularną. Zabicie go było prawdopodobnie jednym z twoich największych błędów.

Wzrok Challinora prześlizgnął się po zgromadzonych tłumach i dopiero po chwili spoczął znów na Jonnym.

– Mam nadzieję, że nie okażesz się na tyle głupi, żeby to wykorzystać – powiedział tonem, w którym nie krył urazy. – L'est, Taber i ja przez cały czas będziemy mieli cię na oku. Jeśli tylko dojdziemy do wniosku, że coś knujesz, będzie to twoja ostatnia czynność w życiu. A przy tej okazji możliwe, że ostatnia w życiu wielu tych niewinnych ludzi.

Popatrzył znaczącym wzrokiem na Kobry rozstawione na skraju Placu.

– Możesz się nie bać – burknął Jonny. – Nie zamierzam wywołać żadnej awantury.

Nagle szmer rozmów zgromadzonych ludzi z wolna ucichł. Odwróciwszy się, Jonny ujrzał, że ojciec Vitkauskas wstał ze swojego krzesła.

I rozpoczął ceremonię pogrzebową.

Później Jonny prawie nie pamiętał, co mówiono tego pogodnego ranka. Śpiewał machinalnie wówczas, kiedy śpiewali inni, pochylał głowę wtedy, kiedy było trzeba... ale przez większość czasu obserwował tłumy, starając się dostrzec ludzi, których znał najlepiej, i próbując się zorientować, w jakim też mogą być nastroju. Bez trudu odszukał w pierwszym rzędzie w sąsiednim sektorze Placu Chrys i jej ojca. Niedaleko nich z poważną, dostojną miną stał burmistrz Tyler. Wyglądał na człowieka za wszelką cenę chcącego ukryć fakt, że dobrze mu znany porządek wywrócił się do góry nogami. Jonny mógł zresztą dostrzec, że twarze wielu innych ludzi zdradzały takie same, nurtujące ich obawy. Nie można było im się dziwić. W ich przeświadczeniu Kobry, ich dotychczasowi opiekunowie i pomocnicy, zwrócili się teraz przeciwko nim, a oni nie wiedzieli, jak na to zareagować. Na niektórych twarzach ta niepewność była bardziej widoczna niż na innych. Jonny zauważył Alma Pyre'a, niepewnie przestępującego z nogi na nogę. Podobnie jak Taber, on też miał chyba wyrzuty sumienia z powodu tego, po czyżej stanął stronie.

Nagły szelest szat zwrócił uwagę Jonny'ego z powrotem na kapłana. Zobaczył, że ceremonia pogrzebowa ma się ku końcowi, a tłumy ludzi uklękły, aby odmówić ostatnią modlitwę. Pospiesznie także uklękął, ale nie przestał się rozglądać. Kobry Challinora stały. Widocznie szacunek dla MacDonalda musiał ustąpić przed taktycznym nakazem uważnego patrzenia na zgromadzone tłumy. Kątem oka zauważył, jak Almo przez chwilę się zawahał, ale później, spojrzawszy na Jonny'ego, uklękął jak wszyscy ludzie obok. Stojący między trumnami ojciec Vitkauskas także opadł na kolana... i zaczął odmawiać requiescat. Jonny popatrzył na Chrys i zobaczył, jak sięga dłonią do rozcięcia w długiej spódnicy i do urządzenia, które ma przymocowane do nogi...

I jak MacDonald siada w swojej trumnie.

Za plecami Jonny'ego ktoś głęboko westchnął... ale to była jedyna rzecz, jaką ktokolwiek ze zgromadzonych zdążył zrobić. Ręce MacDonalda wyciągnęły się przed siebie jak do powitania... a lasery w małych palcach jego dłoni rozbłysły nagle jasnym światłem.

Taber, ustawiony dokładnie na linii ognia, skurczył się i upadł, nie zdążywszy nawet jęknąć. Challinor i L'est, dzięki zaprogramowanym odruchom, zdołali się wyrwać z odrętwienia, w jakie wpadli na ten widok, uskoczyli na boki i także wyciągnęli ręce z laserami. Dłonie MacDonalda były jednak szybsze. Wykonując nieznaczne ruchy na boki, wysyłały przez cały czas śmiercionośne promienie ponad głowami klęczącego tłumu. L'est zakrzuszył się, kiedy jeden z promieni trafił go w sam środek piersi, a później upadł, nie przestając strzelać z laserów do człowieka, którego już raz kiedyś zabił. Challinor natomiast przerwał ogień i uskoczył, starając się zejść z linii ognia, ale natychmiast zwałił się bezwładnie na ziemię, kiedy trafił go celny strzał z lasera przeciwpancernego Jonny'ego. Reszta Kobr, starając się bezskutecznie uniknąć ognia MacDonalda, o wiele za wolno zareagowała na włączenie się Jonny'ego do walki. Wiele zapewne nigdy nie zdało sobie sprawy z tego, kto je zabił. Dzięki chaotycznej strzelaninie MacDonalda, a raczej dzięki bardziej celnemu ogniowi laserów Jonny'ego wszystkie Kobry Challinora zginęły.

Wszystko zakończyło się tak szybko, że nikt ze zgromadzonych nie zdążył nawet krzyknąć.

– Wiesz, nie sądzę, żeby udało się nam zachować to w tajemnicy – odezwał się burmistrz Tyler, potrząsając głową. Ręce mu drżały. – Nie wspominając o innych sprawach, my, a z nami jedna czwarta miast w okręgu Caravel, zwrócimy się do gubernatora generalnego o przysłanie nam nowych Kobr.

– Nic nie szkodzi – powiedział Jonny, lekko krzywiąc się, kiedy Eldjarn smarował mu maścią oparzone ramię muśnięte promieniem lasera podczas walki. –

Nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby pomścić śmierć Challinora albo kontynuować to, co zaczął, jeżeli o to się martwisz. A jeśli myślisz o tych wszystkich niepewnych, o których Challinor sadił, że przejdą na jego stronę, to ręczę, iż będą teraz na wyścigi starali się udowodnić, że wiedzą, gdzie ich miejsce. Możesz być pewien, że pomysł podziału Aventyny na małe księstwa nikomu nie przyjdzie już do głowy. – Mrugnął porozumiewawczo do burmistrza. – Wystarczy, jeżeli w swoich raportach bardzo wyraźnie podkreślisz, że w buncie wzięło udział tylko kilka Kobr. Nie możemy dopuścić, aby ludzie zaczęli się nas obawiać... na Aventynie jest wciąż zbyt wiele prac, które mogą wykonać tylko Kobry.

Tyler kiwnął głową na znak zgody i ruszył w stronę drzwi wiodących do jego prywatnego biura.

– Tak – mruknął. – Mam tylko nadzieję, że Zhu nie zrozumie tego wszystkiego niewłaściwie. Za nic w świecie nie chciałbym, by naszą osadę obarczono winą za wygórowane ambicje Challinora.

Gdy zamknął za sobą drzwi, siedząca dotychczas na krześle Chrys wstała.

– Myślę, że i ja już pójdę – rzekła. – Muszę w końcu zająć się naprawą systemu łączności telefonicznej.

– Chrys... – zaczął Jonny, ale zawahał się i przerwał. – Przykro mi, że musiało to się stać podczas pogrzebu Kena, i że ty musiałaś... na to wszystko patrzeć...

Uśmiechnęła się blado.

– Chodzi ci o te dodatkowe obrażenia? – zapytała, potrząsając głową. – Ken przecież już od dawna nie żył, Jonny. Nie mógł odczuwać żadnego bólu. To o ciebie się martwiłam... bałam się nie na żarty, że i ciebie mogą zabić.

Jonny pokręcił głową.

– Szansa na to była bardzo mała – odparł, pragnąc ją uspokoić. – Ty, Orrin i ojciec Vitkauskas zrobiliście, co było w waszej mocy, żeby ułatwić mi całą sprawę. Mam tylko nadzieję, że dobre imię MacDonaldu nie... no, zresztą nie wiadomo.

– To już się stało – westchnęła Chrys. – Już zaczyna się szerzyć plotka, że Ken tylko udawał swoją śmierć, by móc zemścić się na swoich prześladowcach.

Jonny skrzywił się z niesmakiem. Tak, można się było spodziewać, że ludzie tak właśnie będą sądzić. A po kilku dniach, kilkaset kilometrów stąd cała historia nie będzie w niczym przypominała tego, co się stało. Jest możliwe, że ludzie będą mówili o Kobre-Mścicielu, który powstał z martwych, aby obronić prosty lud przed ciemnymi.

– Tego rodzaju legenda nie byłaby zresztą wcale taka zła – mruknął, myśląc głośno. – Być może zniechęci przyszłych Challinorów. Nie sądzę, żeby Ken miał coś przeciwko temu, aby kojarzyła się z jego nazwiskiem.

Chrys pokręciła głową.

– Ja też nie sądzę, chociaż w tej chwili, prawdę mówiąc, nie potrafię wybiegać myślą tak daleko w przyszłość.

– Jesteś pewna, że masz teraz ochotę na pracę? – spytał Jonny, przyglądając się jej zmęczonej twarzy. – Ned może zacząć naprawę systemu łączności bez ciebie.

– Nic mi nie jest. – Ujęła dłoń Jonny’ego i lekko ją ucisnęła. – Zobaczymy się później, Jonny – rzekła. – I za wszystko ci dziękuję.

Wyszła, a Jonny westchnął.

– Podziękowania należą się wam obydwójgu – odezwał się do Eldjarna. Zmęczenie dopiero teraz zaczynało dawać mu się we znaki. – Nie sądzę, żebym zdobył się na podłączenie tych wszystkich sekwencyjnych, sterowanych sygnałami radiowymi przekaźników do serwomotorów Kena, nawet gdybym wiedział, jak to zrobić – ciągnął. – Wyobrażam sobie, jak bardzo musiało to być trudne, szczególnie dla Chrys.

– Zrobiliśmy, co musieliśmy zrobić – odrzekł wymijająco Eldjarn. – Rozumiesz jednak, że to jeszcze nie koniec całej sprawy. Nawet nie ma co się tym łudzić. Jestem pewien, że Zhu w jakiś sposób na to zareaguje. Jeżeli jest mądry, częścią jego reakcji będzie wysłuchanie opinii przynajmniej niektórych Kobr na temat polityki rządu i sposobów wprowadzania jej w życie. Powinieneś tę szansę wykorzystać i zaproponować mu kilka dobrych, naprawdę konkretnych pomysłów i rozwiązań.

Jonny niechętnie wzruszył ramionami.

– Jestem podobny do Chrys – powiedział. – Ja też nie umiem wybiegać myślami tak daleko w przyszłość. Eldjarn potrząsnął niecierpliwie głową.

– Chrys może się czymś takim tłumaczyć, ale ty nie. Dopóki na Aventynie przebywają Kobry, zawsze istnieje zagrożenie, że coś takiego może się kiedyś powtórzyć. Jeżeli chcemy, by prawdopodobieństwo czegoś równie głupiego pozostawało dostatecznie małe, musimy działać, i to działać teraz.

– Och, daj spokój, Orrin. Zaczynasz znów mówić o polityce, a ja przecież zupełnie się na tym nie znam. Prawdę mówiąc, nie wiedziałbym nawet, od czego zacząć.

– Powinieneś zacząć od uświadomienia wszystkim Kobrom, że atak na przedstawicieli władzy jest atakiem wymierzonym w nie same – odrzekł Eldjarn.
– Ken walczył z Challinorem, bo uznał jego bunt za atak na jego rodzową dumę. Ty zapewne walczyłeś mniej więcej z takich samych przyczyn. – Zawahał się na chwilę. – Sądzę, że większość z was da się przekonać, że leży to w waszym własnym interesie... jeśli zostanie on związany z interesem władzy.

Jonny zmarszczył brwi, kiedy znaczenie tych słów przeniknęło przez ogarniające go zmęczenie.

– Proponujesz, aby w jakiś sposób włączono nas w struktury władzy? – zapytał z niedowierzaniem.

– Myślę, że tego nie da się uniknąć – odparł Eldjarn, a chociaż powiedział to pewnym głosem, niespokojne drżenie rąk wskazywało, jak bardzo był zdenerwowany. – Was, Kobry, obdarzono o wiele większą siłą, niż ktokolwiek brał to pod uwagę, a teraz system sprawowania władzy będzie musiał w taki czy w inny sposób to uwzględnić. I albo dobrowolnie, w sposób kontrolowany, podzielimy się z wami częścią rządów, albo będziemy musieli się liczyć z chaosem, w jaki wtrąci nas jakiś przyszły Challinor. Czy ci to się podoba, Jonny, czy nie, jesteś teraz liczącą się siłą polityczną... a twoim pierwszym zadaniem powinno być upewnienie się, że Zhu to zrozumie.

Na krótką chwilę Jonny wykrzywił twarz, zdając sobie sprawę, z jaką ironią toczy się czasem samo życie. Być może zatem w pewnym, całkiem nieoczekiwanym sensie Challinor mimo wszystko wygrał.

– Tak – westchnął w końcu. – Myślę, że właśnie to będę musiał zrobić.

Interludium

Dla wyćwiczonego i bystrego obserwatora wszystkie oznaki pozostawały widoczne jak na dłoni.

Rzecz jasna, nie były oczywiste. Jakieś zbędne zdanie w oficjalnym oświadczeniu przedstawicieli Troftów do komitetu, to znów nieznaczne przemieszczenia zarówno ich okrętów wojennych, jak i statków handlowych, wreszcie komentarze, których autorami byli bez wątpienia Troftowie, choć wypowiedali je Minthistowie – te wszystkie drobiazgi same w sobie nie miały jakiegokolwiek znaczenia. Traktowane jednak jako całość, wskazywały niedwuznacznie na to samo.

Po piętnastu latach przyglądania się, jak statki Dominium bez przeszkód przelatują wiodącym przez ich terytorium korytarzem, Troftowie zaczęli mieć w końcu tego dosyć.

Vanis D'arl przez okno gabinetu patrzył ponuro na pogrążoną w nocnym mroku Kopułę. Pomyślał, iż właściwie nie mógł spodziewać się niczego innego – połowa członków komitetu była szczerze zdumiona faktem, że ludzie mogli latać swobodnie korytarzem aż tak długo. Prawdę mówiąc, dowódcy Oddziałów Gwiazdnych od jedenastu lat uaktualniali plany, jakie mieli na wypadek zamknięcia korytarza... ale jeżeli nic się nie zmieni, będą mieli szansę wprowadzić je w życie w ciągu roku.

Nie trzeba było nikogo uświadamiać, że bez względu na wynik następnej wojny, jedną z pierwszych jej ofiar stałaby się Aventura i skolonizowane przez nią dwa jeszcze młodsze światy... te same, w obronie których miałyby toczyć się przyszła wojna. Sytuacja taka, zdaniem D'arla, mogła stanowić świetny przykład działań już na wstępie skazanych na pewną klęskę.

Ale co mógł innego zrobić? Ci sami członkowie komitetu, których musiał kiedyś usilnie namawiać na to, aby w ogóle zaakceptowali plan kolonizacji Aventyny, diametralnie zmienili zdanie, kiedy korytarzem zaczęto stamtąd sprowadzać cenne minerały i nieznane środki farmaceutyczne. Traktat, jaki wtedy podpisali z Troftami, zabraniał przelatywania tym szlakiem jednostkom wojskowym, a więc Dominium mogło tylko grozić wypowiedzeniem wojny w chwili, gdy młoda kolonia zostanie napadnięta. Groźbę tę powtarzano od wielu lat, zarówno w kontaktach oficjalnych jak prywatnych.

D'arl znał jednak bardzo dobrze oczywistą i obowiązującą w całym wszechświecie regułę, że jeśli jakiegś groźby nie popiera się czynami, koszty takiego postępowania na dłuższą metę robią się jeszcze większe.

Odwróciwszy się, przycisnął klawisz interkomu.

– Tak, panie przewodniczący? – odezwał się młody człowiek, unosząc głowę i patrząc na niego z ekranu.

– Czy skorelowałeś już te dane na temat biologii Aventyny?

– Tak jest. – Jame Moreau kiwnął głową. – Znajdują się teraz na pana biurku, oznaczone symbolem Bio/Fiz III. Położyłem je tam, kiedy był pan na zebraniu Komisji Polityki Ogólnej.

– Dziękuję.

D'arl popatrzył na zegarek.

– Możesz iść teraz do domu, Moreau. Jeżeli będę potrzebował czegoś więcej, poproszę o pomoc kogoś z nocnej zmiany.

– Tak jest. Niech będzie mi tylko wolno dodać, że na tej magnetycznej karcie znajduje się jedna rzecz, której należałoby się dokładniej przyjrzeć, jeżeli, rzecz jasna, zrozumiałem, czego pan szuka. Oznaczyłem ją dwiema gwiazdkami.

– Dziękuję – powtórzył D'arl i przerwał połączenie. Jak mogłeś wiedzieć, czego szukam? – pomyślał, krzywiąc w grymasie twarz przed ciemnym teraz ekranem. – Gdybym sam wiedział, czego szukam, znalazłbym to już przed wieloma laty. Prowadzenie badań na temat samowystarczalności, środki zapobiegawcze, mające odstraszyć wroga – to wszystko miało sens i wszystko się sprawdziło, a D'arl był w każdej chwili gotów, by po to znowu sięgnąć. Wiedział jednak, że czegoś mu brakuje – jakiegś myśli przewodniej, z pomocą której mógłby przekonać zarówno członków komitetu, jak i tamtych z Aventyny. Coś takiego musiało przecież istnieć – ale na tym etapie D'arl nie miał pojęcia, co by to miało być.

Przeszukując leżące teraz na jego biurku materiały, odnalazł magnetyczną kartę, którą przyniósł Moreau, i wsunął ją do komputerowego pulpitu, a potem wystukał na klawiaturze kod podwójnej gwiazdki. Okazało się, że wskazana mu informacja była analizą trzciniastej aventińskiej rośliny zwanej blussą. Roślina ta porastała na ogół nizinne, podmokłe tereny planety, pracowicie pochłaniając duże ilości jednego z metali umieszczonych przez D'arla na liście warunków samowystarczalności. Czas wzrostu, warunki wegetacji, biochemia – D'arl przelał wzrokiem po streszczeniu danych, które Moreau skopiował dla niego z centralnego zbioru informacji o Aventynie. ...biochemiczne reakcje na zmiany klimatyczne... Zamarł na chwilę i zaczął czytać uważniej. Wrócił do początku i jesz-

cze raz przeczytał. Poleciał wyświetlić najnowsze dane, jakie przysłano z Aventiny na temat jej zmian klimatycznych, uważnie je przestudiował, a następnie połączył się z komputerem nocnej zmiany Kopyły i poprosił o dokonanie badań oraz symulacji z użyciem danych na temat fauny Aventiny. Główny programista uważnie go wysłuchał i oświadczył, że zajmie mu to kilka godzin, a potem się rozłączył.

Przewodniczącemu D'arlowi pozostało więc tylko czekać. Gdyby naprawdę udało mu się odnaleźć tę nieuchwytną nić przewodnią... choć i wtedy pozostanie do zrobienia wiele rzeczy, i to na każdym ze światów, którego to dotyczyło. A nawet wówczas, gdyby mu się udało wprowadzić swój pomysł w życie, nie wszystko może potoczyć się tak, jak planował.

Na początku swojej pracy na stanowisku przewodniczącego prawdopodobnie odczuwałby tę niepewność jak ciężkie, spoczywające na jego barkach brzemie. Teraz jednak, po przeszło dziesięciu latach, emocje nie były już takie silne. Wiedział, że będzie robił wszystko, co może, a całą resztę musi zostawić wszechświatowi.

Już wkrótce się okazało, że wszechświat jest dla niego łaskawy. Po sześciu godzinach, kiedy obudził się z krótkiego snu, wyniki symulacji już na niego czekały.

Były pozytywne.

Mimo to przeczytał cały raport bardzo uważnie. Tak, znalazł swoją myśl przewodnią. Nieoczekiwaną, bo tam już jej nie szukał... Powinien teraz tylko sprawdzić, czy wszystkie kawałki w ten sposób przygotowanej całości będą do siebie pasowały. A jeżeli będą...

Jeśli będą, Dominium miało już wkrótce się przekonać, jak zareagują Troftowie na całkowitą zmianę reguł gry.

Polityk: 2421

Jonny potrząsnął głową.

– Przykro mi, Tam, ale będziesz musiał poradzić sobie beze mnie. Zaczynam urlop dokładnie za – spojrzął na zegarek – cztery minuty.

Na patrzącej na niego z ekranu telefonu twarzy Tamisa Dyona podniecenie przeszło z początku w przerażenie, a potem zaczęło się przeradzać w pełne zdumienia niedowierzanie.

– Co zaczynasz? Jonny, to przecież przylatuje Przewodniczący Komitetu!

– Słyszałem. Jak sądzisz, co Zhu będzie chciał teraz zrobić? Dokonać wojskowej inspekcji całej planety? Jeżeli ten gość chce zostać powitany z pompą, powinien dać nam o tym znać wcześniej, a nie dopiero przed sześcioma godzinami.

– Jonny, zdaję sobie sprawę z tego, że być może nie znasz się jeszcze dobrze na polityce, ale czy nie sądzisz, że powinieneś przynajmniej zostać w Capitalii i powitać przylatującego gościa?

Jonny wzruszył ramionami, starając się zachować powagę. Widok Dyona, próbującego nie tracić cierpliwości, prawie zawsze przyprawiał go o atak śmiechu.

– Bardzo wątpię, czy wszystkim syndykom uda się przylecieć w porę – powiedział. – A jeśli nie wszyscy zdążą, co za różnica, że zabraknie jednego więcej?

– Taka różnica – odezwał się przez zaciśnięte zęby Dyon – że to naszym przywilejem jest obrona honoru Kobr.

– No, to broń sam naszego honoru. Poważnie, Tam, kogo to obejdzie, czy zjawi się jeden z nas, czy obaj, czy żaden? Chyba, że Zhu zaplanował pokaz laserowych świateł czy coś takiego.

Dyon parsknął, ale nawet on musiał się lekko uśmiechnąć, próbując sobie wyobrazić pełnego dostojeństwa gubernatora generalnego organizującego taką szopkę.

– Będzie wściekły, jeżeli cię nie będzie. A właściwie, dlaczego ten urlop jest dla ciebie taki ważny? Chrys grozi ci, że cię rzuci, jeżeli nie pojedziesz?

– Nie bądź śmieszny – teraz Jonny parsknął. Chociaż, jeżeli już o tym mowa, w przeszłości zdarzały się między nimi na tym punkcie pewne nieporozumienia...

– Jeżeli chcesz naprawdę wiedzieć, w tej chwili orbituje nad nami statek, na którego pokładzie przebywa ktoś ważniejszy niż tylko zwyczajny przewodniczący: moja siostra, Gwen. Mam zamiar pokazać jej okolicę, a potem pomóc dotrzeć do grupy geologów zajmującej się badaniami na zboczach górskich łańcucha Molada.

Dyon wykrzywił się z niesmakiem.

– W okręgu Dawa, tak? O, rany. Masz rację, zasługuje na widok czegoś chociaż trochę przypominającego cywilizację, zanim zapuści się na takie odludzie. – Odetchnął głęboko i pokręcił głową. – No, dobrze, niech ci będzie. Wynos się i nie bierz ze sobą telefonu. Daję ci pół godziny, a później dzwonię do biura Zhu i powiem, że wyjechałeś.

– Dzięki!.. Nigdy ci tego nie zapomnę. I powiedz Zhu, żeby się nie przejmował. Wrócę za tydzień, a nie sądzę, by przewodniczący tak szybko zechciał nas opuścić. Zostanie nam jeszcze wiele oficjalnych przyjęć, które będą musiały spaść na moje barki.

– Przekażę mu dokładnie twoje słowa. To na razie.

Twarz Dyona zniknęła z ekranu.

Szczerząc zęby w uśmiechu, Jonny wstał, sięgnął po przenośny telefon i przypiął go sobie do pasa. Mógłby, co prawda, jak sugerował Dyon, zostawić go w swoim biurze... ale był nadal Kobrą, choć nie musiał już o każdej porze zgłaszać się na wezwanie. W ostatniej chwili zdecydował się więc na kompromis: zabrał ze sobą urządzenie, ale je wyłączył, a potem wyszedł z biura.

Zastał Chrys rozmawiającą w przedpokoju z jego asystentem.

– Wszystko gotowe? – zapytała, kiedy wszedł.

– Gotowe – odparł i kiwnął głową.

– Oficjalnie jestem wolny od służby. Pozostawiam los okręgu Caravel w zdolnych rękach Theron. Theron Yutu uśmiechnął się.

– Jeżeli mi szczęście dopisze, okręg nadal będzie na tym samym miejscu, kiedy pan wróci, syndyku – powiedział. – Jak bardzo jest pan wolny od służby?

– Zabieram swój telefon, ale będzie wyłączony – oznajmił mu Jonny. – A jeśli zdradzisz komuś kod przywracający łączność bez naprawdę ważnego powodu, zabiorę cię do okręgu Dawa i zostawię, żeby cię zdeptały gantuje.

– To gorsze od wpadnięcia w długi – przyznał poważnie Yutu. – Życzę panu dobrej zabawy. Do widzenia, pani Moreau.

Chrys zdążyła już przygotować samochód do odjazdu i w minutę później jechali niezbyt zatłoczonymi ulicami Rankinu w kierunku miejskiego lotniska.

– Czy nie ma jakichś kłopotów z Corwinem, o których powinienem wiedzieć? – zapytał Jonny.

Chrys potrząsnęła głową.

– Tym i Sue powiedzieli, że zabiorą go do siebie na noc, gdybyśmy do tej pory nie wrócili. A co u ciebie? Nie będziesz miał problemów z tym drugim statkiem, który także orbituje gdzieś nad nami?

Jonny popatrzył na nią.

– Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać, kochanie – powiedział. – Ja sam dowiedziałem się o nim zaledwie przed kilkoma minutami.

Chrys się uśmiechnęła.

– Muszę przyznać, że wiem tylko tyle – rzekła. – Że na monitorze Theron pojawił się drugi zbliżający się do nas statek. Dowiedziałam się o tym, kiedy byłam w biurze. Czy to coś niepomyślnego?

– O ile wiem, nie. Mają na pokładzie jakiegoś gościa z Najwyższego Komitetu. Chyba chce się zapoznać z naszymi koloniami. Postarałem się, żeby w tym tygodniu wyłączono mnie ze wszelkich oficjalnych ceremonii.

– Zastanawiam się, czy Dominium nie zamierza ograniczyć liczby przylatujących do nas statków z zaopatrzeniem – myślała na głos Chrys. – Albo może Troftowie znów się buntują.

– Jeżeli będę musiał o czymś wiedzieć, Theron z pewnością mnie zawiadomi – odparł Jonny, wzruszając ramionami. – Dopóki tego nie zrobi, najlepiej przyjąć, że to polityczna wizyta, i zbytnio się nią nie przejmować.

Dotarli na lotnisko w kilka minut później, a po upływie następnych kilku lecieli już do Capitalii z prędkością nieznacznie tylko mniejszą od dwóch machów. Jonny przypomniał sobie chwile – a było ich, prawdę mówiąc, co niemiara – kiedy bardzo żałował, że zgodził się zostać syndykiem, dzięki czemu zamienił codzienne problemy jednej osady na troski samodzielnego zarządzania całym dużym okręgiem. Ale możliwość dysponowania powietrzną taksówką na żądanie była jednym z jaśniejszych punktów jego pracy.

Inną wielką zaletą było to, iż nie musiał już ryzykować życia w walkach z kolczastymi lampartami i falksami.

Kiedy Chrys i Jonny dotarli na kosmodrom, pasażerowie statku przebywali już od jakiegoś czasu w hali przylotów. Odprawa trwała zawsze długo, więc dopiero pierwsi z nich zaczęli wychodzić. Chrys i Jonny stanęli nieco z boku i czekali.

Ale niedługo. Niespodziewanie ujrzeli Gwen Moreau... a Jonny, który na wpół świadomie spodziewał się ujrzeć pozostawioną na Horizonie dziesięcioletnią dziewczynkę, w pierwszej chwili jej nie poznał.

– Gwen! Tu jesteśmy! – zawołał dopiero po sekundzie.

– Jonny!

Uśmiechnęła się szeroko, przywodząc mu na myśl dawno minione, dobre czasy, które w myślach zawsze wiązały się z jej osobą. Przez krótką chwilę tłumił w sobie chęć, aby porwać ją w ramiona i podrzucić w górę, jak robił to kiedyś w domu. Na szczęście się powstrzymał.

Powitanie upłynęło im na zamieszaniu przepętnionym uśmiechami, uściskami i radosnymi okrzykami. Chrys i Gwen znały się już od dawna z taśm przesyłanych w jedną i drugą stronę, toteż do żadnej niezręcznej sytuacji, której Jonny się obawiał, na szczęście nie doszło. Gwen spytała o swojego bratanka i dowiedziała się, że nie różni się właściwie od innych dwulatków z wyjątkiem może tego, że jest od nich mądrzejszy. Potem Jonny miał się już odwrócić i wskazać Gwen drogę do wyjścia, ale go powstrzymała, z szelmowskim uśmiechem kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Zanim pójdziemy dalej, Jonny, mam dla ciebie niespodziankę – powiedziała. – Zgadnij, kogo poznałam na statku, a kto będzie pracował w tej samej osadzie co ja.

Spojrzała ponad ramieniem Jonny’ego na kogoś, stojącego teraz za jego plecami.

Poznała na statku narzeczonego? – pomyślał Jonny. Odwrócił się, będąc pewnym, że ujrzy kogoś nieznanego, i poczuł, jak ze zdziwienia otwiera usta.

– Cally!

Szeroki uśmiech na twarzy Cally’ego Hallorana świadczył o tym, że on także się ucieszył.

– Czołem, Jonny. Do diabła, naprawdę cieszę się, że cię znowu widzę.

– Ja chyba jeszcze bardziej – odparł Jonny, także szczerząc zęby w uśmiechu.
– Chrys, to jest Cally Halloran, jeden z moich przyjaciół jeszcze z czasów wojny

na Adirondack. Myślałem, że ty i Imel zamierzacie do końca życia pozostawać w wojsku – dodał, zwracając się do Cally’ego.

– Imel wciąż jeszcze jest w wojsku – rzekł Halloran, kiwnąwszy głową – ale wy tutaj, pajace, daliście wojskowym zbyt dużo do myślenia na temat tego, do czego można wykorzystać Kobry. W związku z tym po powrocie z któregoś patrolu po zalesionych obszarach Iberiandy stwierdziłem, że mam tego dosyć, i złożyłem podanie o przeniesienie na Aventinę.

– Jesteś w wielkim błędzie, jeżeli ci się zdaje, że twoje obowiązki będą polegały na ochronie pałacu w okręgu Dawa – ostrzegł go Jonny. – Najprawdopodobniej wyznaczą cię do patrolowania dżungli, a do tego otrzymasz swój przydział ciężkich robót.

– Zgoda, ale tutaj będę mógł w większym stopniu sam decydować o tym, co robię, bez żadnego podoficera rozkazującego mi na każdym kroku.

Machnął ręką w kierunku bezchmurnego nieba.

– A może nawet będę mógł uczestniczyć, tak jak ty, w wyprawie mającej na celu odkrycie nowych światów?

– Chodzi ci o Palatinę i Caelianę? – Jonny potrząsnął głową i wykrzywił się z lekkim niesmakiem. – To najlepszy dowód na to, jak głupio potrafi czasem rozumować wojsko. Zdołaliśmy zaledwie zbadać nie więcej niż trzecią część Aventyny, nie mówiąc już o jej zasiedleniu, a oni się uparli podbijać dwa inne, jeszcze młodsze światy. Nie muszę ci mówić, jakie to rozdrobnienie naszych sił i środków. Mam tu na myśli zwłaszcza Kobry, bo rozumiesz...

– Jonny – przerwała mu łagodnie Chrys. – Obiecałeś, że przynajmniej w ciągu pierwszej godziny nie będziesz zanudzał naszych gości szczegółami aventińskiej polityki. Już nie pamiętasz?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Jonny, prawdę mówiąc, niczego takiego nie obiecywał, ale uznał uwagę za bardzo słuszną.

– Chrys ma rację, czasami naprawdę trudno mi się powstrzymać – przyznał, wskazując drogę do wyjścia. – Jeżeli macie dosyć widoku tego miejsca, może pojechalibyśmy gdzieś na obiad? Chrys i ja nie przyjeżdżamy zbyt często do Capitalii, ale wiemy, gdzie znajdują się najlepsze restauracje w mieście.

Obiad okazał się niezwykle udany. Jedzenie i atmosfera lokalu były tak wyśmienite jak zawsze. Trochę czasu zajęło wszystkim zapoznanie się z nowinkami z życia rodziny Moreau i Hallorana, a później zaczęto dyskutować na temat Aventyny, a w szczególności okręgu Dawa. Na ten temat Jonny wiedział dosyć mało, gdyż okręg Dawa był stosunkowo młodą, dopiero niedawno podbitą przez

człowieka prowincją. Zdziwiło go jednak, że zarówno on, jak Chrys wiedzieli o nim znacznie więcej niż inni koloniści, których rzekomo zapoznawano z najnowszymi informacjami na ten temat.

Spożywali właśnie deser i pili aventińską odmianę kahve, kiedy Chrys przypadkowo wspomniała o tajemniczym statku Dominion, podążającym śladem tego, którym przylecieli Gwen i Halloran.

– Nie ma w tym żadnej tajemnicy – odezwał się Halloran, potrząsając głową. – Słyszałem o nim jeszcze na Asgardzie. Byłem pewien, że i wy o wszystkim wiecie. Leci nim sam przewodniczący Vanis D’arl z czymś w rodzaju nowego projektu dotyczącego Kobr, jaki ostatnio udało się wysmażyć Najwyższemu Komitetowi i wojsku.

– D’arl? – zapytała Gwen, a oczy rozszerzyły się jej z podniecenia. – Jonny, to ten sam człowiek, dla którego pracuje Jame!

– Masz rację.

Jonny dopiero po dłuższej chwili przypomniał sobie, o kim mowa. Jame pracował dla D’arla od... już dwanaście lat!

– Wiesz może, Cally, kogo D’arl ze sobą zabrał? – zapytał przyjaciela.

– Chłopie, czy wszyscy w twojej rodzinie potrafią się tak maskować? – odrzekł Halloran, potrząsając ze zdumieniem głową. – Nie, nie wiem, kogo wziął na pokład. Wiem tylko, że jego wizyta ma jakiś związek z Kobrami, bo Mendro i Bai na cały miesiąc postawili Komplex Freyra na baczność, a ludzie komitetu buszowali po wszystkich jego zakamarkach.

– Czego szukali?

– Pojęcia nie mam. Słyszałem na ten temat tylko plotki. Widziałem jednak wiele wjeżdżających i wyjeżdżających ciężarówek... inne parkowały przed skrzydłem chirurgicznym.

– Wygląda na to, że zamierzają uaktualnić wyposażenie Kobr – stwierdził Jonny, marszcząc z zadumą brwi. – Czy Troftowie i Minthistowie nadal zachowują się przyjaźnie?

– O ile mi wiadomo, tak. Być może Dominion pragnie naprawdę przyspieszyć proces kolonizacji nowych światów i z tego powodu chce szkolić nowe Kobry.

– A D’arl chciałby na własne oczy się przekonać, do czego możemy być zdolni? – domyślił się Jonny. – Tak, to możliwe.

– Aha! – wtrąciła się ostrzegawczo Gwen. – To znowu polityka, chłopaki. Faul techniczny. Chrys ma prawo zmiany tematu.

Wszyscy się roześmiali, a rozmowa skierowała się na temat prac geologicznych i wykorzystania zjawisk tektonicznych, bo tym Gwen zamierzała zajmować się w nowym miejscu. Jonny jednak nie mógł już całkiem odzyskać swobody, jaką czuł jeszcze kilka minut wcześniej. Do takiego buntu, jaki zorganizował Tors Challinor przed siedmioma laty, nigdy więcej nie doszło, ale Jonny przeżył te lata, obawiając się czegoś podobnego. Na duchu podtrzymywała go tylko nadzieja, że Aventura przetrwa w spokoju następnych kilkadziesiąt lat, po których wszystkie Kobry wymrą, a jej społeczeństwo nareszcie będzie mogło żyć tak jak wszystkie inne. Teraz zaś dowiadywał się, że być może Dominium zamierzało przysłać im nowe Kobry...

Popołudnie spędzili w nieco mniej beztróskim nastroju, chociaż także przyjemnie. Jonny i Chrys zapoznawali pozostałych z urokami nocnego życia Capitolii. Jonny dziwił się, że w myślach przyrównywał to wszystko do mgliście pamiętanych widoków z Asgardu i Horizonu, ale nie umiał tego uniknąć. Obawiał się, że Gwen i Halloranowi mogło wydawać się to prymitywne, ale nawet jeśli tak, byli zbyt uprzejmi, aby to okazywać.

Dopiero po północy doszli do wniosku, że wystarczy im tych wrażeń jak na jeden raz. Ponieważ wracanie do Rankinu o tak późnej porze nie miało sensu, resztę nocy postanowili spędzić w hotelu w turystycznej dzielnicy miasta. Gwen i Halloran udali się do swych pokoi, Jonny zaś w swoim miał właśnie zacząć się rozbierać, ale jego wzrok przykuły czerwone litery napisu „pilna wiadomość” świecące na ekranie telefonu.

– Oho! – mruknął tylko.

Chrys spojrzała na niego, a potem przeniosła wzrok na urządzenie.

– Nie zwracaj na to uwagi, a przynajmniej do rana – doradziła. – Theron zażytkowałby, że cię zbudzi, gdyby to miało być coś naprawdę pilnego.

– Tak – mruknął Jonny, niemal odruchowo sięgając po mikrotelefon. – Nie zawracałby sobie w ogóle głowy, gdyby to nie było przynajmniej coś ważnego. Równie dobrze mogę przekonać się o tym teraz.

Wiadomość, – tak jak się spodziewał, była zwykłą prośbą o skontaktowanie się z Theronem Yutu o dowolnej porze. Jonny popatrzył na zegarek, wzruszył ramionami i wybrał numer asystenta.

Yutu zgłosił się niemal natychmiast, a jego oczy świadczyły o tym, że nie został wyrwany ze snu.

– Przepraszam, że sprawiam panu kłopot, syndyku, ale przed półgodziną otrzymałem wiadomość, z którą chyba powinien pan się zapoznać – submitował się. – Dziś późnym popołudniem na równinie o kilka kilometrów na zachód od Paleen w okręgu Dawa znaleziono martwego kolczastego lamparta. Został zabity i dosłownie rozszarpany... a wszystkie ślady przemawiają za tym, że nie przez padlinożerców.

Jonny spojrzął na stojącą przy nim Chrys i zobaczył w jej oczach niepokój, a potem zdał sobie sprawę z tego, że zaciska zęby. Czyżby ów nieuchwytny drapieżnik, przed którym musiało się bronić nawet tak niebezpieczne zwierzę jak kolczasty lampart, uznało w końcu za stosowne dać znać o swej obecności? Cóż bowiem innego...

– Są jakieś ślady, świadczące o tym, co go mogło zabić? – zapytał.

– Na razie niczego więcej nie wiem – odrzekł asystent. – Szkielet zabrano do Niparinu, dokąd będzie trzeba chyba ściągnąć ekspertów, żeby go obejrzeć. Sądziłem, że może zechce pan wydać jakieś niecierpiące zwłoki polecenia.

– Tak.

Okręg Caravel cywilizował się z każdym dniem coraz bardziej, ale wciąż jeszcze osady były otoczone przez duże obszary niezbadanych lasów... a jeśli ów drapieżnik był stworzeniem wędrownym, jak kolczasty lampart, osady mogły mieć niepożądane towarzystwo dosłownie w każdej chwili.

– Powiadom o tym wszystkie Kobry. Przekaż im, żeby w czasie patrolowania zwracały szczególną uwagę na dziwne lub dotychczas niespotykane ślady i znaki – polecił. – Wszyscy inni mają się trzymać od lasów z daleka, i to bez dyskusji. Farmerzy, pracujący na polach graniczących z lasem, powinni mieć dokładnie zamknięte kabiny pojazdów.

– Tak jest, proszę pana. Przekażę te polecenia za pomocą sieci ogólnego dostępu w ciągu pół godziny. Aha... dzisiaj po południu dzwonił także gubernator generalny Zhu. Jutro o jedenastej rano chciałby widzieć wszystkich syndyków na specjalnym zebraniu, które ma odbyć się w gmachu Dominium.

Jonny chrząknął.

– Zapewne chodzi o ceremonialne powitanie odwiedzającego nas przewodniczącego – mruknął.

– Nie sędzę – odrzekł Yutu. – Przewodniczący D’arl tam będzie, ale przypuszczam, że chodzi o coś znacznie ważniejszego. Wnioskuje to z tego, że gubernatorowi generalnemu najwyraźniej bardzo na tym zależało. Powiedziałem, że będę się starał z panem skontaktować, ale niczego nie obiecywałem.

– Bardzo dobrze. Dziękuję.

Jonny spojrział na Chrys, pamiętając o swojej obietnicy spędzenia z nią całego urlopu. Ona jednak wyglądała na bardzo zatroskaną. Nieznaczenie kiwnęła głową.

– No, dobrze, postaram się wrócić – odezwał się do asystenta. – Zaczynj zbierać dla mnie wszelkie informacje na temat tego zabitego lamparta. Będę chciał zidentyfikować jego zabójcę tak szybko, jak możliwe.

– Rozumiem.

– Dziękuję za wiadomość. Dobranoc.

Jonny przerwał połączenie i umieścił mikrotelefon na poprzednim miejscu. Spojrzął na Chrys i już otwierał usta, aby ją przeprosić... ale ona odezwała się pierwsza.

– Gwen i Cally jadą do Paleen – powiedziała cicho. – Jeżeli w tamtych stronach buszuje tak niebezpieczne zwierzę... – Wzdrygnęła się. – Czy jutro rano nie powinnam wrócić bez ciebie i zabrać ich ze sobą do Rankinu?

Jonny westchnął.

– Myślę, że tak byłoby najlepiej. Nie mam pojęcia, ile czasu może mi zająć to zebranie. Chociaż jeśli już mowa o powrocie... gdybym to ja zarządzał okręgiem Dawa, zapewne nie posyłałbym Cally'ego na rekonesans, a od razu skierowałbym go do Paleen do ochrony pracujących tam naukowców. Może więc będzie lepiej, jeśli zabierzesz ze sobą tylko Gwen, a Cally'ego zostawisz ze mną. Jeżeli otrzyma jakieś polecenia, sam zabiorę go do Rankinu i osobiście pokażę, jak wygląda kolczasty lampart.

– I może przy tej okazji razem z nim zapolujesz? – zapytała, lecz niemal w tej samej chwili uniosła dłoń, nie pozwalając mu zaprzeczyć. – Nie musisz mi nic tłumaczyć, doskonale cię rozumiem. Tylko nie jestem zachwycona, że narażasz życie, chociaż wiem, iż nie możesz odmówić. Nawet Kobra w średnim wieku w lesie jest bezpieczniejszy niż zwykły młodzieniaszek.

– Stokrotne dzięki – prychnął Jonny. – Trzydzieści dziewięć lat to wcale jeszcze nie wiek średni. Chrys uśmiechnęła się.

– To dlaczego zamiast protestować, po prostu nie zaciągniesz mnie do łóżka... i nie udowodnisz, jaki jesteś młody?

Później, kiedy leżeli w mroku obok siebie, Jonny powrócił w myślach do Adirondack. Ludzie, którymi się tam opiekował, mieli zwyczaj zamykać się w sobie, ilekroć zachodziła obawa, że mogą już nigdy go nie ujrzeć. Reakcja Chrys w ta-

kich chwilach była jednak o wiele miłsza... chociaż pogodzić się jej z tą sytuacją nie było ani trochę łatwiej. Mimo to Jonny stawiał czoło niebezpieczeństwu tysięcy razy w życiu; nawet Chrys powinna do tej pory się zorientować, że był obdarzony zbyt dużym szczęściem, aby dać się zabić.

Tej nocy dręczyły go koszmary związane z tajemniczym ogromnym stworzeniem, który przedzierał się przez osnute mgłami ostępy, zabijał kolczaste lamparty i Kobry, po czym znikał bez śladu.

Przewodniczący D'arl, siedzący za stołem konferencyjnym obok gubernatora generalnego Zhu, na pierwszy rzut oka wyglądał jak każdy inny obywatel Aventiny. Był dobrze się trzymającym mężczyzną w średnim wieku z ciemnymi włosami ostrzyżonymi w tradycyjny sposób i wcale nie wyglądał na kogoś obdarzonego niemal nieograniczoną władzą. Jego nazwisko świadczyło o tym, że urodził się na Asgardzie, a rysy kojarzyły się Jonny'emu z pochodzącym również z Asgardu uczestnikiem nieudanego buntu, Simmonem L'estem. Zdecydowanie widoczne na twarzy D'arla świadczyło o tym, że nie cofa się przed niczym, aby osiągnąć to, czego pragnie. A w tej chwili jego twarz unaoczniała, że pragnie osiągnąć to jak najszybciej.

Zhu rozpoczął zebranie, subtelnie zwracając uwagę na ten pośpiech. Jego przemówienie wstępne zajęło zaledwie drobną część tego czasu, jaki w tych okolicznościach powinno było trwać.

– Dziękuję panu, panie gubernatorze generalny – odezwał się D'arl, wstawszy, kiedy tylko Zhu zdążył usiąść. W jego głosie dało się słyszeć obcy, asgardzki akcent. – Przede wszystkim chciałbym panu pogratulować w imieniu Najwyższego Komitetu naprawdę wybitnych osiągnięć w dziedzinie rozwoju nowego zakątka Dominium. W ciągu niespełna piętnastu lat uczynił pan z Aventiny dom dla wielu ludzi, a nawet pomyślał pan o kolonizacji nowych światów: Caeliany i Palatiny. Dysponował pan, oczywiście, bogactwami naturalnymi, umożliwiającymi te ekspedycje, ale jasne jest dla mnie to, że nie brakowało panu odwagi. Komitet z wielką uwagą zapoznał się z osiągnięciami i po namyśle doszedł do wniosku, że najpoważniejszym czynnikiem ograniczającym dalszą ekspansję jest – zawiesił na chwilę głos – brak wystarczającej liczby Kobr, które mogłyby i powinny stanowić czołówkę tej ekspansji.

Jonny aż wstrzymał oddech. Wzrok D'arla, prześlizgując się po twarzach siedzących przy stole ludzi, na dłuższą chwilę zatrzymał się na jego twarzy.

– Pana raporty – ciągnął nieubłagane D'arl – niemal od samego początku zawierały prośby o przysłanie panu większej liczby Kobr, a komitet starał się te prośby uwzględniać. Nalegaliśmy na kierowanie Kobr do nowych kolonii tak bardzo, że w końcu do obrony Dominium pozostały w gestii wojska tylko dwie

kompanie. Rzecz jasna, taki drenaż nie mógł trwać w nieskończoność i dlatego komitet postanowił zaproponować panom inne rozwiązanie.

Teraz się zacznie – pomyślał Jonny, czując, jak napinają mu się mięśnie brzucha. – Nieprzerwany strumień Kobr, płynący korytarzem, być może w nieskończoność.

Ale nawet on nie był przygotowany na to, co zamierzał powiedzieć D'arl.

– Dominium uznało dalsze szkolenie i wysyłanie Kobr za nieopłacalne i dlatego postanowiło całe to przedsięwzięcie przenieść na Aventinę.

Jonny'emu opadła szczęka. Próbował krzyknąć: „Nie!”, ale słowa nie chciały mu przejść przez gardło. D'arl jednak to zauważył i nie spuszczał wzroku z jego twarzy, kiedy mówił dalej:

– Na pokładzie mojego statku znajduje się wszelka niezbędna, potrzebna do implantacji aparatura, a także specjaliści przeszkoleni w jej obsłudze. Cała procedura powinna zająć od dwóch do sześciu tygodni w zależności od tego, jakie związane z tym kłopoty uznacie, panowie, za dopuszczalne, a przeszkolenie waszych własnych Kobr zajmie najprawdopodobniej nie więcej niż następne cztery tygodnie. Ten czas będzie i tak znacznie krótszy od siedmiu czy dziewięciu miesięcy, jakie były potrzebne, aby wysłać nowe Kobry z Asgardu, a w dodatku całą operację będzie można przeprowadzać pod tutejszym nadzorem. Mógłbym mówić dalej... ale czuję, że ktoś pragnie pilnie zgłosić uwagi, więc przerywam, żeby poświęcić kilka minut na krótką dyskusję.

Jonny zerwał się z miejsca niemal w tej samej chwili, w której D'arl przerwał.

– Z całym szacunkiem i wdzięcznością, panie przewodniczący D'arl – zaczął, starannie dobierając słowa – ale sądzę, że dalsza obecność Kobr na Aventynie wpłynie bardzo niekorzystnie na rozwój społeczny i polityczny tej kolonii.

D'arl lekko uniósł brwi.

– Dlaczego pan tak uważa, panie syndyku Moreau? – zapytał. – Wydaje mi się, że pański rząd przystosował się wyjątkowo dobrze do zwiększonej liczby Kobr przebywających wśród jego obywateli. Świadczy o tym chociażby zajmowane przez pana stanowisko.

– Jeżeli ma pan na myśli bunt Challinora, to tak, udało nam się uniknąć jego powtórki – odparł Jonny. – Dokonaliśmy tego jednak kosztem nienaturalnego wykoślawienia jednej z głównych doktryn politycznych Dominium.

– Jak przypuszczam, chodzi panu o fakt, że na wszystkich szczeblach władzy i we wszystkich dyskusjach Kobry rozporządzają więcej niż jednym głosem, którym dysponują pozostali obywatele.

Twarz D'arla nie wyrażała niczego, a i jego głos nie pozwalał się domyślać, czy uważa tę praktykę za naganną.

– Jestem pewien, panie syndyku, że przyszłe badania historyczne wykażą, iż nie tylko takie poprawki liczbowe do idealnych praw powinny być wprowadzane wówczas, kiedy wymaga tego sytuacja.

Po przeciwległej stronie stołu powoli wstał ze swojego miejsca Brom Stig-gur z okręgu Maro.

– Panie przewodniczący, być może ja będę mógł wyrazić swój sprzeciw w bardziej konkretny sposób – powiedział. – Uważa pan za konieczne przedłużanie obecności Kobr na Aventynie, a nawet poddanie procesu doboru kandydatów na przyszłe Kobry pod naszą kontrolę. Chciałbym jednak zapytać, pod czyją kontrolę chce pan to poddać? Gubernatora generalnego? Większości rządzących syndyków? Walnego zgromadzenia wszystkich obywateli? Chcę wiedzieć zwłaszcza to, w jaki sposób mamy zapewnić, że fabryka wypuszczająca przyszłe Kobry nie znajdzie się pod kontrolą jakiegoś innego Challinora?

– Wydaje mi się, że masz bardzo niskie mniemanie o charakterach ludzi, którzy zgłaszają się, żeby zostać Kobrami – odezwał się siedzący o kilka miejsc dalej Tamis Dyon. – Z pewnością zauważyłeś, że metody wstępnych psychologicznych badań kandydatów w przypadku każdego z nas świetnie się sprawdziły. A jeśli chodzi o Challinora, zapewne pamiętasz, że pokonał go syndyk Moresu i jego ludzie, a nie oficjalna paranoja. – Popatrzył na D'arla. – Jeżeli o mnie chodzi, byłbym zachwycony, mogąc dysponować jeszcze kilkunastoma Kobrami do ochrony położonych z dala od centrum osad.

– Starasz się rozwiązać swój problem w niewłaściwy sposób – powiedział Jonny, kiedy ucichł szmer głosów wyrażających to sprzeciw, to aprobatę. – Uważam, że do większości zadań, z jakimi się tu spotykamy, po prostu nie potrzebujemy nowych, w pełni uzbrojonych i wyszkolonych Kobr. Do zwalczania falksów i zbożowych węży zupełnie wystarczyłoby, aby te lasery, które przywiózł ze sobą pan przewodniczący D'arl, zainstalować w naszej broni ręcznej. Przyznaję, że z kolczastymi lampartami byłby pewien kłopot, ale ten problem ogranicza się tylko do najdalej wysuniętych osad. Te Kobry, które mamy, dają sobie z nimi świetnie radę.

– A co z drapieżnikami polującymi na kolczaste lamparty? – odezwał się cicho Jor Hemner. – Czy z nimi także będziesz mógł sobie dać radę?

Oczy wszystkich zebranych zwróciły się na niego.

– O czym pan mówi? – zapytał Zhu.

– Moje biuro wysłało zeszłej nocy komunikat za pomocą sieci ogólnego dostępu – odparł Hemner. – Wczoraj w okolicach Paleen znaleźliśmy zabitego kolczastego lamparta, rozszarpanego przez zwierzę rozmiarów gantui, ale o wiele bardziej agresywne. Z pewnością to nie zbieg okoliczności, że kolce w przednich łapach lamparta były rozstawione na boki jak wówczas, kiedy chce się bronić.

Spoglądając po twarzach siedzących przy stole osób, Jonny domyślił się, że informacja prawie dla wszystkich stanowiła zaskoczenie.

– Z pewnością nikt z nas nie chciałby podejmować decyzji na podstawie tylko jednego, niewyjaśnionego wypadku – powiedział szybko, chcąc zatrzeć wrażenie, jakie incydent wywołał na zebranych. – Z tego, co mi wiadomo, jest równie prawdopodobne, że lampart został ukąszony przez jadowitego węża i rozszarpany przez wyjątkowo śmiałe zwierzę padlinożerne.

– Wszystkie dowody świadczą... – wtrącił się natychmiast Hemner, ale przerwał, kiedy zobaczył, jak D'arl wstaje i unosi rękę, prosząc o ciszę.

– Muszę przyznać, że pan syndyk Moreau ma zupełną rację, przestrzegając przed podejmowaniem zbyt pochopnych decyzji – powiedział. – W swoim wystąpieniu podałem panom tylko kilka powodów, dla których komitet zdecydował się złożyć panom tę propozycję. Pozostałe są zawarte w pełnym raporcie, który mam ze sobą. Decyzja jednak należy wyłącznie do panów. Sądzę, że zechcecie podjąć ją po dokładnym zapoznaniu się z raportem, jak tego oczekuje Dominium od swoich przywódców. Mam zamiar spędzić tu kilka najbliższych tygodni, a więc jeżeli trzeba, macie, panowie, cały ten czas do namysłu, co powinniście zrobić.

Spojrzawszy w stronę Zhu, powiedział coś do niego cicho. Zhu kiwnął głową i podniósł się.

– Ogłaszam teraz krótką przerwę, w trakcie której będziemy mieli wszyscy czas na zapoznanie się z raportem, o którym mówił pan przewodniczący D'arl – oznajmił. – Magnetyczne karty z interesującym panów dokumentem znajdują się już w biurach w drugiej części korytarza. Proszę zapoznać się z nim bardzo uważnie, a na dalszy ciąg dyskusji zapraszam za dwie godziny.

Jonny dołączył do pozostałych, spieszących do wyjścia, skierował się razem z nimi do skrzydła biurowego gmachu, ale w przeciwieństwie do innych syndyków, nie zabawił tam długo. Zabrał tylko kartę magnetyczną, odbył dwie krótkie rozmowy telefoniczne i wyszedł.

Dwadzieścia minut później on i Halloran znajdowali się na pokładzie taksówki powietrznej kierującej się na południowy wschód, w stronę okręgu Dawa.

Z ekranu komputerowego pulpitu Jonny'ego zniknęła ostatnia strona tekstu, a on sam wyłączył urządzenie i odłożył je na sąsiedni nie zajęty fotel. Siedzący naprzeciwko niego Halloran uniósł wzrok znad swojego ekranu.

– No, i co?

– Ani jednego argumentu, który miałby jakiś sens – burknął Jonny. – Na wszystkie problemy, jakie stawia D'arl, możemy znaleźć odpowiedź bez uciekania się do fabryki wypuszczającej nowe Kobry.

– Ale twoje metody rozwiązania problemu zostały zaproponowane przez aventińskiego syndyka, a jemu podsunął je Najwyższy Komitet Dominium?

– Właśnie.

Westchnąwszy, Jonny popatrzył przez okno taksówki powietrznej na widoczną pod nimi bujną roślinność Aventiny.

– Jeżeli szybko nie odkryjemy, kto zabił tego kolczastego lamparta, nie sądzę, byśmy mieli jakąkolwiek szansę odrzucenia jego projektu podczas głosowania.

– Nie jestem pewien, czy i wówczas uda się nam coś zrobić – mruknął Halloran, bębniąc palcami po swoim pulpicie. – Jeżeli opis tego zabójcy lamparta nie jest przesadzony, możemy naprawdę potrzebować taśmy produkującej Kobry, by z nim walczyć.

Jonny przez dłuższą chwilę siedział cicho, zastanawiając się, czy powinien powiedzieć Halloranowi o swoich podejrzeniach. Gdyby się ktoś o nich dowiedział, mógłby oskarżyć go o zniesławienie, a nawet zdradę.

– Czy nie przyszło ci do głowy – odezwał się w końcu – że cały ten incydent nie mógł wydarzyć się w lepszej dla D'arla chwili? Przylatuje do nas, starając się nas namówić do wyrażenia zgody na stałą obecność Kobr na Aventynie, a ledwie zdążył wylądować, nasz tajemniczy superdrapieżnik uznaje za stosowne dać znać o tym, że istnieje? D'arl nie mógłby znaleźć lepszego argumentu na poparcie swojej tezy nawet wówczas, gdyby to wszystko sam zaaranżował. Halloran uniósł ze zdziwieniem brwi.

– Czy myślisz, że on naprawdę to zaaranżował? – zapytał. Jonny z namysłem pokręcił głową.

– Nie, nic podobnego. To znaczy, nie sądzę, by to zrobił, tylko nie mogę wyjść z podziwu, jak bardzo obydwie te rzeczy się zbiegły w czasie.

Halloran wzruszył ramionami.

– W dużej części okręgu Dawa panuje teraz dotkliwa susza. Kaskia, jeden z dopływów Ojaante River, wyschła całkowicie. Czy nie sądzisz, że takie warunki mogły zniszczyć roślinność, jaką się żywią gantuje, i zmusić je do podjęcia ryzyka napaści na kolczastego lamparta?

– Mowy nie ma. Gantuje to stworzenia wyłącznie roślinożerne. Nawet nie potrafią odżywiać się mięsem. Oprócz nich w lasach żyje co prawda kilka zwierząt pseudowszystkożernych, ale są o wiele za małe, by zagrozić nawet choremu lampartowi.

– Może zatem susza zmusiła do zejścia z gór jakieś inne zwierzę – upierał się Halloran. – Przywiązuję tak dużą wagę do suszy, ponieważ to także jest coś niezwykłego, przynajmniej jeżeli chodzi o zamieszkane tereny Aventyny.

– I sądzisz, że wizyta D’arla po prostu zbiegła się w czasie z naszą pierwszą suszą? – spytał Jonny, niejako wbrew samemu sobie. – No cóż... to możliwe. Ale nadal to wszystko mi się nie podoba.

Halloran ponownie wzruszył ramionami.

– Będę starał się pamiętać o możliwości, że ktoś tutaj postępuje nieuczciwie – odrzekł. – Ale dopóki nie uda się nam znaleźć na to jakiegoś naprawdę niezbi- tego dowodu, o ile w ogóle to możliwe, dopóty lepiej zachować takie myśli dla siebie.

Innymi słowy, sądził, że Jonny fantazjuje w sposób dość niebezpieczny. I co najważniejsze, mógł mieć rację. A jednak...

Piętnaście minut później wylądowali w osadzie Paleen.

Wizyta syndyka w takim miejscu powodowała niemal zawsze niejakie zamieszanie, a co najmniej wymagała obecności na lotnisku witającego go burmistrza wioski. Jonny jednak przekazał drogą radiową polecenie, aby w związku z jego przylotem niczego takiego nie przygotowywano, toteż kiedy razem z Halloranem wysiadali z taksówki, na lotnisku oczekiwał ich tylko jeden człowiek.

– Syndyk Moreau? – zapytał. – Jestem Niles Kier, miejscowy Kobra. Jonny kiwnął głową i gestem wskazał Hallorana.

– A to jest Cally Halloran, który już wkrótce będzie twoim partnerem w osadzie – powiedział. – Czy wiesz coś więcej na temat tego zabitego lamparta?

– Niewiele ponad to, co wiedzieliśmy wczoraj – odparł Kier, prowadząc ich w stronę odkrytego samochodu zaparkowanego na skraju lotniska. – Nasi eks-

perci wciąż jeszcze badają go w Niparinie, ale jak dotąd nie doszli do żadnych konkretnych wniosków.

– To ty go znalazłeś, prawda? Kier kiwnął głową.

– Badałem okolicę, szukając źródeł wody, kiedy w niewielkim zagłębieniu terenu odkryłem jego szczątki.

– Szukałeś źródeł wody? – wtrącił się Halloran. – Wlokłeś sam całe to urządzenie zasilające echosondę?

– U nas poszukiwania wody polegają na pomiarach grubości pędów lepkich winorośli, jakie rosną na pniach niektórych drzew – odparł z roztargnieniem Jonny. – W ten sposób można bardzo łatwo określić wilgotność gleby, a na tej podstawie wnioskować, jak głęboko znajduje się lustro wody. Znalazłeś tam może jakieś ślady? – dodał, zwracając się do Kiera.

– Na ziemi było ich całe mnóstwo – odparł tamten, kiedy wsiadali do samochodu. – Wiele przypominało ślady gantui, ale jeśli to naprawdę były jej ślady, to albo była olbrzymem, albo biegła szybciej, niż kiedykolwiek słyszano, aby biegały gantuje.

– Widziałem kiedyś taśmy, z których wynikało, że gantuje nie mają żadnego powodu, żeby biegać – zauważył Halloran.

Jonny kiwnął głową. Gantuje przypominały wielkością ziemskie słonie, a ich ciała były chronione przez zachodzące na siebie bardzo twarde, pancerne niemal płyty z widocznym na nich wzorem przypominającym węzową skórę. Patrząc na te zwierzęta, można było odnieść wrażenie, że widzi się żywe czołgi.

– Potrafią się zdobyć tylko na niespieszny, pełen godności trucht – wyjaśnił Halloranowi. – Jeżeli nasz drapieżnik wystraszył gantuje do tego stopnia, że zmusił ją do biegu, to naprawdę mamy kłopot. Pojedźmy w tamto miejsce, Niles, i trochę się porozglądajmy. Domyślam się, że w chwili odkrycia nie miałeś zbyt dużo czasu, by to zrobić?

– Nie – odparł Kier i skręcił, kierując samochód bardziej na zachód. – Wiedziałem, że moim najważniejszym obowiązkiem jest ogłosić alarm... i nie pozostawiać Paleen bez opieki.

Jonny z ponurą miną kiwnął głową. Było to rozumowanie, które doskonale pamiętał – i wiedział, mimo zawartej w nim logiki, jak wielkim tchórzem może się czuć postępujący zgodnie z tymi wytycznymi Kobra. Być może Kier będzie miał jeszcze szansę wykazać, że nie jest tchórzem.

Pozostawili samochód na skraju osady w pobliżu dość gęstego lasu i poszli w stronę drzew. Po przejściu prawie stu metrów stwierdzili, że las ustąpił miejsca porośniętej drzewami trawiastej równinie, tak charakterystycznej dla całej doliny rzeki Kaski a. Jonny rozejrzał się, bo nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jest bardziej odsłonięty i narażony na niebezpieczeństwa niż w o wiele gęstszych lasach porastających okolice Ariel.

– W którą stronę? – zapytał Kiera, tłumiąc w sobie chęć mówienia szeptem.

– Mm... chyba w tamtą. To powinno być niedaleko...

– Ćśś! – syknął nagle Halloran.

Wszyscy trzej mężczyźni zamarli bez ruchu... a w zapadłej ciszy wzmacniające słuchu Jonny'ego wychwyciły szelest trawy i ciche posapywanie. Odwróciwszy powoli głowę, Jonny ustalił miejsce, z którego dochodziły te dziwne dźwięki. Rosła tam duża kępa trzciniaстых pędów krzewu blussy. Kier także ją zauważył. Stwierdziwszy, że Jonny na niego patrzy, wskazał mu ją, a potem uniósł kciuk. Jonny kiwnął głową, gestem ostrzegł Hallorana, odszedł o kilka kroków na bok i wyciągnął przed siebie ręce w pozycji gotowe do strzału. Halloran postąpił tak samo... a Kier skoczył.

Dwudziestometrowy skok rozpoznawczy uważany był zazwyczaj za zbyt niebezpieczny, aby stosować go podczas wojny, gdyż wówczas przez ponad cztery sekundy szybujący w powietrzu Kobra był niemal bezbronny i łatwo mógł być zdany na łaskę przeciwnika. Na Aventynie jednak, na której nie było wyborowych strzelców Troftów, taki skok bywał stosowany znacznie częściej.

– To gantuja – odezwał się Kier, kiedy opadł na ziemię, a całą siłę uderzenia przejęły serwowotory jego kolan. – Wygląda mi na chorą albo może...

Z łoskotem łamiących się trzcin blussy pojawił się nagle po drugiej stronie równiny szarozielony potwór... i na ich widok ruszył do ataku.

– Rozproszyc się! – krzyknął Jonny, puszczając się szybkim biegiem w kierunku rosnącego w pobliżu dużego cyprysowca. Nigdy by nie uwierzył, że gantuje mogą poruszać się aż tak szybko, ale...

Szarżujące zwierzę, niczym obdarzona nogami góra, skręciło, by przeciąć mu drogę.

Jonny tylko przyspieszył, uniósł w biegu obie ręce i wypuścił dwie nitki laserowych promieni w łeb bestii. Dostrzegł inne ogniki, trafiające zwierzę w bok, ale nawet jeśli odniosły jakiś skutek, po gantui nie dało się tego poznać. Drzewo, do którego biegł Jonny, zaczynało wydawać mu się kiepską osłoną, ale gdyby udało mu się zmusić zwierzę, by uderzyło w pień w pełnym pędzie, może siła

uderzenia choć na chwilę by je ogłuszyła. Zwracając uwagę to na potwora, to na drzewo, trochę zwolnił... i na ułamek sekundy wcześniej niż gantuja wyskoczył wysoko w górę, starając się mocno uchwycić gałęzi cyprysowca...

Puścił ją w chwili, kiedy całe drzewo gwałtownie się szarpnęło i zatrzeszczało pod ciosem, jaki zadała szarżująca bestia.

W zestawie zaprogramowanych odruchów Kobry przewidziano niemal kocią ewolucję obracania się podczas lotu, ale Jonny znajdował się zbyt blisko ziemi, aby manewr taki mógł okazać się skuteczny. Wylądował więc niemal bezwładnie na plecach, a siła uderzenia wyparła mu z płuc resztę powietrza, jaka mu pozostała.

Przez kilka sekund leżał nieruchomo, starając się pozbyć migających mu przed oczami jasnych punktów. Kiedy w końcu doszedł do siebie na tyle, by uklęknąć, gantuja okrążyła drzewo i właśnie nabierała rozpędu do następnego ataku. Zza Jonny'ego wystrzeliły dwie smugi bardzo jasnego światła – były to przeciwpancerne lasery jego towarzyszy – i trafiły bestię prosto w łeb. Odniosły pewien skutek, gdyż tym razem gantuja ryknęła w odpowiedzi, ale się nie zatrzymała. Jonny niepewnie wstał z ziemi, wciąż starając się złapać oddech. Czuł się zbyt słaby na jakikolwiek manewr... ale wiedział, że w pewnej chwili nanokomputer dostrzeże grożące mu niebezpieczeństwo i przejmie władzę nad jego ciałem.

I w tej samej niemal chwili został odrzucony dalekim skokiem na bok. Przeturlał się kilka razy po ziemi, zerwał się na nogi i wykonał zwrot w samą porę, aby ujrzeć, jak Halloran i Kier włączają się do akcji.

Jak na coś przeprowadzonego właściwie bez planowania, był to najdoskonalszy manewr, jaki zdarzyło się Jonny'emu widzieć. Halloran, machając energicznie rękami i krzycząc, by zwrócić na siebie uwagę zwierza, czekał aż do ostatniej chwili, zanim uskoczył w prawo. Wyciągnięta lewa noga omiotła promieniem przeciwpancernego lasera niemal cały bok mijającej go gantui. W tej samej chwili Kier wyskoczył w górę, kierując ogień lasera w miejsce, w którym łeb potwora łączył się z tułowiem. Zwierzę po raz drugi ryknęło, a gdy zawróciło, Jonny zobaczył wyraźną ciemną linię zwęglonych płytek. Przystanęło na krótką chwilę, ale nadal jego boki rytmicznie unosiły się i opadały – bestia starała się odzyskać siły. Ledwo widoczne małe oczka nadal spoglądały na trzech ludzi groźnie, bez najmniejszego strachu.

Jonny sięgnął do pasa po zawieszony tam telefon i wystukał kod łączności lokalnej.

– Na razie nie strzelajcie – powiedział półgłosem do kolegów stojących po drugiej stronie równiny, kiedy ujrzał, że obydwaj wyciągnęli telefony. – Nie uda się nam jej zabić wyłącznie przy użyciu brutalnej siły.

– Z czego ten diabeł jest zrobiony? – usłyszał zadyszany głos Hallorana. – Taka siła ognia zniszczyłaby opancerzony transporter Troftów.

– Płytki na bokach są pokryte warstwą łatwo topliwej substancji, parującej pod wpływem wzrostu temperatury – wyjaśnił mu Kier. – Chmura zamienionego w taką parę materiału rozprasza całą energię promienia, z wyjątkiem tej, która dotrze w ciągu kilku pierwszych milisekund. Poza tym te płytki są cholernie grube. Jonny... eee, syndyku, chyba będziemy musieli połączyć się z Capitalią i zapytać, czy ktoś tam czasem nie ma ręcznej wyrzutni raket przeciwpancernych.

– Nawet jeśli ktoś ma, to i tak dostarczenie jej tutaj będzie trwało zbyt długo – odparł Jonny, kręcąc głową. – Jeśli w tym czasie gantuja ucieknie, stracimy ją na dobre.

– Więc co, celujemy w łeb? – zapytał Halloran.

– Zabicie jej w taki sposób zajmie nam strasznie dużo czasu – odezwał się z powątpiewaniem Kier. – Centralne systemy nerwowe tej bestii są o wiele bardziej rozproszone niż u jakiegokolwiek innego zwierzęcia, z którym się zetknęliście. Lepiej już celować w podbrzusze i płucoserce.

– Tylko musielibyśmy w jakiś sposób przewrócić ją na bok – stwierdził Jonny.

Z niepokojem dostrzegł, że tempo unoszenia się i opadania boków zwierza wyraźnie się zmniejszyło. Za minutę lub dwie będzie gotowe do kolejnego ataku lub ucieczki, a wówczas... Rozejrzał się po równinie, szukając natchnienia... i wzrok jego padł na cyprysowiec owinięty lepką winoroślą.

– Niles, to drzewo po twojej lewej ręce jest porośnięte dość długą winoroślą – powiedział. – Zobacz, czy ci się nie uda odwinąć i odciąć jak najdłuższego kawałka.

Poruszając się bardzo wolno, Kier zaczął iść w stronę drzewa.

– Cally – ciągnął tymczasem Jonny. – Kiedy Niles odetnie kawałek winorośli, rzuci ci jeden koniec. Nie dotykaj miejsca odcięcia pędu, bo jego lepki sok sklei ci palce tak, że ich nie rozłączysz. Razem z Nilesem rozciągnijcie winorośl mniej więcej na wysokości kolan, a ja będę się starał zmusić gantuję do tego, żeby przebiegła między wami. Jasne?

– Jasne – odrzekł Halloran. – Czy chcesz, żebyśmy rozcięli laserami ten pęd w poprzek gdzieś pośrodku?

– Jeżeli będziemy mieli czas – odpowiedział mu Kier. – Jeśli nie, musimy liczyć na to, że siła rozpędu bestii rozerwie tkanę na tyle, żeby lepki płyn wypłynął na powierzchnię.

Kier doszedł do pnia i pociągnął za pędy winorośli, by się zorientować, w jakich miejscach najlepiej je odciąć.

– A co będzie, jeżeli zaatakuje kogoś z nas, zamiast ciebie? – zapytał Halloran.

Jonny tymczasem zdążył zająć już swoje miejsce między dwiema Kobrami o jakieś pięćdziesiąt metrów za nimi.

– Czekać tak długo, jak się da, a później zarzucicie winorośl na nogi bydlaka i skaczcie – powiedział. – Niles, co u ciebie?

– Jestem gotów – odrzekł tamten i głęboko odetchnął. – Dobra, Cally... a teraz uważaj.

Nastąpiły dwa krótkie błyski laserowego światła, po których odcięty pęd winorośli spadł na ziemię.

Czy to błyski, czy może nagłe ruchy Kiera sprawiły, że gantuja ponownie ruszyła do ataku, z ochryplym rykiem podrywając się do biegu. Jonny natychmiast zaczął krzyczeć i wymachiwać rękami, a zwierzę, dostrzegłszy go, puściło się w jego stronę. Jonny kątem oka zobaczył, jak rzucony przez Kiera pęd winorośli szybuje ku Halloranowi... pęka w pobliżu środka, rozerwany promieniem lasera... napręża się tuż nad samą trawą...

Gantuja wpadła na niego w pełnym biegu i z łoskotem, który wstrząsnął okolicą niczym małe trzęsienie ziemi, koziółkując przez łeb, zwała się na ziemię.

Przewróciła się, ale nie zrezygnowała. Kiedy Jonny biegł ku niej, zwierzę obróciło się na bok, naprężając podobne pniom drzew nogi, aby rozerwać oplatającą je winorośl. Napięty do granic wytrzymałości pęd zaczynał trzeszczeć, a więc Jonny musiał działać naprawdę szybko...

Chciał właśnie unieść nogę do strzału z przeciwpancernego lasera, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że nogi gantui zasłaniają mu miejsce, w które zamierzał wycelować.

– Oho – mruknął Kier, kiedy on i Halloran znaleźli się przy Jonnym. – Zdaje się, że tego nie wzięliśmy pod uwagę.

– Może spróbujemy owinąć jej nogi innymi pędami – zaproponował Halloran.
– Może będziemy mogli pochwycić ją żywcem.

– Pochwycenie rozwścieczonej gantui żywcem nie jest pomysłem, który uznałbym za najlepszy – odparł Jonny. – W promieniu stu kilometrów nie ma miejsca, w którym można byłoby trzymać w niewoli spokojnego osobnika, a co dopiero taką oszalałą bestię. – Zgrzytnął zębami. – No, dobra, Cally, pozostaje nam jedno. Kiedy powiem, przetnij pęd między jej nogami. Niles, ty i ja zobaczymy, co da się zrobić w ciągu tej pół sekundy, jaką będziemy mieli do dyspozycji. Jeżeli nic, rozproszymy się i spróbujemy czegoś innego. Jesteście gotowi? Dobra, Cally. Teraz!

Winorośl puściła, trafiona strumieniem światła z lasera, a nogi gantui, do-
tychczas próbujące rozerwać pnącze, odsłoniły podbrzusze, rozchylając się nagle
w obie strony.

Później Jonny aż wzdrygał się z przerażenia na myśl o tym, jak wówczas ry-
zykowali. Podbrzusze gantui okazało się miejscem dość wrażliwym, lecz pomimo
śmiercionośnych strumieni światła laserów przeciwpancernych strzelających z
bardzo bliska, gantui prawie udało się wstać, zanim Kobry trafiły jakiś jej ważny
organ. Nawet wtedy, w agonalnych konwulsjach omal nie dosięgnęła Kiera, któ-
remu udało się ująć z życiem tylko dzięki połączeniu zaprogramowanych odru-
chów i zwykłego szczęścia.

Kiedy gantuja w końcu znieruchomiła, Halloran w imieniu ich wszystkich
wyraził to, co wówczas czuli.

– Wielki Boże. Te zwierzęta naprawdę trudno zabić.

– Nie przypominam sobie, aby kiedyś ktoś zabił chociaż jedno – przyznał
Jonny. – Teraz wiem dlaczego.

– Mam nadzieję, że oszalała tylko ta jedna – zgodził się z nimi Kier, pociera-
jąc goleń, stłuczoną podczas agonii zwierza. – Gdyby tak więcej zwariowało, mu-
sielibyśmy ewakuować wszystkich mieszkańców okręgu Dawa.

– Albo postarać się o wiele nowych Kobr – mruknął Jonny.

Ignorując spojrzenie Hallorana, który popatrzył na niego podejrzliwie, się-
gnął po telefon.

Gubernator generalny Zhu miał zbolałą minę człowieka, któremu kazano
wykonać dwa sprzeczne ze sobą, choć równie uzasadnione rozkazy.

– Ale głosowanie już się odbyło – powiedział. – Właśnie w tej chwili ludzie
przewodniczącego D'arla wyładowują przywiezioną aparaturę.

– To proszę unieważnić wyniki na podstawie nowych, nieznanych dotychczas faktów – odparł Jonny, z uporem wpatrując się w twarz rozmówcy spoglądającą na niego z ekranu telefonu. Specjalnie w tym celu korzystał z urządzeń telekomunikacyjnych burmistrza Niparinu, ale jak na razie rozmowa w cztery oczy nie odnosiła pożądanego skutku. – Albo na podstawie tego, że nie brałem w nim udziału ani ja, ani syndykowie Palatiny i Caeliany – dodał. – Daj pan spokój, Zhu, przecież głosowanie miało zostać przeprowadzone nie wcześniej niż za tydzień.

– Pozostali uznali, że są do niego gotowi, to co miałem robić? A zresztą i tak głosy dwóch nie biorących w nim udziału syndyków niczego by nie zmieniły. Przy wyniku głosowania jedenaście przeciw pięciu, nawet gdyby uwzględnić wasze dwa głosy przypadające na każdego Kobrę, rezultat byłby identyczny. Jeżeli zaś chodzi o nowe fakty, to, co na razie pan powiedział, tylko umacnia mnie w przekonaniu, że postąpiłem słusznie. Jeśli oszalała jedna gantuja, może oszaleć i więcej, a wtedy, by się bronić, z całą pewnością będą potrzebne nam nowe Kobyry.

– Czy nie zależy panu na wyjaśnieniu, z jakiego powodu wpadają w szal? Czy Zhu zamieniły się w szparki.

– O co panu chodzi? – zapytał.

– Jeszcze nie wiem. Naukowcy dopiero zaczynają badania biochemiczne zabitej sztuki, by stwierdzić, czy w jej organizmie nie było jakichś obcych substancji.

– Obcych substancji? Moreau, wydaje mi się, że robi się pan niepotrzebnie tajemniczy. Proszę jasno powiedzieć, do czego pan zmierza?

– Nie jestem tajemniczy, tylko po prostu niczego nie wiem na pewno. Na razie mam... pewne podejrzenia... ale wolę ich teraz nie wypowiadać.

Zhu przez dłuższą chwilę przyglądał się jego twarzy.

– No dobrze – zdecydował w końcu. – Powiem panu, co zrobię. Zwołani następnego zebrania rady na jutro na dziesiątą rano. Powiem, że chce się pan podzielić z uczestnikami zebrania swoimi wrażeniami z walki z gantują, a także przedstawić wstępne wyniki badań zespołu naukowców. Jeżeli na poparcie swoich słów będzie miał pan jakiś dowód, wysłuchamy pana zarzutów, a jeżeli okażą się uzasadnione, zarządzą nowe głosowanie. Jeżeli. Czy to panu odpowiada?

– Tak jest – odparł Jonny i kiwnął głową.

– To dobrze. A zatem, jutro rano o dziesiątej. Do widzenia panu.

Przez chwilę Jonny wpatrywał się w ciemny ekran, myśląc o tym, jaką obrać na jutro strategię. Po chwili jednak zrezygnował z dywagacji, ponownie uruchomił urządzenie i połączył się z domem.

Chrys pojawiła się na ekranie po drugim dzwonku.

– Cześć – odezwała się, a Jonny ujrzał, jak na jego widok znika napięcie, widoczne z początku na jej twarzy. – Co nowego?

– Na razie niewiele – odparł. – W tej chwili jestem w Niparinie i czekam, aż zespół naukowców zabierze się do pracy i przedstawi mi jakiś dowód, który mógłbym później wykorzystać. Cally z Nilesem wrócili na noc do Paleen na wypadek, gdyby wydarzyło się tam coś niezwykłego, chociaż do osady wiedzie tylko kilka dróg, którymi nie mogłaby się przedostać nawet doprowadzona do szalu gantują.

– To dobrze – rzekła Chrys i kiwnęła głową. – Co słyhać z nogą Nilesa?

– Wszystko dobrze. Posiniaczona i otarta, ale sądzę, że miewał już gorsze rany. Na jej twarzy zobaczył przelotny uśmiech.

– Posłuchaj, Jonny, mniej więcej przed półgodziną mieliśmy rozmowę z Capitalią. Dzwonił twój brat, Jame. A więc jednak D'arl zabrał go ze sobą.

– Coś takiego – odrzekł. – Jak się miewa?

– Powiedział, że świetnie. Pytał, czy ty i Gwen nie moglibyście wpaść dzisiaj o jedenastej wieczorem na nieco spóźnioną kolację.

Jonny wyszczerzył zęby w uśmiechu. Pomyśleć tylko, że jego braciszek, Jame Moreau z Cedar Lake na Horizonie, jak gdyby nigdy nic zapraszał swoje rodzeństwo do przelecenia dwóch tysięcy kilometrów, aby zjeść z nim kolację.

Mimo wszystko życie na Asgardzie musiało go jednak zmienić.

– Co na to Gwen? – zapytał.

– Zgodziła się bez wahania. Kazała mi obiecać, że zadzwonię do ciebie jak najszybciej, wskoczyła do taksówki powietrznej i poleciała do Capitalii.

– Domyślam się, że powołała się przy tym na swojego brata, syndyka – powiedział, patrząc na zegarek.

Musiałyby wyjść za jakieś dwie godziny. No cóż, zawsze mógł zarządzić, aby wyniki badań gantui przesłano mu telefonicznie do Capitalii, gdyby nie były gotowe w ciągu tych dwóch godzin.

– W porządku – odezwał się do Chrys. – Nie chcesz załatwić jakiejś niańki do Corwina i dołączyć do nas? Potrząsnęła głową.

– Jamę już mi to proponował, ale sądzę, że to spotkanie powinno ograniczyć się do członków waszej rodziny. Z pewnością jeszcze się z nim zobaczę, zanim zdąży odlecieć z Aventyny. Aha, Gwen zaproponowała, żebyście spotkali się w tej samej restauracji, do której zabrałeś wczoraj ją i Hallorana.

– To dobra myśl – odparł Jonny. – I tak ma wyglądać twój urlop? Kochanie, naprawdę strasznie mi przykro.

– Nie martw się o mnie – powiedziała. – I uważaj na siebie, dobrze?

– Jasne. Kocham cię, Chrys.

– Ja też ciebie kocham, Jonny. Pozdrów ode mnie Jame’a.

Przerwał połączenie i ponownie popatrzył na zegarek. Dwie godziny – a on nie mógł zrobić niczego, aby przyspieszyć autopsję gantui. A jeśli okaże się, że coś znajdują...

Jeśli nawet, to samo w sobie i tak nie będzie jeszcze dowodem na to, że za tym wszystkim kryje się D’arl.

Być może jednak udałoby się znaleźć choć częściowy dowód. Jonny wyszedł z domu, pojechał na lotnisko, wsiadł do taksówki powietrznej i poleciał do Paalen, by spotkać się z Halloranem. Było już dosyć ciemno, kiedy obydwaj znaleźli się ponownie w miejscu, w którym zabili gantuję, ale włączywszy wzmacniacze wzroku i słuchu, mogli być pewni, że nie zaskoczy ich nawet żaden kolczasty lampart. Wcześniejsze wydarzenia tego dnia sprawiły, że Jonny był bardziej drażliwy niż zazwyczaj i naprawdę się ucieszył, że praca zajęła im tylko kilka minut.

Półtorej godziny później leciał nad rozjaśnianą światłem gwiazd równiną w stronę Capitalii. Miał informację, dzięki której mógł być pewien, że rezultat pośpiesznie zarządzanego głosowania zostanie unieważniony.

Kiedy Jonny dotarł do restauracji, jego brat i siostra siedzieli już przy stoliku.

– Jonny! – wykrzyknął Jame na jego widok i wstał, aby mocno potrząsnąć jego dłonią. – Trwało to trochę dłużej niż kilka lat, ale w końcu przybyliśmy tu, żeby się z tobą spotkać.

Dopiero po paru sekundach Jonny przypomniał sobie, do jakiej sytuacji nawiązywał Jame.

– Aha... masz rację. To było w tym dniu, kiedy odlatywałem z Horizonu. Wyglądasz wspaniale, Jame. Jego brat uśmiechnął się.

– Bo pracę mam ciężką, ale pożyteczną. Jeżeli o to chodzi, postępuję zgodnie z twoimi wskazówkami. Usiądźmy, dobrze? Gwen właśnie usiłuje przetłumaczyć mi ten jadłospis, ale sądzę, że przydasz się nam jako ekspert od miejscowej kuchni.

Usiedli i zaczęli rozmawiać... a w czasie tej rozmowy Jonny przyglądał się mężczyźnie, na jakiego wyrósł jego młodszy brat.

Rzecz jasna przemiana Jame'a z dziesięcioletniego chłopaka w dorosłego trzydziestopięciolatka była dla niego mniejszym wstrząsem niż widok dojrzałej kobiety, jaką się stała Gwen, lecz mimo to, podobnie jak u Gwen, znalazł w nim coś takiego, na co nie przygotowały go żadne taśmy. Chłopięca ufność Jame'a we własne siły przerodziła się w prawie namacalną pewność siebie i autorytet, któremu w niemal paradoksalny sposób nie towarzyszył ani cień protekcyjności. Nawykły do przebywania wśród elity Dominium, Jame wcale nie zapominał, jak rozmawiać ze zwykłymi, przeciętnymi ludźmi.

Albo zdążył już przejść przez fazę arogancji i tak dobrze nauczył się udawać, że umie być towarzyski – pomyślał Jonny i natychmiast zawstydził się swoich myśli. – Przecież to jego brat, Jame; ten sam, który kiedyś przestrzegał go, aby zawsze postępował etycznie. Bez względu na to, czym lub kim był D'arl, z pewnością nie umiałby skorumpować swojego młodego pracownika do tego stopnia, aby w jego postępowaniu nie dało się stwierdzić najmniejszego nawet śladu fałszu.

Wynikał stąd tylko jeden wniosek: Jame nie miał żadnego pojęcia, dla jakiego człowieka pracuje. A jeżeli tak wyglądała prawda...

Jak każdy dobry żołnierz, Jonny czekał na okazję do rozpoczęcia rozmowy na ten temat, i okazja taka się nadarzyła, kiedy kończyli kolację.

– ...tak więc kiedy się dowiedziałem, że przewodniczący zamierza osobiście przekonać się o wszystkim, co dzieje się na Aventynie, rzecz jasna zgłosiłem się jak najwcześniej, że też chciałbym mu towarzyszyć – mówił Jame, popijając kahve. – Musiał bardzo ciężko pracować nad tym, żeby przekonać pozostałych członków komitetu do swojego planu. Bardzo się cieszę, że i wy go zaakceptowaliście.

– A więc lecąc tutaj, D'arl zaryzykował swoją polityczną karierę, prawda? – zapytał niby od niechcienia Jonny.

Po twarzy Jame'a przemknął cień niepewności.

– To prawda, że naraził swój prestiż, ale z pewnością nie całą karierę – odparł.

– To znaczy, z tego co wiesz, mam rację? Jame odstawił filiżankę, pochylił się i odezwał przyciszonym głosem:

– No, dobra, Jonny, nie musisz bawić się ze mną w ciuciubabkę. Powiedz, o co ci właściwie chodzi? Jonny zacisnął usta.

– Domyślam się, że już ci wiadomo, iż dzisiaj na południowy wschód stąd zabiliśmy gantuję, która oszalała i zaatakowała nas.

Jame kiwnął głową.

– Być może również wiesz, że w ciągu tych piętnastu lat, od kiedy jesteśmy tutaj, żadna gantuja nie przejawiała najmniejszych nawet oznak agresji – ciągnął.

– Bardzo dobrze. Co byś zatem powiedział, gdybym ci teraz oznajmił, że mam dowód na to, iż zabita przez nas gantuja najadła się narkotyków?

Gwen gwałtownie wstrzymała oddech. Oczy Jame'a zamieniły się w dwie szparki.

– Jak to się stało? – zapytał.

– W pobliżu miejsca, w którym nas zaatakowała, kępę trzcinistych krzewów blussy spryskano silnym środkiem pobudzająco-halucynogennym. Ponieważ gantuję nie żywią się niczym innym, był to najlepszy sposób, by narkotyk przedostał się do jej organizmu.

– Najlepszy sposób dla kogo? – zapytał Jame. Jonny zawahał się na krótką chwilę.

– Tego jeszcze dokładnie nie wiem. Wiem tylko, że w dzisiejszym głosowaniu wszystko to bardzo silnie przechyliło szalę na korzyść D'arla. A na dodatek wydarzyło się tuż po tym, jak twój statek wyładował.

Jame wyprostował się na krześle i w zadumie popatrzył na starszego brata.

– Mógłbym ci przypomnieć, że pracuję z przewodniczącym i jego ludźmi od dobrych kilku lat i że uważam się za niezłego znawcę charakterów. Mógłbym cię także ostrzec, że takie bezpodstawne oskarżenia mogą przysporzyć ci wielu zmartwień. Postaram się jednak zanalizować cały problem od strony logicznej. Przypuśćmy na chwilę, że kiedy znajdowaliśmy się jeszcze na orbicie, ktoś naprawdę z pokładu naszego statku rozpylił ten narkotyk. Dlaczego zatem nie oszalały wszystkie inne gantuje, znajdujące się na tym obszarze? Nawet gdybyśmy rzucili rozpylającą ten narkotyk bombę, a nie jestem pewien, czy w ogóle, podchodząc do lądowania, przelatywaliśmy nad tamtym miejscem, to i tak powinien opaść w jakimś rozproszeniu.

Jonny przez zaciśnięte zęby wypuścił powietrze.

– No, dobrze, może masz rację. Wobec tego ktoś z twojego statku musiał skontaktować się ze swoim agentem na Aventynie, który czekał tylko na jego sygnał, żeby rozpylić przygotowaną uprzednio substancję.

– Zawiadomiono cię o przybyciu tego statku zaledwie na kilka godzin wcześniej, prawda? – odezwała się Gwen. – Czy takie wielkie zwierzę jak gantuja mogło przyswoić sobie wystarczającą dawkę narkotyku w ciągu tak krótkiego czasu?

– Prawdopodobnie musiałyby pochłonąć bardzo dużą dawkę początkową – zgodził się z nią Jame. – A w takim wypadku, po co w ogóle zawracać sobie głowę spryskiwaniem krzaków blussy?

Zmarszczył brwi.

– Z drugiej strony przyznaję, że przewodniczący w ostatnich dniach bardzo interesował się florą i fauną Aventyny. Pamiętam, że wzmianki o trzcinach krzewów blussy pojawiały się w kilku rozprawach, nad którymi dla niego pracowałem.

– Czy pamiętasz, co pisano w nich na temat tych krzaków? – zapytał Jonny, pochylając się ku niemu.

– Chwileczkę.

Jame zapatrzył się w filiżankę z kahve.

– O ile dobrze wiem, wymieniłem je w dokumencie dotyczącym strategicznych minerałów, jaki opracowałem na jego polecenie. Chodziło chyba o problem samowystarczalności Aventyny na wypadek, gdyby Troftowie zamknęli korytarz. Umieszczona tam przeze mnie informacja dotyczyła niezwyklej zdolności krzewów blussy do przyswajania dużych ilości jakiegoś metalu, nie pamiętam już jakiego, szczególnie późną jesienią.

– I twoje opracowanie z całą pewnością mu powiedziało, że jedynymi większymi od owadów zwierzętami żywiącymi się krzewami blussy są gantuje – rzekł ponuro Jonny. – Później jego agenci szpikują dużymi dawkami halucynogenów kilka gantui i spryskują tą substancją rosnące w pobliżu krzewy blussy po to, aby narkotyk nie przestał działać, zanim zachowanie zwierząt zwróci naszą uwagę.

– Jonny, twoje słowa graniczą niemal z buntem – odezwał się Jame tak cicho, że z trudem można go było usłyszeć, a jego palce zacisnęły się na filiżance. – Nawet gdyby to, co mówisz, było prawdą, nie masz cienia dowodu na to, że za tym wszystkim kryje się sam przewodniczący.

- Jeszcze nie. Ale może ty będziesz mógł pomóc mi zdobyć taki dowód. Twarz Jame'a zamieniła się w nieruchomą maskę.

- Co masz na myśli? - zapytał.

- Jeżeli zamieszani w to są jacyś ludzie z twojego statku, to jest niemal pewne, że kontaktowali się ze swoimi agentami na Aventinie. Możesz wyciągnąć dziennik pokładowy z radiogramami i zobaczyć, czy przed lądowaniem nie wysyłano jakichś szyfrowanych telegramów.

Przez długą chwilę Jame w milczeniu wpatrywał się w oczy brata.

- Teraz namawiasz mnie do nielojalności - powiedział w końcu.

- Tak uważasz? Czy gdyby D'arl był w to zamieszany, nie powinno się powiadomić o tym całego Najwyższego Komitetu? A jeśli ktoś inny robi to bez jego wiedzy, wszystko jedno z jakich pobudek, czy nie powinieneś dowiedzieć się o tym i go ostrzec?

- A jeśli ta cała afera jest spiskiem uknutym tu, na miejscu, czy nie zdradzę zaufania, jakie pokłada we mnie przewodniczący D'arl? - odciął się Jame.

- Jame, musisz mi pomóc - powiedział z naciskiem Jonny, starając się za wszelką cenę nie dopuścić, aby w jego głosie pojawił się choć ślad ogarniającej go rozpacz.

Jamę miał rację: naprawdę nie miał żadnego dowodu na to, że D'arl mieszał się do aventińskiej polityki, a wiedział, że dopóki go nie uzyska, dopóty plan przewodniczącego będzie mógł rozwijać się bez przeszkód.

- Czy nie rozumiesz, że ciągła obecność Kobr na Aventinie wypaczy całe nasze społeczeństwo? Nie chcę, żeby D'arl przenosił tu fabrykę wypuszczając wciąż nowe Kobry, a z całą pewnością nie chcę tego wówczas, jeżeli postępuje nieuczciwie.

Zamilkł nagle, jak gdyby zakłopotany siłą swojego wybuchu. Jamę w tym czasie przeciągnął w zamyśleniu palcem po krawędzi filiżanki, a potem uniósł głowę i popatrzył na Gwen.

- Co o tym wszystkim myślisz? - zapytał. Nieznacznie wzruszyła ramionami.

- Jestem tutaj zaledwie jeden dzień, Jame. Naprawdę nie mogę niczego powiedzieć na temat wad i zalet umieszczania na Aventinie instytucji, którą nazywacie fabryką Kobr. Ale jeśli Jonny uważa, że to nie będzie dobre... -

Uśmiechnęła się. - Sam wiesz, że wszystko, co Jonny mówi lub robi, jest zawsze słuszne.

Jame odprężył się i odwzajemnił jej uśmiech.

– Mówisz tak tylko dlatego, że nie było go w pobliżu w czasie tych lat, kiedy dorastałaś i toczyłaś walki ze mną – powiedział.

– W ciągu tych lat Jonny działał dla Dominium bardzo wiele – odparła łagodnie. Jame wbił wzrok ponownie w filiżankę z kahve.

– No tak, to prawda – przyznał, a potem głęboko odetchnął i zacisnął usta. – No, dobrze – powiedział w końcu, uniósł głowę i spojrzał Jonny’emu prosto w oczy. – Myślę, że w sprawie, która jest dla ciebie tak ważna, mogę zaryzykować gniew przewodniczącego. Ale nie będę mógł tak po prostu ujawnić ci danych z dziennika pokładowego, nawet jeśli znajdę te radiogramy. Mimo wszystko te dane są poufne.

Jonny kiwnął głową.

– Rozumiem. Nie prosiłbym cię o to, gdyby istniał jakiś inny sposób.

– Jasne.

Jame uniósł filiżankę, wypił resztę kahve i wstał od stolika.

– Dam ci znać, kiedy tylko coś znajdę. Skinął obydwójgu głową, odwrócił się i wyszedł. Jonny odchylił się i westchnął z ulgą. Gdyby tylko mu się udało...

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – usłyszał głos siostry.

Odwrócił głowę i zobaczył jej oczy wpatrujące się teraz w niego.

– Jeżeli mi się uda, powinienem zdobyć chociaż pośredni dowód, a wówczas będę mógł zmusić Zhu i radę do przemyślenia, co chcą wyrządzić Aventinie – powiedział.

– A jeśli ci się nie uda – dokończyła cicho – okaże się, że na próżno ryzykowałeś, a może nawet zniszczyłeś karierę naszego brata.

Jonny zamknął oczy.

– Nie przypominaj mi o tym.

Siedział tak przez chwilę, czując, jak emocje minionego dnia zamieniają się w zmęczenie, które zaczyna przenikać wszystkie kości.

– No cóż – powiedział, otwierając oczy i wstając od stolika. – Co się stało, to się nie odstanie. Pozwól, że złapię jakąś taksówkę i odwiozę cię do hotelu.

– A co z tobą? – zapytała, kiedy kierowali się w stronę wyjścia.

- Dzisiaj w nocy muszę być w gmachu Dominium -powiedział ponuro. - Właśnie przyszło mi do głowy, że ktoś może chcieć ukraść dokumenty, które tam na mnie czekają. Prawie chciałbym, aby ktoś próbował to zrobić.

Kiedy przyjechał, okazało się jednak, że czekająca na niego paczka z wynikami badań zespołu naukowców z Niparinu jest nietknięta. Tej nocy spał mocno, a wypoczynku nie zakłócało mu nic prócz niespokojnych snów.

Bardzo szybko się okazało, że Zhu być może celowo, a może nieświadomie zapewnił Jonny'emu najlepsze z możliwych warunki do przedstawienia jego zdania. Pozostali syndykowie słuchali go z uwagą - nawet w napięciu - a Jonny szczegółowo opowiadał o walce Kobr z gantują, jaka miała miejsce poprzedniego popołudnia. Od tygodni nikt nie słuchał jego słów tak uważnie, a jeśli jego opowieść podkreśliła, jak bardzo Aventura potrzebuje Kobr, to zarazem też przypomniała, że dobra wola i współpraca są niemniej ważne. Było to, jak zdecydował później Jonny, z psychologicznego punktu widzenia bardzo uczciwe podstawienie sprawy.

- Najważniejszym pytaniem, rzecz jasna, jest to - oznajmił, kiedy kończył - dlaczego gantują zachowywała się tak agresywnie. Odpowiedź udało mi się uzyskać dopiero wczoraj późnym wieczorem.

Przerwał i zerknął na D'arla. Przewodniczący słuchał jego słów równie uważnie jak wszyscy inni i nawet jeżeli zdawał sobie sprawę z tego, że za chwilę jego spisak może być wyjawiony, niczym nie dał po sobie tego poznać.

- Okazuje się, że gantują została celowo naszpikowana chemicznym preparatem halucynogennym, którym spryskano jedyne jej pożywienie...

Urwał znowu, ale do dramatycznej sceny, jakiej na wpół świadomie oczekiwał, nie doszło.

- To śmieszne - odezwał się Jor Hemner w ciszy, jaka zapadła po jego słowach. - Dlaczego ktoś miałby coś takiego robić?

Jonny nabrał powietrza w płuca.

- Dobre pytanie. Być może po to - zaczął, patrząc na D'arla - żeby nakłonić nas do wyrażenia zgody na stałą obecność Kobr, których właściwie nam nie potrzeba.

D'arl jednak nie przestał patrzeć mu prosto w oczy.

- Czy oskarża pan mnie o to, że narkotyzuję pańskie gantuje, syndyku? - zapytał.

– Czy ma pan na to jakiś dowód? – wtrącił się cierpko Zhu, zanim Jonny miał czas odpowiedzieć. – Bo jeżeli nie, lepiej byłoby dla pana nawet nie sugerować, że pan przewodniczący może mieć z tym coś wspólnego.

„Dowód znajduje się na jego statku” – chciał powiedzieć Jonny... ale zanim Jame się z nim skontaktuje, o ile w ogóle to zrobi, nie wolno mu ryzykować i kierować na brata jakichkolwiek podejrzeń.

– Nikogo nie oskarżam, panowie – odparł, spoglądając to na Zhu, to na D’arla. – Ponieważ jednak uważam, że popełniono tu przestępstwo i ponieważ nikt nie zaprzeczy,

że istnienie szalejącej pod wpływem narkotyku gantui miało przynajmniej pośredni wpływ na wczorajsze głosowanie, chciałbym zaproponować, aby jego wynik został uznany za nieważny, a nowe głosowanie odłożone do czasu, aż zostaną ustalone wszystkie istotne fakty.

– Jakie inne fakty spodziewa się pan jeszcze ustalić? – zapytał któryś ze starszych syndyków. – A może powinienem być zapytań: ma pan nadzieję ustalić? Wygląda na to, że na razie nie ma pan nic poza mydlaną bańką, która...

– Panowie – odezwał się cicho D’arl, ale w jego głosie dało się słyszeć taką stanowczość, że poprzedni mówca uznał za słuszne nie kończyć zdania – jeżeli mogę coś powiedzieć, to uważam, że przywiązujecie zbyt dużą wagę do obrony mojego honoru, a zbyt małą do problemu rozwiązania prawdziwej zagadki, jaką przedstawił nam syndyk Moreau. Jeżeli naprawdę ktoś potajemnie coś knuje, należy położyć temu kres bez względu na to, kim może być ten człowiek. Jeżeli jednak to, co się stało, jest zjawiskiem naturalnym, także powinniśmy dowiedzieć się na ten temat wszystkiego, czego można, i to jak najszybciej.

– Zjawisko naturalne? – prychnął Jonny. – Pan przewodniczący zechce wybaczyć mi mój sceptycyzm, ale...

– Sceptycyzm jest nieodłączną częścią poszukiwania prawdy – przerwał mu łagodnie D’arl. – Zanim jednak uzna pan za słuszne wyjawić wszystkim swą nieufność, proponuję, aby ustalił pan następujące fakty. Po pierwsze, czy spryskano tym narkotykiem wszystkie, czy tylko niektóre krzewy blussy, jakie rosną w dolinie rzeki Kaskia. Po drugie, czy jego ślady występują także na innych roślinach. Po trzecie, czy można sobie wyobrazić warunki, w których te rośliny mogły wytworzyć taki narkotyk w sposób naturalny, i po czwarte, czy takie warunki występują teraz. Odpowiedzi na te pytania powinny być bardzo zajmujące. – Wstał i skinął głową gubernatorowi generalnemu. – Za pańskim pozwoleniem, będę kontynuował montaż aparatury, którą wyładowaliśmy wczoraj – powiedział. –

Gdyby w wyniku następnego głosowania okazało się konieczne jej usunięcie, będzie można to zrobić bez problemu.

– Oczywiście, panie przewodniczący – zgodził się z nim pospiesznie Zhu. – Dziękuję, że zechciał pan przyjść dzisiaj do nas. Panowie syndykowie: ogłaszam zebranie za zakończone.

I to było wszystko. W ciągu trzydziestu sekund D’arlowi udało się całkowicie zneutralizować jego atak. Atak, na który przewodniczący był wyjątkowo dobrze przygotowany...

Zasnurowawszy usta, Jonny wstał, zebrał swoje magnetyczne karty i opuścił salę.

Halloran, przebywający nadal w Niparinie, w milczeniu wysłuchał telefonicznej relacji Jonny’ego z poniesionej klęski.

– Wygląda mi na to, że był bardzo pewny siebie – powiedział z namysłem w głosie, kiedy Jonny skończył. – Jakie są szanse na to, że miał rację, twierdząc, iż może to być zjawisko naturalne?

Jonny westchnął głośno.

– Trudno mi sobie wyobrazić, aby zagalopował się tak daleko, gdyby nie wierzył, że ma rację – przyznał. – Ale jeśli naprawdę tak wyglądają sprawy, czy jest możliwe, że wie o czymś, o czym my nie wiemy?

Halloran wzruszył ramionami.

– Przecież od wielu lat przysyłaś na Asgard próbki i wszystkie informacje, a oni dysponują tam o wiele lepszą aparaturą do badań i symulacji komputerowych, niż ta, którą ty kiedykolwiek zobaczysz na oczy. A może sprawy wyglądają bardziej prozaicznie, może niektóre przesyłane rośliny podczas transportu po prostu uległy odwodnieniu?

– Odwodnieniu? Więc sądzisz, że to może być wynik suszy?

– Nie wiem, jakie inne warunki mógł wówczas mieć na myśli. To jedyny możliwy czynnik środowiskowy, którego wpływu dotychczas nie poznałeś.

Jonny przygryzł wewnętrzną część policzka.

– Susza. No dobrze, niech ci będzie. Jeżeli tak wygląda problem, trzeba tylko postarać się, by jej nie było. Halloran filuternie zmrużył oko.

– Znasz jakiegoś fachowca od deszczu, specjalizującego się w tworzeniu chmur nad górami?

– Poradzę sobie bez niego. Nie rozłączaj się.

Przycisnął klawisz uniemożliwiający przerwanie łączności i połączył się z Rankinem. Obraz na ekranie rozdzielił się na dwie części, a obok twarzy Hallorana pojawiła się twarz jego żony.

– Cześć, kochanie – powitał ją Jonny. – Czy jest może u ciebie Gwen?

– Cześć, Jonny. Witaj, Cally. Tak, jest w tej chwili w kuchni. Gwen?

W chwilę później w miejsce twarzy Chrys pojawiła się twarz jego siostry.

– Cześć, chłopaki. O co chodzi?

– O twój urlop – powiedział jej Jonny. – Mam dla ciebie i Cally’ego pewną pracę.

Wyjaśnienie tego, o czym myślał, zajęło mu tylko kilka minut... okazało się jednak, że było to najłatwiejsze ze wszystkiego.

– Jonny, to szaleństwo – powiedziała mu Gwen prosto z mostu. – Czy zdajesz sobie sprawę z tego, o co prosisz?

– Syndyk Hemner wpadnie w szal, jeżeli ich złapie – wtrąciła się Chrys spoza ekranu telefonu.

– Dlaczego? – spytał niewinnie Jonny. – Obydwoje przecież i tak powinni przebywać w jego okręgu, prawda?

– Ale pod jego rozkazami, a nie twoimi – odezwał się Halloran.

– Więc wyłączcie swoje polowe telefony i powiedzcie, że o niczym nie wie dzieliście – odrzekł Jonny, wzruszając ramionami. – A zresztą, co może mi zrobić, zdegraduje mnie do ce-piątki?

– Prawdopodobnie każe cię aresztować i zesać do ciężkich robót na Palatinę – powiedział ostro Halloran. – Zwłaszcza, jeżeli się nam nie uda.

– Ale jeśli się uda, nie będzie mógł kiwnąć palcem, bo wówczas wyglądałoby na to, że się czepia – rzekł Jonny. – A ja mam do was pełne zaufanie.

– No, cóż, ale ja nie mam – oznajmiła Gwen. – Jonny, nie możesz wymagać od nas przygotowania się do czegoś takiego w ciągu dziesięciu minut. To wszystko przecież wymaga czasu... czasu na analizy, na zapoznanie się z terenem, na rozmieszczenie aparatury...

– Mamy doskonałe mapy – oświadczył Jonny. – Okolice łańcucha górskiego Molada zostały zbadane dość dokładnie. Jeżeli zaś chodzi o wszystko inne, sądzę, że możemy zaryzykować pewne szkody, jakie wyrządzi to środowisku.

– Jonny, jest jeszcze jedna rzecz, której zapewne nie bierzesz pod uwagę – odezwała się Chrys, pojawiając się znów na ekranie. Jonny natychmiast dostrzegł napięcie, malujące się na jej twarzy. – To, co zamierzasz zrobić – ciągnęła cicho – jest ominięciem wszystkich legalnych szczebli władzy. Jest więc próbą przejęcia z rąk Zhu i innych syndyków prawa decydowania o ważnych sprawach i robienia tego na własną rękę. Czy tego nie rozumiesz? To właśnie jest to samo, przed czym ty i Ken staraliście się powstrzymać Challinora przed siedmioma laty.

Jonny poczuł, jak nagle zasycha mu w gardle.

– Nie. Nie masz racji, Chrys. To wcale nie to samo -powiedział. – On starał się przejąć władzę nad całą planetą po to, żeby całkowicie uniezależnić się od władzy Dominium.

– Różnica jest tylko ilościowa – odparła, nieznacznie kręcąc głową. – Chcesz stworzyć precedens, że pierwszy lepszy syndyk albo Kobra, któremu nie spodoba się decyzja legalnego rządu, może po prostu ją ignorować i robić to, na co ma ochotę.

Ale to nie to samo. Te słowa dźwięczały ciągle w myślach Jonny'ego. Władze chcą zrobić coś głupiego tylko dlatego, że prosi je o to jakiś obcy ważniak. A ja mam obowiązki wobec ludzi z Aventiny...

Wobec ludzi z Aventiny.

Dawny argument Challinora.

Trzy pary oczu w twarzach stłoczonych razem na ekranie obserwowały go bardzo uważnie.

– No, dobrze – odezwał się w końcu. – Gwen, ty i Cally udacie się do Doliny Kaskii, ale tylko po to, żeby sprawdzić, czy mój plan w ogóle jest wykonalny. Ja w tym czasie skontaktuję się z całą radą i powiadomię ich o wszystkim, ale chciałbym przynajmniej oznajmić, że istnieje możliwość rozwiązania tego problemu w inny sposób.

Chrys, kiedy zaczęło ustępować napięcie widoczne przedtem na jej twarzy, prawie się zgarbiła.

– Dziękuję – szepnęła tylko. Jonny uśmiechnął się z przymusem.

– Nie mnie dziękuj. Mimo wszystko to ty miałaś przecież rację. Popatrzył na Gwen.

– Chrys przedstawi cię Theronowi Yutu, mojemu asystentowi, który załatwi ci taksówkę powietrzną, pilota i wszystko, czego będziesz potrzebowała. W sprawie aparatury elektronicznej kontaktuj się z Chrys... gdyby czegoś nie miała, być

może będzie mogła to zbudować. Możesz spotkać się z Callym w Niparinie i stamtąd udać się do Doliny Kaskii. Jeżeli zaś chodzi o ciebie, Cally... – Chcąc podkreślić wagę swoich słów, wskazał go palcem. – Bez względu na to, co usłyszysz od Therona lub mojej siostry, każdą aparaturę, choćby nie wiem jak cenną, będziemy mogli zastąpić inną. Jeśli spotkacie jakąś rozwścieczoną gantuję, nie ryzykuj, tylko łap Gwen i zmykaj, gdzie pieprz rośnie. Jasne?

– Jasne – odparł cokolwiek niepewnie Halloran. – Jeżeli ci to w czymś pomoże, to uważam, że podjąłeś słuszną decyzję.

– Ja tak właściwie nie uważam, niemniej dziękuję. Chryst?

– Zaraz zadzwonię do Therona – odezwała się bardzo poważnie. – Myślę, że Gwen będzie mogła dotrzeć do Niparinu w ciągu najbliższych trzech godzin, a może nawet wcześniej.

– To dobrze. No cóż... informujcie mnie wszyscy o tym, co robicie, a ja dam wam znać, kiedy będziecie mi znów potrzebni. I nie ryzykujcie bez potrzeby.

Wszyscy się rozłączyli i przez kilka następnych minut Jonny siedział zamyślony, czując się dziwnie samotny w tym cichym pomieszczeniu. Jakby nie dosyć tego, że ryzykował karierę swoją i Jame'a, właśnie przed chwilą postanowił narazić przyszłość Gwen i Hallorana. Czy możliwe, iż był aż tak pewny tego, że w tym sporze racja jest po jego stronie?

Nie potrafił na to odpowiedzieć... ale i tak w tej chwili potrzebował czegoś więcej niż odpowiedzi. Ponownie uruchomił telefon i połączył się ze statkiem D'arla.

– Proszę z Jame'em Moreau – oznajmił, kiedy na ekranie pojawiła się twarz młodego chorążego. – Proszę mu powiedzieć, że chce mówić z nim jego brat.

Chorąży kiwnął głową i znikł z ekranu, a po minucie ukazała się na nim twarz Jame'a.

– Tak, Jonny?

Jego głos brzmiał przyjaźnie, ale w twarzy czaił się niepokój.

– Chciałbym spotkać się z tobą za jakąś chwilę – odparł Jonny. – Może zjedlibyśmy razem obiad, kiedy skończysz pracę?

– No, nie wiem...

– Żadnych pytań, żadnych prośb o przysługi, żadnych rozmów o polityce – obiecał Jonny. – Chociaż przez jakiś czas chciałbym być z tobą tylko jako ze swoim bratem. O ile, oczywiście, dysponujesz czasem.

Jame uśmiechnął się niepewnie, a napięcie zaczęło powoli ustępować z jego twarzy.

– Na sprawy naprawdę ważne zawsze dysponuję czasem – odparł cicho. – Umówmy się zatem na obiad... powiedzmy, w tej samej restauracji za pół godziny?

Jonny odwzajemnił uśmiech. Poczul, jak przytłaczający jego barki ciężar jakby trochę zelżał.

– Za pół godziny – powtórzył.

Zajął to cały tydzień, ale w końcu wyniki badań różnych okazów krzewów blussy zaczęły się powtarzać... i okazały się dokładnie takie, jak przepowiedział D'arl.

– Wygląda to na reakcję na przedłużający się niedobór wilgoci w glebie – powiedział radzie starszy botanik, trzęsącą się ręką przerzucający plansze z wykresami, skomplikowanymi chemicznymi formułami i fotografiami, jakie ukazywały się na ekranach komputerowych pulpity należących do syndyków.

Jonny doszedł do wniosku, że botanik nigdy w życiu nie wyjaśniał niczego samemu przewodniczącemu, który także uczestniczył w zebraniu.

– Jeden ze składników epidermy... to jest ta wierzchnia warstwa, chroniąca roślinę przed utratą wilgoci... zmienia swój skład chemiczny z takiego na taki.

Na ekranach komputerowych pulpity pojawiły się rysunki dwóch dosyć skomplikowanych molekuł.

– Okazuje się, że taka przemiana ma biologiczny sens pod dwoma uzupełniającymi się względami – ciągnął w tym czasie botanik. – Nie tylko przekształcona w ten sposób epiderma chroni roślinę przed wysuszeniem o piętnaście do dwudziestu procent lepiej niż stara, ale podczas związanej z nią reakcji chemicznej wydzielają się dwie cząsteczki wody po to, żeby roślina mogła je przyswoić.

– Innymi słowy, im większa susza, tym bardziej zaczynają szaleć gantuje? – zapytał go syndyk Hemner.

– Nieco upraszczając problem, tak – stwierdził botanik i kiwnął głową. – Być może istnieje gdzieś stare koryto rzeki, gdzie gantuje żywią się innymi okazami krzewów, ale nawet jeżeli gdzieś jest, my jeszcze go nie odkryliśmy.

Halloran, siedzący pod samą ścianą obok Gwen, popatrzył na Jonny'ego i zmarszczył nos. Jonny ledwo zauważalnie kiwnął głową na znak, że się z nim zgadza: jeżeli gantuja, z którą walczyli, nie była całkiem szalona, nie mieli najmniejszej ochoty spotykać się z taką, która zwariowała do szczętu.

– No cóż, istnieją tylko dwa możliwe do przyjęcia rozwiązania – odezwał się ponuro Hemner. – Albo zwrócimy się do przewodniczącego D’arla o to, żeby jak najszybciej dostarczył nam nowe Kobry, albo ewakuujemy całą ludność zamieszkującą Dolinę Kaskii do czasu, aż ustąpi susza. O ile w ogóle ustąpi.

– Istnieje jeszcze jedno rozwiązanie – odezwał się głośno Jonny, pragnąc być słyszany mimo narastającego pomruku głosów wyrażających zgodę na wnioski Hemnera.

– A mianowicie? – przynaglił go Zhu.

– Samemu zakończyć suszę – odparł Jonny, gestem wskazując zebrany swoją siostrę. – Pozwólcie panowie, że przedstawię doktor Gwen Moreau, która właśnie wróciła z wyprawy w góry otaczające Dolinę Kaskii.

Gwen wstała.

– Jeżeli pan gubernator generalny Zhu pozwoli, chciałabym zaprezentować wyniki swoich badań, o przeprowadzenie których poprosił mnie przed tygodniem syndyk Moreau.

– Badań dotyczących czego? – zapytał podejrzliwie Zhu.

– Propozycji pogłębienia przełęczy w łańcuchu górskim Molada w taki sposób, aby skierować część wód z jeziora Ojaante w wyschnięte łożysko Kaskii.

Z ustami na wpół otwartymi ze zdumienia, Zhu bez słowa zaprosił ją do swojego stołu.

– Dziękuję bardzo. Panowie – zwróciła się do syndyków, wsuwając magnetyczną kartę do czytnika – pozwólcie teraz, że pokażę, jak prosto można to zrobić.

Wyjaśniała prawie przez całą godzinę, ilustrując ważniejsze punkty swego wystąpienia większą liczbą rysunków i wykresów niż przemawiający przed nią botanik. Mówiła z dużym zapałem i pewnością siebie, włączając do wykładu wiele elementarnych informacji o metodach wykorzystania zjawisk tektonicznych w tym celu, aby w możliwie bezbolesny sposób doksztalcić nawet największych nieuków wśród syndyków... Wreszcie Jonny zauważył, jak panujące w sali zdumienie przemienia się w zainteresowanie, a później w umiarkowany entuzjazm.

Dla Jonny’ego te przemiany oznaczały coś więcej, kiedy dostrzegł, jak z twarzy jego siostry na zawsze znika nakładający się na nią tylko w jego myślach wizerunek Gwen-dziesięciolatki. Jego mała siostrzyczka była teraz dorosłą kobietą... a on czuł cholerną dumę z tego, że się nią stała.

Kiedy ostatni wykres w końcu zniknął ze wszystkich ekranów pulpitów komputerowych, Gwen kiwnęła głową w stronę syndyków.

– Jeżeli macie, panowie, jakieś pytania, postaram się na nie odpowiedzieć.

Na chwilę zapadła głucha cisza. Jonny popatrzył na D'arla, spodziewając się ataku na sprzeczny z jego planem projekt. Przewodniczący jednak się nie odzywał, a jego wzrok zdradzał taki sam podziw, jaki Jonny dostrzegł na twarzach innych, siedzących wokół stołu ludzi.

– Będziemy musieli zarządzić dodatkowe badania, chociażby po to, by potwierdzić pani wnioski – odezwał się w końcu Zhu. – Myślę jednak, że o ile nie pominęła pani jakiegoś ważnego zagadnienia, może pani już teraz zająć się opracowaniem szczegółów swojego planu. Proszę jak najszybciej określić, w jakich miejscach w uskoku tektonicznym zamierza pani rozmieścić ładunki wybuchowe. – Spojrzał po twarzach siedzących dookoła stołu ludzi. – Jeżeli nie ma jakichś innych spraw... – Przerwał niemal wbrew samemu sobie, kiedy ujrzał uniesioną dłoń Jonny'ego z wyciągniętym wskazującym palcem. – Tak, syndyku Moreau?

– Usilnie nalegam na to, by przedstawiona nam przez przewodniczącego D'arla propozycja została poddana jeszcze raz pod głosowanie – odezwał się uprzejmie, ale bardzo stanowczo Jonny. – Uważam, że zaprezentowane przed chwilą rozwiązanie, które wynikało z mojego wcześniejszego sprzeciwu, dowodzi, że można pokonać nasze problemy bez uciekania się do nowej generacji Kobr. Chciałbym więc, by nasza rada miała jeszcze jedną możliwość wyrażenia opinii o moim wniosku.

Zhu pokręcił głową.

– Przykro mi, ale w moim przekonaniu nie dowiódł pan niczego, co w zasadniczy sposób zmieniałoby naszą sytuację.

– Co takiego? Ależ...

– Panie gubernatorze generalny – przerwał mu D'arl jak zawsze spokojnie – jeżeli to pomoże uspokoić pana sumienie, proszę pozwolić mi powiedzieć, że ja nie mam przeciwko nowemu głosowaniu. – Popatrzył na Jonny'ego i lekko się uśmiechnął. – W moim przekonaniu pan syndyk Moreau sobie na to zasłużył – dodał.

Odbyło się zatem ponowne głosowanie... a kiedy obliczono głosy, okazało się, że za propozycją D'arla głosowało jedenaście osób, a przeciwko niej – zaledwie siedem.

Stojący na skraju kosmodromu Capitalii statek D'arla prezentował się naprawdę okazale – był, rzecz jasna, nieco mniejszy niż ogromne międzygwiazdne

transportowce, ale ponad dwukrotnie większy od awentińskiej „Dewdrop”. Strzeżony przez czujniki obszar rozciągał się na kolejne pięćdziesiąt metrów wokół statku i kiedy Jonny przekroczył jego granicę, zauważył, jak zamontowana na samym dziobie automatyczna wieżyczka strzelnicza obróciła się, kierując się wprost na niego. Dwaj uzbrojeni i opancerzeni komandosi stojący po obu stronach zamkniętego wjazdu nie uczynili wprawdzie żadnego ruchu, ale umieszczone na ich ramionach obrotowe karabinki przez cały czas miały lufy zwrócone w jego stronę.

– Syndyk Jonny Moreau do przewodniczącego D’arla – oznajmił komandosom, kiedy zatrzymał się o kilka kroków przed nimi.

– Czy pańska wizyta została uzgodniona? – zapytał jeden ze strażników.

Mógł sobie pozwolić na uprzejmość – w kompletnym egzoszkieletowym uzbrojeniu był bardziej niebezpieczny niż jakikolwiek Kobra.

– Przewodniczący mnie przyjmie – odparł Jonny. – Proszę oznajmić mu, że przyszedłem. Drugi strażnik patrzył przez chwilę na pierwszego, a potem powiedział:

– Pan przewodniczący jest teraz bardzo zajęty, przygotowaniem do jutrzejszego odlotu i innymi sprawami...

– Proszę oznajmić mu, że przyszedłem – powtórzył Jonny.

Pierwszy strażnik przygryzł wargi i nacisnął przełącznik na gardle. Powiedział coś zwięźle i bardzo cicho i po chwili kiwnął głową.

– Pan przewodniczący pana przyjmie, panie syndyku – odezwał się do Jonny’ego. – Proszę poczekać, pański opiekun za chwilę tutaj przyjdzie.

Jonny kiwnął głową i stał cierpliwie, a kiedy pojawił się opiekun, wcale nie zdziwił się jego widokiem.

– Cześć, Jonny – odezwał się Jame na powitanie. Uśmiechał się serdecznie, chociaż jakby z przymusem. – Przewodniczący D’arl czeka na ciebie w biurze. Pozwól, że cię tam zaprowadzę...

Przeszli przez ciężkie, wykonane ze stopu kirelium i stali drzwi wjazdu, za którymi stała następna para tak samo uzbrojonych i opancerzonych strażników.

– Miałem nadzieję, że cię jeszcze zobaczę, zanim odlecimy – odezwał się Jame, kiedy zagłębiali się w labirynt krótkich korytarzy. – Urzędnik w twoim biurze powiedział mi, że pojechałeś na urlop i że nie można się z tobą skontaktować.

– Chrys sądziła, że dobrze mi zrobi, jak chociaż na kilka tygodni wyjadę – odparł Jonny matowym głosem. – Że pomoże mi to uporać się z tym wszystkim, co wyrządził nam twój przewodniczący.

Jame popatrzył na niego z ukosa.

– I pomogło?

– Pytasz o to, czy mam zamiar zrobić mu awanturę? – Jonny potrząsnął głową. – Nie. Chcę tylko go zrozumieć. Chcę wiedzieć, dlaczego to zrobił. Jest mi wienien przynajmniej tyle.

Ujrzeni przed sobą kolejną parę komandosów, tym razem w zwyczajnych mundurach. Żołnierze stali po obu stronach grubo opancerzonych drzwi. Jame przeszedł między nimi, umieścił dłoń na czytniku, po czym ciężka tafla bezszelstnie odsunęła się na bok.

– Syndyk Moreau – powiedział na jego widok D’arl, podnosząc się zza wielkiego biurka, przytłaczającego swoimi rozmiarami niezbyt duży pokój. – Witam pana. Proszę siadać.

Wskazał Jonny’emu krzesło stojące naprzeciw niego po drugiej stronie biurka.

Jonny usłuchał. Jame także usiadł na krześle stojącym mniej więcej w równej odległości od obydwu mężczyzn. Jonny przez krótką chwilę się zastanawiał, czy zrobił to celowo, i doszedł do wniosku, że zapewne tak.

– Miałem nadzieję, że dzisiaj zechce pan złożyć mi wizytę – powiedział D’arl, ponownie siadając na swoim miejscu. – To nasza ostatnia szansa, żeby porozmawiać... czy powinienem dodać: szczerze?... zanim zaczną się te wszystkie nudne ceremonie pożegnalne, jakie Zhu planuje na jutro.

– Nudne? A zatem nie zrobił pan tego wszystkiego tylko po to, żeby nacieszyć się poklaskiem czy uwielbieniem tłumów ludzi?

Jonny przerwał i rozejrzał się po pomieszczeniu. Z pewnością można było się czuć w nim dobrze, ale nie zobaczył żadnych luksusowych przedmiotów, jakie spodziewał się ujrzeć w osobistych pokojach przewodniczącego komitetu.

– Jestem pewien, że nie chodziło panu także o prywatne korzyści majątkowe – ciągnął. – A zatem, o co? O władzę, dzięki której może pan kazać ludziom robić to, co pan każe? D’arl pokręcił głową.

– Pan w ogóle nie rozumie, o co w tym wszystkim chodzi – powiedział.

– Nie rozumiem? Dobrze pan wiedział, że gantuje zaczną wyprawiać dzięki harce właśnie wówczas, kiedy przybył pan pomachać nam przed nosami przynę-

tą w postaci nowych Kobr. Przez cały czas pan wiedział, że winne są odwodnione trzciny krzewów blussy, ale nie pisał pan o tym ani słowa, dopóki pana nie przycisnąłem.

– A jaki byłby skutek, gdybym to zrobił? – zapytał D’arl. – Nie sady pan chyba, że odpowiadam także za wywołanie u was suszy?

– Oczywiście, że nie – zachnął się Jonny.

– A zatem, jak pan sam powiedział, chce pan wiedzieć dlaczego – ciągnął D’arl, jak gdyby nie usłyszał poprzednich słów Jonny’ego. – Dlaczego zaproponowałem Aventynie coś takiego i dlaczego rada syndyków tak chętnie zgodziła się na moją propozycję.

– Dlaczego rada ją przyjęła, jest jasne – odrzekł Jonny. – Jest pan przewodniczącym Dominium i to, co pan powie, jest święte.

D’arl ponownie potrząsnął głową.

– Już panu mówiłem, że niczego pan nie rozumie. Problemy z gantują, rzecz jasna, odrobinę mi pomogły, ale były tylko niewielką częścią głównego powodu, dla którego to zrobiłem. Rada zaakceptowała mój pomysł, bo było to rozwiązanie nie wymagające od jej członków praktycznie żadnej pracy.

Jonny zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem.

– A przecież to takie proste. Zgadzając się na to, aby główny ciężar rozwoju Aventyny i związanych z tym niebezpieczeństw złożyć na barki Kobr, rada odwleka potrzebę obarczenia nim zwykłych obywateli. Postawieni przed szansą kontynuowania takiego rozwiązania ludzie prawie zawsze chętnie z niej korzystają. Zwłaszcza mając pod ręką tak wygodną i oczywistą wymówkę jak szalejące gantuje.

– Ale takie rozwiązanie jest dobre tylko na krótką metę – upierał się Jonny. – Na dłuższą zaś...

– Doskonale o tym wiem – nie dał mu dokończyć D’arl. – Ale ludzi skłonnych do poświęcenia najbliższego posiłku po to, by po dwóch tygodniach urządzić ucztę, można policzyć na palcach jednej ręki. Jeżeli zamierza pan być politykiem, powinien pan nauczyć się tej prawdy jak najszybciej. – Przerwał i wykrzywił twarz w grymasie, chociaż Jonny wcale się nie odzywał. – Minęło już wiele lat od czasów, kiedy traciłem cierpliwość w sprawach dotyczących dużych grup ludzi – przyznał. – Proszę mi wybaczyć i przyjąć to jako dowód na to, że nie jestem ani trochę bardziej szczęśliwy od pana z faktu, że musiałem coś takiego zrobić.

– Ale dlaczego?- zapytał cicho Jonny.

Przed dwoma tygodniami wykrzyczałby to pytanie, wkładając w nie całą trawiącą go wówczas frustrację i wściekłość. Teraz jednak nie czuł już żadnej złości i pogodził się z porażką, a pytanie było podyktowane zwykłą chęcią poznania prawdziwych przyczyn.

D'arl westchnął.

– Jeszcze jedno dlaczego. Ponieważ, syndyku Moreau, to był jedyny sposób, żeby uchronić pana świat od zagłady. – Machnął ręką, pokazując na sufit. – Od ostatniego roku czy dwóch groźby Troftów, że zamkną korytarz, stają się coraz ostrzejsze i częstsze. Jediną rzeczą, która zdoła ich powstrzymać od zrobienia tego choćby dzisiaj w nocy jest fakt, że będą wówczas musieli prowadzić wojnę na dwa fronty. Jeżeli zaś Aventura ma być wiarygodnym partnerem do prowadzenia takiej wojny, musi mieć zapewnioną możliwość ciągłej obecności Kobr na swojej ziemi. Jonny pokręcił sceptycznie głową.

– Nawet wtedy nie będzie takim partnerem. Nie mamy przecież żadnych godnych wzmianki środków transportu... W jaki sposób moglibyśmy im zagrozić? A nawet gdybyśmy je mieli, zawsze zdążą zadać nam wyprzedzający cios i zmieść nas z map gwiazdnych w ciągu zaledwie kilku godzin.

– Ale tego nie zrobią – powiedział D'arl. – Przyznaję, że sam o tym kiedyś myślałem, ale im dłużej studiuje zebrane w ciągu wielu lat przez psychologów raporty na temat Troftów, tym bardziej jestem przekonany o tym, że całkowite zniszczenie przeciwnika po prostu nie jest ich sposobem prowadzenia wojny. Nie, o wiele bardziej prawdopodobne jest to, że zechcą dokonać na wasz świat inwazji, tak jak zrobili to na Adirondack i Silvern.

– Ale nadal uważam, że do obrony przed takim atakiem nie są nam potrzebne Kobry – upierał się Jonny, czując, jak znów budzi się w nim rozdrażnienie. – Przywiózł pan ze sobą lasery przeciwpancerne... równie dobrze mógł pan nam dostarczyć zwyczajne karabiny laserowe, dzięki którym moglibyśmy zorganizować oddziały milicji czy nawet regularnego wojska. Dlaczego nie chce pan zrozumieć, że mam rację?

– Ponieważ Troftowie nie obawiają się milicji ani wojska. Prawda wygląda tak, że nie boją się nikogo poza Kobrami.

Jonny zamrugał oczami. Już otwierał usta do sprzeciwu, ale jedyne, co zdołał powiedzieć, to było wypowiedziane cichym szeptem przekleństwo:

– Do diabła...

D'arl kiwnął głową.

– Rozumie pan teraz, dlaczego musiałem to wszystko zrobić. Aventina być może nigdy nie będzie mogła sama obronić się przed inwazją Troftów, ale dopóki macie coś, czego się obawiają, chociażby tylko z psychologicznych względów... no cóż, dopóty macie chociaż szansę.

– A Dominium nie musi marnować sił i środków na nową wojnę, mającą na celu odzyskanie zagrabionych światów? – zapytał z przekąsem Jonny.

D’arl ponownie się uśmiechnął.

– Jak widzę, zaczyna pan rozumieć, jakie mechanizmy rządzą polityką. Największe dobro dla jak największej grupy ludzi i maksymalne korzyści na krótką metę dla tak wielu, jak tylko to możliwe.

– Albo przynajmniej dla tych, których poparcia pan potrzebuje? – zapytał cicho Jonny. – A na tych, których sprzeciw się nie liczy, można nie zwracać uwagi?

– Jonny, chodzi nam o twoje bezpieczeństwo, nie rozumiesz? – wtrącił się zapalczywie Jame. – Tak jest, poniesiesz jakieś koszty, ale w życiu przecież niczego nie ma za darmo.

– Wiem o tym – odparł Jonny, wstając. – I jestem skłonny przyjąć do wiadomości, że pan przewodniczący chociaż trochę miał na uwadze nasze dobro. Ale nie musi podobać mi się wybrane przez niego rozwiązanie, tak samo jak metoda, za pomocą której zmusił nas wszystkich do jego akceptacji. Panie przewodniczący, uznał pan za słuszne nie przekazywać nam informacji, o której wiedział pan zapewne od miesięcy. Ryzykował pan, że w tym czasie ktoś z nas może stracić życie. Gdybym sądził, że może to coś zmienić, podałbym ten fakt do publicznej wiadomości jeszcze dzisiaj. Ponieważ tak nie sądzę, będę musiał zostawić pana na pastwę wyrzutów własnego sumienia, o ile oczywiście jeszcze pan je ma.

– Jonny!... – zaczął ze złością w głosie Jame.

– Nie, nic nie szkodzi – przerwał mu pospiesznie D’arl. – Uczciwy nieprzyjaciel jest lepszy od wielu nieszczerých sojuszników. Do widzenia panu, syndyku Moreau.

Jonny tylko kiwnął głową i odwrócił się do przewodniczącego plecami. Tafla drzwi odsunęła się na bok, kiedy do niej się zbliżył, a on przeszedł przez próg ufając, że jego dobra pamięć pozwoli mu przejść przez labirynt korytarzy wiodących do służby wyjściowej statku. Był tak bardzo pogrążony w myślach, że nawet nie zauważył podążającego tuż za nim brata, dopóki ten się nie odezwał.

– Przykro mi, że wszystko skończyło się w taki sposób. Byłoby o wiele lepiej, gdybyś chociaż trochę postarał się go zrozumieć.

– Och, rozumiem go bardzo dobrze – odparł Jonny. – Rozumiem, że jest politykiem i nie może zwracać sobie głowy myśleniem o konsekwencjach, jakie mogą mieć dla ludzi ruchy na jego szachownicy.

– Sam jesteś teraz politykiem – przypomniał mu Jame, kierując go w odnogę korytarza, w którą Jonny zapomniał skręcić. – Jest szansa, że i ty kiedyś znajdziesz się w sytuacji, z której nie będzie dobrego wyjścia. Mam tylko nadzieję, że zanim się w niej znajdziesz, przeżyjesz tak dużo porażek i zwycięstw, że nie będziesz traktował tak emocjonalnie ani jednych, ani drugich.

Przy wyjściu pożegnali się, mówiąc sobie oziębłe, oficjalne słowa, chociaż Jonny nigdy nie sądził, że w ten sposób mógłby zwracać się kiedyś do brata. Po kilku następnych minutach znalazł się znów w samochodzie.

Nie odjechał jednak natychmiast. Siedział za kierownicą i wpatrywał się w zimny blask bijący od statku Dominium. W myślach powtarzał ciągle ostatnie słowa, jakie usłyszał od Jame'a. Czy naprawdę zareagował tak ostro tylko dlatego, że przegrał w mało istotnej w końcu sprawie? To prawda: mimo wszystko nie przywykł do porażek, ale czyżby za jego szlachetną troską o przyszłość Aventiny i jej ludu kryła się tylko urażona duma i ambicja?

Nie. Przegrywał już wiele razy: na Adirondack, na Horizonie po zakończeniu wojny i nawet tutaj, podczas pierwszego starcia z Challinorem. Znał gorycz porażki i umiał na nią reagować... wiedział także, jak często bywa chwilowa.

Spojrząwszy po raz ostatni na statek D'arla, Jonny uruchomił silnik. Nie, wcale nie pogodził się z porażką. Aventina także się nie pogodzi i będzie się nadal rozwijała. I to on, a nie D'arl, będzie czuwał nad tym, aby temu rozwojowi nic nie zagrażało. Gdyby poznanie tajników polityki miało okazać się niezbędne, by to zrobić, miał zamiar stać się najlepszym cholernym politykiem, przynajmniej po tej stronie Asgardu.

W tym czasie zaś... miał przecież żonę, syna i okrąg, który także wymagał jego opieki. Zawróciwszy samochód, skierował się w stronę domu. Wiedział, że Chrys oczekuje go tam niecierpliwie.

Interludium

W miarę upływu lat ogródek haiku ulegał ciągłym zmianom, tak stopniowym jednak i subtelnym, że D'arl nie pamiętał dokładnie, jak wyglądał, kiedy objął swój urząd po przewodniczącym H'ormie. Jedna część ogródka niewątpliwie nosiła na sobie piętno D'arla. Rosły w niej trzciny krzewów blussy, kilka karłowatych cyprysowców i inne okazy flory z Aventiny. O ile wiedział, był jedynym przewodniczącym komitetu, który w swoim ogródku haiku hodował rośliny z Odległych Światów... a wyglądało na to, że żaden z jego następców nie będzie miał na to żadnej szansy.

Stojący obok niego Jame Moreau prawidłowo zrozumiał znaczenie zamyślenia, jakie ogarnęło przewodniczącego.

– Tym razem nie żartują, prawda? – powiedział.

Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

D'arl wahał się przez chwilę, zanim kiwnął głową.

– Nie widzę, w jaki inny sposób można by rozumieć tak jasno wyrażone żądanie. Będziemy mieli szczęście, jeżeli statek, który właśnie wysyłamy, nie utknie na Aventynie.

– Albo w drodze powrotnej – dodał Jame, nachylając się, aby wyprostować grożącą złamaniem trzcinę krzewu blussy.

– Gdyby utknął w drodze, mielibyśmy naprawdę poważny problem – zgodził się z nim D'arl. – Nie możemy pozwolić Troftom na zamknięcie korytarza, dopóki nie ostrzeżemy Aventyny.

– Bez względu na to, co zrobią, kiedy ich ostrzeżemy – dodał Jame.

Powiedział to opanowanym tonem, ale D'arl wiedział, o czym myśli. Na Aventynie przebywali jego starszy brat i siostra i chociaż ich wzajemne stosunki były ostatnio trochę chłodniejsze niż zazwyczaj, Jame nadal bardzo się martwił, co z nimi teraz będzie.

– Dadzą sobie radę – odezwał się przewodniczący pragnąc, aby jego słowa były czymś bardziej konkretnym niż tylko podmuchami powietrza. – Troftowie w charakterze zakładników niemal zawsze biorą ziemię i posiadłości, a nie pory-

wają ludzi. Jeżeli ci na Aventynie potrafią się opanować, uważam, że Troftowie nie powinni wyrzucić im najmniejszej krzywdy.

Jame wyprostował się i strzepnął pyłek krzewu blussy, który mu przyłgnał do palców.

– Tylko że ja nie sądzę, by umieli się opanować – stwierdził cicho. – Będą walczyli... a szczególnie Jonny i pozostałe Kobry. Tego zresztą spodziewa się po nich komitet i dowództwo wojsk Dominium, prawda?

D'arl westchnął.

– Taka możliwość od samego początku wisiła nad ich głowami, Moreau. Wiedzieliśmy o niej, kiedy ich tam wysyłaliśmy. Ty także, jak sądzę, wiedziałeś o tym gdzieś w głębi duszy, kiedy po raz pierwszy zwróciłeś się do mnie ze swoim planem. Bez względu jednak na to, co teraz się stanie, uważani, że warto było ryzykować.

Jame kiwnął głową.

– Wiem o tym. Ale bardzo chciałbym, żebyśmy mogli zrobić dla nich coś więcej.

– Jestem otwarty na wszelkie propozycje.

– A co by pan powiedział na to, by pozwolić Troftom na zamknięcie korytara w zamian za obietnicę, że pozostawią kolonie w spokoju?

D'arl pokręcił głową.

– Myślałem już o tym, ale komitet nigdy się na coś takiego nie zgodzi. Nie-możliwe do sprawdzenia, żeby nie szukać innych argumentów. Poza tym włożyliśmy w to zbyt wiele wysiłku, ponieśliśmy zbyt duże koszty, poświęciliśmy zbyt wielu ludzi... nie możemy teraz bez walki zostawić ich na łasce Troftów.

Jame westchnął i niechętnie skinął głową, przyznając tym gestem, że się zgadza.

– Chciałbym zwrócić się do pana z prośbą o wyrażenie zgody na mój udział w tej ostatniej ekspedycji, o ile to możliwe – powiedział. – Wiem, że proszę o to bardzo późno, ale będę gotów, zanim statek zdąży wystartować z Adirondack.

D'arl spodziewał się tej prośby, ale to wcale nie sprawiło, by odmowa przychodziła mu choć trochę łatwiej.

– Przykro mi, Moreau, ale obawiam się, że nie mogę się na to zgodzić. Sam niedawno mówiłeś o niebezpieczeństwie przechwycenia lub zniszczenia statku w drodze powrotnej... Zanim odpowiesz, że jesteś gotów podjąć związane z tym

ryzyko, pozwól mi oświadczyć, że ja nie chcę, byś to robił. Zbyt wiele wiesz o wszystkich tarciach i wewnętrznych dyskusjach w łonie komitetu, a ja za żadne skarby nie chciałbym, żeby ta wiedza została wykorzystana przeciwko nam przez Troftów.

– A więc niech mi pan pozwoli na odbycie szybkiej kuracji wtórno-amnezycznej – nalegał Jame. – Nie opóźni to startu statku więcej niż o jeden dzień, o ile będę mógł okres rekonwalescencji spędzić na pokładzie.

D’arl pokręcił głową.

– Nie, ponieważ mógłbyś utracić pamięć na stałe, gdyby taki zabieg przeprowadzić zbyt szybko, a tego także nie chciałbym ryzykować.

Jame głęboko westchnął, godząc się z odmową.

– Tak jest – powiedział tylko.

D’arl jeszcze raz popatrzył na ogródek haiku.

– Nie myśl, że nie wiem, co w tej chwili czujesz – odezwał się cicho. – Uważam jednak, że tak krótkie spotkanie z bliskimi ci osobami w tych warunkach pozostawiłoby tylko gorycz i w niczym by nie poprawiło sprawy. Jedyne, co możesz dla nich zrobić, to zostać tu i pomagać mi powstrzymać krach dyplomatyczny tak długo, jak tylko to możliwe. Im później Troftowie podejmą jakieś wrogie kroki, tym więcej będziemy mieli czasu na przygotowania.

I tym więcej czasu będzie miało Dominion – tego już nie powiedział – na przygotowanie się do obrony. Ponieważ, choć tak bardzo ważne, Odległe Światy były zamieszkiwane zaledwie przez czterysta tysięcy ludzi... a z perspektywy Kopyły o wiele istotniejsze było siedemdziesiąt pozostałych światów ze swoimi setkami miliardów mieszkańców. Dla obrony tych ludzi można poświęcić Aventinę i jej dwóch młodszych krewniaków. „Największe dobro dla jak największej grupy ludzi” stanowiło wciąż jeszcze najbardziej niewzruszoną wartość, jaką kierował się D’arl w swojej pracy.

Starł się bardzo uważać, aby o tych argumentach nie powiedzieć Jame’owi... ale on i tak zapewne się tego domyślał. Z jakiegoż innego powodu chciałby lecieć na Aventinę, aby pożegnać się z rodzeństwem?

Westchnąwszy głęboko, D’arl ruszył przed siebie wąską ścieżką. Jeszcze jeden zakręt i znajdzie się znów przed drzwiami swojego biura. Wróci do realnego świata i zagrażającej mu nowej wojny. I do czekania na cud, który nie mógł się wydarzyć.

Mąż stanu: 2432

Dźwięk stojącego tuż obok łóżka telefonu był przenikliwym kierunkowym piskiem o częstotliwości dobranej w taki sposób, aby obudzić z najgłębszego snu nawet największego śpiocha. Jonny jednak od wielu miesięcy nie spał tak długo i smacznie, a więc jego umysł z trudem zarejestrował ten pisk, włączając go natychmiast do snu. Dopiero kiedy delikatne dotknięcie ręki Chrys przerodziło się w energiczne potrząsanie, uznał, że jednak powinien się obudzić.

- Hm? - zapytał, nie otwierając oczu.

- Jonny, obudź się. Dzwoni Theron Yutu - powiedziała. - Mówi, że to coś bardzo pilnego.

- Uff - westchnął Jonny, obrócił się ciężko na bok i sięgnął po mikrotelefon.

- Tak? - zapytał.

- Panie gubernatorze, jestem w tej chwili na kosmodromie - dobiegł go głos Yutu. - Leci do nas statek kurierski Dominium. Lądowanie mniej więcej za pół godziny. Chcą się widzieć z panem, gubernatorem generalnym Stiggurem i tyłoma syndykami, ilu uda się zebrać do czasu ich lądowania.

- Która to będzie wtedy... trzecia rano? Dlaczego taki straszny pośpiech?

- Nie wiem. Niczego więcej nie powiedzieli. Ale rozmawiał z nimi kometant kosmodromu i oświadczył, że mają zamiar odlecieć nie później niż po dwunastu godzinach od chwili lądowania.

- Chcą odlecieć po dwunastu godzinach? O co, do diabła, może... a zresztą, to nieważne. Jestem pewien, że i tak ci nie powiedzą. - Jonny nabrał głęboko powietrza, usiłując uporządkować mętlik, jaki otrzymana wiadomość zrobiła w jego głowie. - Czy skontaktowałeś się już ze Stiggurem?

- Jeszcze nie, proszę pana. Satelita Hap-3 jest wciąż niedostępny, a Hap-2 znajdzie się w dogodnym położeniu za pół godziny i dopiero wtedy będę mógł to zrobić.

A kiedy Stiggur zostanie powiadomiony, upłyną następne trzy godziny, zanim zdąży powrócić z odległego rejonu, który właśnie wizytuje. Oznaczało to, że cały kłopot związany z powitaniem tajemniczego wysłannika Dominium będzie musiał spaść na barki Jonny'ego.

– No, cóż, w takim razie zagoni ludzi do pracy i niech dzwonią do wszystkich syndyków. Ci, którzy nie zdołają dotrzeć na kosmodrom w ciągu godziny, powinni zjawić się tak szybko, jak tylko będą mogli. Aha... czy wiesz może, jaki stopień ma ten gość, który do nas leci?

– Nie wiem, proszę pana, ale z rozmowy wynikało, że wolałby, żeby nie urządzano żadnej ceremonii powitalnej.

– Dobrze, że chociaż o to nie muszę się martwić. Jeżeli zamierza od razu przejść do rzeczy, nie będziemy mu tego utrudniali. Damy sobie spokój z gmachem Dominium i powitamy go przy wyjściu z hali przylotów na kosmodromie. Czy będziesz mógł załatwić jakieś przyzwoite biuro albo salę konferencyjną i rozstawić strażników, by nam nikt nie przeszkadzał?

– Na miejscu jest już Almo Pyre. Zaraz do niego zadzwonię i każę mu tego dopilnować.

– Świetnie.

Jonny przerwał i zaczął się zastanawiać, czy nie powinien pomyśleć o czymś jeszcze, ale po chwili zrezygnował. Był pewien, że i tak Yutu wie, co robić.

– No, dobrze, będę na kosmodromie mniej więcej za pół godziny. Lepiej gdybyś i ty tam się pojawił... na wypadek, gdybym cię potrzebował.

– Tak jest. Przykro mi z powodu tego całego zamieszania.

– Nie szkodzi. To na razie.

Jonny odłożył słuchawkę, westchnął ciężko i wyciągnął się znów na łóżku, żeby zebrać siły. Później usiadł, starając się nie jęknąć głośno. Okazało się jednak, że nie było tak źle, jak się spodziewał: stawy miał, jak zwykle, zeszywniałe, ale poczuł w nich tylko jedno czy dwa ukłucia bólu. Zawroty głowy także ustąpiły bardzo szybko. Jonny wstał i spojrzał na leżące na nocnej szafce pudełko z tabletkami krwiotwórczymi. Wiedział, że nie powinien brać następnej przed upływem co najmniej czterech godzin, ale nie przejmując się tym, połknął jedną, a potem poszedł do łazienki. Kiedy skończył brać prysznic, stwierdził, że ostatnie ślady wywołanego anemią zmęczenia ustąpiły. Obawiał się tylko, że nie na długo.

W czasie krótkiej nieobecności Jonny'ego Chrys nie próżnowała. Wyjęła z szafy i ułożyła na łóżku jego najlepszy strój, noszony tylko na specjalne okazje.

– Jak myślisz, o co może tym razem chodzić? – zapytała półgłosem.

W sąsiednim pokoju spało dwóch ośmiolatek: Joshua i Justin, którzy byli znani z tego, że zawsze budzili się bardzo łatwo.

Jonny potrząsnął głową.

– Ostatni raz, kiedy przysłali kogoś, nie uprzedzając nas o tym co najmniej kilka miesięcy wcześniej, chodziło o uszczęśliwienie nas fabryką Kobr. Spodziewam się, że i tym razem też może chodzić o coś podobnego... tylko że start po dwunastu godzinach od chwili ładowania brzmi naprawdę złowieszczo. Albo ów wysłannik chce wracać do domu jak najszybciej, albo nie ma zamiaru spędzać tu więcej czasu, niż jest to absolutnie konieczne do spełnienia misji.

– A może w ostatnim transporcie do nas wykryto jakąś zarazę? – zapytała Chrys, podając mu koszulę. – Większość tych handlowych statków zachowuje jedynie bardzo iluzoryczne środki ostrożności.

– Gdyby tak było, prawdopodobnie by powiedzieli, że wolą nie schodzić z pokładu – odparł Jonny i skrzywił się, kiedy wkładał ręce w rękawy koszuli.

Starał się, aby ślady nagłego bólu, jaki odczuł, nie uwidoczniły się na twarzy.

Chrys jednak i tak je zauważyła.

– Wczoraj po południu dzwonił mój ojciec – powiedziała. – Prosił, bym ci przypomniawszy, żebyś w końcu znalazł czas i przyszedł do niego na badania.

– Po co? – burknął Jonny. – Mam usłyszeć, jak mówi, że mój artretyzm i anemia nadal się pogarszają? Sam o tym wiem i bez niego. – Westchnął. – Przepraszam cię, kochanie. Wiem, że powinienem odwiedzić Orrina, ale naprawdę nie wierzę, aby mogło mi to w czymś pomóc. Płacę cenę za bycie nadczołowiekiem przez te wszystkie lata i nic na to nie można teraz poradzić.

Chrys przez chwilę się nie odzywała, ale w pewnym sensie jej pozorny spokój był bardziej kłopotliwy niż okresowe wybuchy gniewu i złości, jakie często zdarzały się w początkowym okresie jego dolegliwości. Oznaczał pogodzenie się z faktem, że Jonny'ego nie można wyleczyć, a zarazem tłumienie w sobie własnego bólu, jaki czuła, po to, by tym łatwiej mógł pogodzić się z tym i on, i ich trzech synowie.

– Zadzwonisz, kiedy się dowiesz, o co chodzi? – zapytała w końcu.

– Jasne – obiecał, czując ulgę z powodu tej zmiany tematu.

Ułga była jednak chwilowa... ponieważ jego zdaniem istniał tylko jeden powód, dla którego wysłannik Dominium mógł zachowywać się w taki sposób. A jeżeli miał rację, już wkrótce postępująca anemia mogła być najmniejszym ze zmartwień Jonny'ego.

Pięć minut później jechał w kierunku kosmodromu. Wydawało mu się, że w mrocznych zakamarkach miasta, dokąd nie sięgało światło ulicznych latarni, zaczynają gromadzić się duchy z Adirondack.

Tammerlaine Wrey wyglądał jak jeden z typowych biurokratów średniego szczebla z Kopuły, jacy w czasach, kiedy Jonny dorastał, byli zawsze ulubionym celem politycznych karykatur ówczesnych środków masowego przekazu. Otyły i słabo umięśniony, odziany w kosztowne ubranie, które do niego nie pasowało, roztaczał wokół siebie ledwo uchwytną aurę protekcyjności, o jaką mieszkańcy Odległych Światów byli zawsze skłonni podejrzewać wszystkich ludzi pochodzących z centralnych regionów Dominium.

A w dodatku przyleciał z wiadomościami, które nie mogły być ani trochę gorsze.

– Proszę zrozumieć, że robimy, co się da, by odciągnąć od was główne siły Troftów – powiedział, pokazując palcem na zakrzywioną linię frontu na wojskowej mapie Oddziałów Gwiezdných, jaką przywiózł ze sobą. – Sądzę jednak, że mimo to iż staramy się wiązać ich główne siły, nie zapomną o was całkowicie. Połączone Dowództwo Wojsk ocenia, że w najlepszym razie możecie się spodziewać od dwudziestu do stu tysięcy nieprzyjacielskich żołnierzy w ciągu najbliższego roku.

– Mój Boże! – wykrzyknął Liang Kijika. – S t o tysięcy? To jedna czwarta ludności wszystkich naszych planet razem wziętych!

– Ale macie u siebie blisko dwa tysiące czterysta Kobr – zauważył Wrey. – Sto tysięcy Troftów nie powinno być dla nich żadnym problemem, jeżeli wziąć pod uwagę doświadczenia z ostatniej wojny.

– Z wyjątkiem takiego drobiazgu, że prawie siedemdziesiąt procent tych Kobr nigdy nie brało udziału w żadnej walce – wtrącił się Jonny, próbując mówić spokojnym tonem, chociaż wspomnienia z Adirondack tańczyły przed jego oczami niczym opary na bagnach. – A ci, którzy byli, z chwilą rozpoczęcia ataku nie będą się nadawali do walki.

– „Ci, którzy nie mogą walczyć, zajmą się szkoleniem następców” – zacytował Wrey. – Wasi weterani w ciągu kilku miesięcy powinni przeszkolić innych i przygotować ich do walki. Panowie, nie przybyłem tu po to, żeby organizować wam obronę. To wasi ludzie i w a s z świat, więc z pewnością postaracie się przygotować do walki lepiej, niż ktokolwiek na Asgardzie mógłby to zrobić. Jestem tu tylko po to, aby ostrzec o istniejącym zagrożeniu i zabrać na pokład statku tych kilkunastu obywateli Dominium, których ostatni zakaz kontaktów handlowych pozbawił szansy powrotu do domów.

– Wszyscy jesteście obywatelami Dominium – burknął Tamis Dyon.

– Oczywiście, oczywiście – zbył go Wrey. – Wiecie dobrze, o co mi chodzi. W każdym razie będę chciał widzieć tych ludzi na pokładzie nie później niż w ciągu sześciu godzin. Mam tutaj listę nazwisk, ale musicie ich odszukać sami.

– A co robią w tej chwili władze, żeby nie dopuścić do wybuchu wojny? – zapytał Jonny.

Wrey lekko zmarszczył brwi.

– Nie da się jej uniknąć, panie gubernatorze – odparł. – Myślałem, że powiedziałem to bardzo jasno.

– Ale przecież Najwyższy Komitet wciąż jeszcze prowadzi pertraktacje...

– Tylko po to, by odwlec wybuch wojny na tak długo, żebyście zdążyli się do niej przygotować.

– Co pan ma na myśli, mówiąc: „przygotować”? – niemal krzyknął Dyon, unosząc się ze swojego miejsca. – Co, do diabła, mamy robić? Wystrugać sobie przeciwlotnicze działka z pni cyprysowców? Skazujecie nas na wybór rodzaju śmierci: albo zamordują nas Troftowie, albo powoli wymrzemy z głodu wskutek zamknięcia korytarza i pozbawienia dostaw żywności.

– To nie ja odpowiadam za to, co się stało – odciął się Wrey. – Winni są Troftowie, bo to oni zaczęli, a wy powinniście być wdzięczni komitetowi, że myśli o was i stara się was poprzeć. Gdyby tego nie robił, zostalibyście podbici już przed wieloma laty. – Przerwał i przez dłuższą chwilę usilnie starał się odzyskać spokój. – Tu jest lista osób, do zabrania których zostałem upoważniony – powiedział, wyciągając kartę magnetyczną, którą po chwili popchnął przez stół w stronę Jonny’ego. – Proszę pamiętać, mają panowie tylko sześć godzin, ponieważ „Menssana” musi odlecieć – tu spojrzał na zegarek – za jedenaście.

Jonny nie spiesząc się, podniósł się i sięgnął po kartę magnetyczną. A wieści zostały rzucone... wciąż było jednak zbyt wiele do stracenia, aby wolno mu było beczynnie siedzieć.

– Chciałbym porozumieć się z gubernatorem generalnym Stiggurem na temat wysłania z panem w drogę powrotną naszego emisariusza, który by na miejscu dowiedział się, o co naprawdę chodzi – odezwał się do Wreya.

– To wykluczone – odparł Wrey, potrząsając głową. – Po pierwsze, jest bardzo prawdopodobne, że w drodze powrotnej zostaniemy zaatakowani przez Troftów, jeszcze zanim zdążymy osiągnąć przestrzeń Dominium. Po drugie, gdyby nawet tak się nie stało, emisariusz nie mógłby wrócić. W każdej chwili korytarz może zostać zamknięty na dobre, a wówczas wasz przedstawiciel byłby zmuszony zostać na Asgardzie.

– Mógłby tam pełnić funkcję konsultanta do spraw Odległych Światów – nalegał Jonny. – Sam pan kiedyś powiedział, że właściwie nie wiecie, co się u nas dzieje.

– Konsultanta? W jakim celu? – zapytał Wrey. – Czy naprawdę się pan spodziewa, że Oddziały Gwiezdne przyjdą wam z odsieczą mimo dzielącej nas odległości setek lat świetlnych wrogiej przestrzeni kosmicznej Troftów?

Popatrzył po twarzach siedzących wokół stołu ludzi, a później wstał).

– Jeżeli nie ma żadnych pytań, wracam na razie na „Menssanę”. Proszę mnie powiadomić, kiedy przybędzie pan gubernator generalny Stiggur.

Skinął zebranych głową i szybkim krokiem skierował się w stronę drzwi wyjściowych.

– Traktuje nas gorzej niż falksie bobki, prawda? – burknął Kijika.

Opuszki małych palców dłoni trzymał tak silnie dociśnięte do blatu stołu, że skórę pod paznokciami miał całkiem zbielałą.

– Wkrótce już nikogo nie będzie tu obchodziło, co sądzi o nas on czy ktokolwiek inny w Dominium – odezwał się ponuro Dyon.

– Być może uda się trochę tę chwilę odwlec – powiedział Jonny, podając Dyonowi magnetyczną kartę. – Czy nie zechciałbyś przekazać jej Theronowi Yutu i powiedzieć mu, żeby zabrał się do szukania wymienionych na niej ludzi? Ja muszę teraz zadzwonić w bardzo pilnej sprawie.

Gubernator generalny Stiggur znajdował się wciąż w drodze do Capitalii, ale dzięki łączności za pomocą satelity telekomunikacyjnego Hap-2 obraz jego twarzy na ekranie był idealnie wyraźny. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia – Stiggur miał minę dokładnie taką, jak można się było spodziewać.

– Zatem tak wyglądają teraz sprawy – odezwał się, kiedy Jonny zrelacjonował mu hiobową wieść, z jaką przyleciał do nich Wrey. – Troftowie znaleźli w końcu w sobie dość odwagi, żeby rozpocząć drugą rundę. Niech ich porwą wszyscy diabli! – Parsknął. – No cóż. Czego nam potrzeba, byśmy mogli przygotować się do oblężenia?

– Więcej czasu – oznajmił prosto z mostu Jonny. – Jeśli mam być brutalnie szczery, Brom, nie sądzę, żeby istniała choćby najmniejsza szansa, jeśli Troftowie będą chcieli naprawdę dobrać się nam do skóry. W tej chwili naszą jedyną obroną są nowe Kobry, ale jeżeli chodzi o udział w prawdziwej wojnie, nie umieją niczego.

Stiggur skrzywił się z niesmakiem.

– Czy nie sądzisz, że nie powinniśmy rozmawiać o tym wszystkim za, pomocą sieci ogólnodostępnej? – zapytał.

– Czyżbyś zamierzał robić z tego tajemnicę?

– Chyba nie. No, dobra, Jonny. Z pewnością nie zadzwoniłeś tylko po to, aby uprzedzić mnie o czekającej zagładzie. O co właściwie chodzi?

Jonny ciężko westchnął.

– O twoją zgodę na to, żebym poleciał z Wreyem na Asgard i zobaczył, co będzie można zrobić, aby zapobiec wojnie.

Brwi Stiggura uniosły się tak wysoko, że zrównały się z linią włosów na czole.

– Czy nie sądzisz, że zrobiono w tej sprawie wszystko, co się dało?

– Nie wiem. Skąd mielibyśmy to wiedzieć, dopóki nie skontaktujemy się z Najwyższym Komitetem czy Połączonym Dowództwem naszego wojska?

Stiggun głośno wypuścił z płuc powietrze.

– Będziesz nam potrzebny tutaj – powiedział.

– Daj spokój, chyba nie mówisz poważnie. Wiesz dobrze, że nie nadaję się już do walki, a poza tym na Aventynie jest wiele innych Kobr pierwszej generacji, dysponujących większą od mojej wiedzą zarówno wojskową, jak taktyczną.

– A co z twoją rodziną? – zapytał cicho Stiggun. – Jej z pewnością będziesz potrzebny. Jonny nabrał głęboko powietrza.

– Przed dwudziestoma dziewięcioma laty opuściłem wszystkich bliskich mi ludzi po to, by walczyć w obronie innych, których w ogóle nie znałem. Jak mógłbym teraz zaprzepaścić choćby najmniejszą nawet szansę ocalenia życia nie tylko swojej żony i dzieci, ale wszystkich przyjaciół, jakich kiedykolwiek miałem?

Stiggun przez długą minutę patrzył na niego w milczeniu, a z jego twarzy nie można było wyczytać, co myśli.

– Bardzo niechętnie to przyznaję, ale uważam, że masz rację – rzekł w końcu. – Kiedy zobaczę się z tym Wreyem, doradzę mu, aby zabrał cię ze sobą. Mm... wygląda mi na to, że do Capitalii zostało jeszcze pół godziny. W tym czasie... – Zahażał się. – Lepiej połącz się z Yutu i przekaż mu swoje obowiązki, a potem przedyskutuj to wszystko z Chrys.

– Dzięki, Brom. To właśnie chciałem zaraz zrobić.

– Odezwę się do ciebie, kiedy będę coś wiedział.

Kiwnął głową i przerwał połączenie. Ekran ściemniał.

Westchnąwszy, Jonny bardzo ostrożnie rozprostował swe zbuntowane łokcie i wystukał kod, mający zapewnić mu połączenie z Yutu.

Kiedy Jonny informował rodzinę o złych wieściach i o swojej propozycji żegnania grożącego kryzysu, wszyscy siedzieli w rozjaśnionym łagodnym światłem salonie. Spoglądając na nich po kolei, jak nigdy przedtem uzmysławiał sobie odmienność osobowości i sprzeczne uczucia, malujące się na ich twarzach. Justin i Joshua, siedzący bardzo blisko siebie na tapczanie, okazywali mniej więcej w równym stopniu trwogę i bezgraniczne zaufanie. Ta mieszanina uczuć przywołała Jonny'emu na myśl zachwyty i uwielbienie, jakim przed wieloma laty darzyła go zawsze jego siostra, Gwen. Kontrastujący z tym grymas Corwina zadawał kłopot jego zaledwie trzynastu latom. Toczył właśnie walkę z samym sobą, aby znaleźć dorosły odpowiednik uczucia, w którym mógłby utopić swoje własne przerażenie. Jego widok przypominał Jonny'emu Jame'a, który zawsze wydawał się zbyt poważny jak na swoje biologiczne lata. Chrys zaś...

Chrys wyglądała tak jak zawsze, promieniowała pewnością siebie, ciepłem i poparciem nawet w tych chwilach, w których jej oczy zdradzały strach, ból i niepokój z powodu czekającej ich, być może na zawsze, rozłąki. Pogodziła się z jego planem, nie z chęci okazania mu posłuszeństwa, lecz z prostego faktu, że jej umysł funkcjonował dokładnie w taki sposób jak jego, i że równie jasno jak on zdawała sobie sprawę, iż mogła to być ostatnia szansa, której w żadnym wypadku nie wolno zaprzepaścić.

Kiedy skończył mówić, w pokoju zapadła głucha cisza, zakłócana jedynie cichym szmerem aparatury klimatyzacyjnej.

– Kiedy zamierzasz lecieć, tato? – zapytał w końcu Corwin.

– Jeżeli w ogóle polecę, to jeszcze dzisiaj – odparł Jonny. – Statek Dominium odlatuje, kiedy tylko zatankują paliwo i sprawdzą wszystko przed odlotem.

– Czy zamierzasz zabrać ze sobą Alma albo kogoś innego?

Jonny lekko się uśmiechnął. Almo Pyre był jednym z pierwszych ochotników, którzy ukończyli szkolenie w fabryce Kobr D'arla, a teraz, pełen bezgranicznego oddania dla Jonny'ego i całej rodziny Moreau, stanowił dla Corwina wzór wszelkich cnót i namacalnego pozytywnego bohatera.

– Nie sądzę, byśmy mieli w drodze jakieś kłopoty – odrzekł synowi. – Poza tym twój ojciec też nie jest jeszcze aż tak bezbronny.

Spoważniawszy, zwrócił się w stronę Chrys. Lojalność, jaką okazywała mu na każdym kroku, zasługiwała przynajmniej na tyle samo z jego strony.

– Wyjaśniłem ci wszystko, co wiem, co sądzę i dlaczego uważam, że powinienem lecieć. Ale powiedz mi, jeżeli po wysłuchaniu tego wszystkiego myślisz, że powinienem zostać.

Uśmiechnęła się smutno.

– Jeżeli po tylu spędzonych razem latach naprawdę mnie nie znasz, Jonny... – zaczęła.

Na głośny brzęczyk telefonu wszyscy aż podskoczyli. Jonny wstał, podszedł do biurka i włączył urządzenie.

– Tak? Dzwonił Stiggur.

– Przykro mi, Jonny, ale nici z tego. Wrey stanowczo sprzeciwia się „zaśmiecaniu statku do niczego mu nieprzydatnymi prowincjonalnymi urzędnikami”. Powtórzyłem ci dokładnie jego słowa.

Jonny powoli wypuścił z płuc powietrze.

– Czy w rozmowie z nim podkreśliłeś, jak bardzo może to być ważne? – zapytał.

– Tak głośno i wyraźnie, że mógłbym wystraszyć gantuję – odparł Stiggur. – Wrey po prostu nie zgadza, się na zrobienie czegoś, co choćby w niewielkim stopniu wykraczało poza otrzymane rozkazy.

– Może lepiej będzie, jak sam z nim porozmawiam. Czy nadal mam twoją zgodę na ten lot?

– Jasne, że tak. Ale w tej chwili to i tak bez znaczenia.

– Być może. Dam ci znać, co załatwię.

Rozłączył się i zaczął wybierać numer, mający połączyć go z kosmodromem, ale w połowie przerwał, odwrócił się i popatrzył na Chrys.

Jej oczy były wpatrzone w niego, a poprzez niego w ból, jaki mogła zadać jej najbliższa przyszłość, ale chociaż wargi miała jak wyciosane z drewna, jej głos brzmiał stanowczo, kiedy powiedziała:

– Tak. Próbuj dalej.

Jonny patrzył w jej oczy jeszcze przez chwilę, a później odwrócił się znów w stronę telefonu. W kilka chwil potem na ekranie ukazała się twarz Wreya.

– Tak? Och, to pan. Niech pan posłucha, panie gubernatorze...

– Panie Wrey, nie zamierzam powtarzać argumentów, jakie przedstawił panu gubernator generalny Stiggur – przerwał mu Jonny. – Nie obchodzi mnie,

dłaczego nie potrafi pan patrzeć dalej własnego nosa i zrozumieć, z jakiego powodu to jest takie ważne. Oświadczam, że zamierzam polecieć z panem na Asgard bez względu na to, czy panu to się spodoba, czy nie.

– Naprawdę? W Kopule nazywają to kompleksem Tytana, panie Moreau... przekonanie, że można robić, co się chce, i nie liczyć się z żadną władzą, kiedy tylko ma się ochotę. Radzę, by pan sprawdził, kogo reprezentuję, i pomyślał, co będzie, jeżeli spróbuje pan wdrzeć się na mój statek wbrew rozkazom, jakie wydałem strzegącym go komandosom.

Jonny pokręcił głową.

– Obawiam się, że to pan nie rozumie sytuacji prawnej, w jakiej pan się znajduje. Nasze prawo bardzo jasno stanowi, że gubernator generalny może zażądać miejsca na każdym statku odlatującym z Aventiny w celu skontaktowania się z władzami Dominium. Nasze prawo nie przewiduje żadnych wyjątków, mogących uzasadniać odmowę.

– Mimo to domagam się wyjątku. Jeżeli panu się to nie podoba, po zakończeniu wojny może pan złożyć skargę do Najwyższego Komitetu.

– Przykro mi, ale nasza jurysdykcja działa inaczej. Jeżeli żąda pan prawa do traktowania pana w wyjątkowy sposób, musi pan przedłożyć swą prośbę u nas, wobec całej Rady Syndyków Aventiny.

Oczy Wreya zamieniły się w wąskie szparki.

– Czego to będzie wymagało? – zapytał.

Jego pytanie dowodziło, że przebywał na Asgardzie tak długo, iż zapomniał, jakie przepisy prawne obowiązywały na poszczególnych planetach. Przez chwilę Jonny'ego korciło, by uraczyć go prawdziwą mrozącą krew w żyłach procedurą, ale szybko z tego zrezygnował. Oceniał, że bezpieczniej potraktować go całkiem serio. A zresztą, prawda wcale nie wyglądała o wiele lepiej.

– Przed wszystkim będziemy musieli zgromadzić wszystkich syndyków... To zresztą akurat nie będzie trudne, jako że i tak wszyscy już są w drodze. Potem, kiedy się zbiorą, gubernator generalny Stiggur zapozna ich ze swą prośbą, a pan przedstawi swoje pełnomocnictwa i uzasadni odmowę. Rada przedyskutuje zaistniały konflikt, a później zapewne zechce ogłosić przerwę po to, aby każdy z jej członków miał czas zapoznać się z przepisami i postarać się znaleźć jakiś precedens w dokumentacji Dominium, którą dysponujemy. Następnie rada zgromadzi się na dalszą część obrad w pełnym składzie, a kiedy dyskusje dobiegną końca, zarządzi głosowanie. Jeżeli prawo stanowi, że można będzie rozstrzygnąć nasz spór i w taki, i w inny sposób, wystarczy im zwykła większość głosów. Jeżeli

jednak przepis prawa, o którym wspominałem, naprawdę nie dopuszcza wyjątków, będzie konieczna większość trzech czwartych głosów syndyków, uczestniczących w zebraniu rady, aby przyznać panu prawo do jednorazowego wyjątku. Cała procedura powinna zająć nie więcej niż trzy do pięciu dni, jak sądzę.

Widok twarzy Wreya uświadomił mu, że on także dodawał w pamięci dni, jakie może stracić.

– A przypuśćmy, że nie zechcę bawić się razem z panem w tę grę na zwłokę?

– Ma pan do tego pełne prawo... tylko że pana statek i tak nie odleci, dopóki wszystkiego nie rozstrzygniemy.

– W jaki sposób zamierza pan mnie powstrzymać?

Jonny sięgnął do telefonu i wybrał na nim odpowiedni numer. Po kilku sekundach w obwodzie odezwał się ktoś trzeci.

– Mówi Pyre.

– Almo, tu Jonny Moreau. Jak przedstawia się sprawa zaopatrywania statku?

– Wszystko przebiega zgodnie z planem, panie gubernatorze – powiedział młodszy Kobra.

– To świetnie. A teraz powiadom dowódcę nocnej zmiany, że sprawa zaopatrzenia statku Dominion nie jest już taka pilna. Odleci nie wcześniej niż za kilka dni.

– Tak jest, proszę pana.

– Chwileczkę, żołnierzu – burknął Wrey. – Jestem przedstawicielem Najwyższego Komitetu i działając z jego upoważnienia odwołuję ten rozkaz. Zrozumiano?

Zapanowała krótka cisza.

– Panie gubernatorze, czy to żądanie jest zgodne z prawem? – zapytał po chwili Pyre.

– Tak, ale kroki, jakie pan Wrey zamierza przedsięwziąć, są sprzeczne z jednym z naszych przepisów. Wygląda na to, że w tej sprawie konieczne będzie podjęcie decyzji przez radę.

– Rozumiem. Uzupełnianie paliwa i sprawdzanie urządzeń zostaną natychmiast wstrzymane.

– Co takiego? – warknął Wrey. – Zwykły cholerny...

– Odmeldowuję się.

Trzask w słuchawce oznaczał, że Pyre się rozłączył, a cała siła wybuchu Wreya ulotniła się w powietrze. Nie kończąc zdania, popatrzył na Jonny'ego pełnym nienawiści wzrokiem.

– Nie ujdzie to wam bezkarnie, Moreau – powiedział. – Może pan przez cały dzień wysyłać swoje Kobry przeciw moim komandosom, a i tak...

– Czy mówi pan o walce na lasery w bezpośrednim sąsiedztwie statku? – zapytał rzeczowo Jonny. Wrey natychmiast zamilkł.

– Nie ujdzie to panu płazem – powtórzył machinalnie.

– Prawo stoi po mojej stronie – odrzekł Jonny. – Szczerze mówiąc, panie Wrey, nie rozumiem, dlaczego robi pan z tego taki problem. Miejsca dla mnie na pańskim statku nie brakuje, a już wykazałem, że gdyby przełożeni zechcieli pana pytać, jest pan kryty tak w sensie moralnym, jak i prawnym. Kto wie? Może właśnie pochwałą pana za to, że zabrał pan mnie ze sobą... wówczas cała zasługa za dalekowzroczość przypadnie nie komu innemu, tylko panu.

Wrey mruknął coś pod nosem, ale z wyrazu jego twarzy Jonny mógł się domyślić, że już podjął decyzję wyboru łatwiejszego i bezpieczniejszego rozwiązania.

– No, dobrze, niech to wszyscy diabli – powiedział. – Ostatecznie to nie mój interes, jeżeli chce pan stąd zwiewać i spędzić wojnę na Asgardzie. Tylko niech pan tu będzie razem z resztą pasażerów, bo inaczej odleczę bez pana.

– Rozumiem. I dziękuję.

Wrey mruknął coś jeszcze raz, a po chwili ekran telefonu ściemniał.

Jonny odetchnął głęboko. Jeszcze jedno drobne zwycięstwo... które jak wszystkie polityczne zwycięstwa w emocjonalnym sensie kosztowało go tyle samo co inne. Pomyślał, że być może dlatego, iż nigdy żaden jego polityczny przeciwnik w tego rodzaju walce nie mógł być całkowicie pokonany. Zawsze podnosił się po porażce; za każdym razem trochę mądrzejszy i – bardzo często – bardziej wściekły. A teraz Jonny będzie musiał przebywać w zasięgu władzy Wreya przez kolejne trzy miesiące, przez które tamten będzie mógł obmyślać zemstę, jaką niechybnie zechce na nim wyrzucić.

To tyle, jeżeli chodziło o to zwycięstwo.

Krzywiąc twarz w grymasie, Jonny jeszcze raz połączył się z kosmodromem. Jego rozkazy wstrzymania obsługi statku musiały zostać odwołane.

Jonny miał mnóstwo pracy z tak szybkim przekazaniem wszystkich obowiązków i w końcu się okazało, że na pożegnanie się z rodziną zostało mu znacz-

nie mniej czasu, niż pragnął. Uświadomienie sobie tego dodało jeszcze jedną kroplę goryczy do zwycięstwa, które i tak uznał za pyrrusowe, zwłaszcza, że nie miał zamiaru informować Wreya o tym, dlaczego chce lecieć.

Najgorszy z tego wszystkiego był oczywiście fakt, że na statku nie znalazł niemal niczego, czym mógłby zająć myśli. Przed ćwierć wiekiem, kiedy leciał na Aventinę, mógł porozmawiać z kolonistami czy zapoznać się z zapisanymi na magnetycznych kartach informacjami na temat planety, zebranymi przez badające ją grupy naukowców. Teraz jednak, łącznie z czternastoma przedstawicielami firm, jakich zabrał w drogę powrotną Wrey, na statku znajdowało się trzydzieści sześć osób, których Jonny i tak nie bardzo pragnął poznać. Jeśli nawet ktoś na pokładzie wiedział coś nowego na temat grożącej wojny, nie mówił na ten temat ani słowa.

Tak więc przez kilka pierwszych tygodni prawie nie opuszczał kabiny, samotnie przeglądając dane na temat swojej planety, jakie zamierzał przedstawić Najwyższemu Komitetowi. Wiele także rozmyślał... aż pewnego ranka obudził się z nieoczekiwaną, niemal nadprzyrodzoną czujnością. Kilka minut zajęło mu uświadomienie sobie tego, co jego podświadomość wiedziała już znacznie wcześniej: w ciągu nocy ich statek opuścił przestrzeń niczyją i znalazł się w korytarzu Troftów. Dawno temu nabyta ostrożność związana z przebywaniem na terytorium wroga pobudziła do życia drzemiące w nim nawyki Kobry. Kiedy z polityka przemienił się znów w żołnierza, poczuł, że dotychczasowa bezradność ustępuje miejsca całkiem nowemu zdecydowaniu. Przynajmniej na razie sytuacja polityczna stała się podobna do wojskowej... a wojskowe sytuacje prawie nigdy nie były całkiem beznadziejne.

Zaczął zatem od tego, co było sposobem stosowanym zawsze przez wojsko: od zapoznania się z terenem. Całymi godzinami chodził po wszystkich korytarzach i zakamarkach „Menssany”, starając się dowiedzieć wszystkiego na temat statku i zestawiając w myślach długą listę jego wad, zalet i możliwości. Poznał nazwiska i twarze wszystkich czternastu członków załogi i sześciu komandosów na tyle, na ile było możliwe, oceniając tych ludzi pod kątem sposobu, w jaki mogą zareagować na przyszły kryzys. Zebranie informacji na ten temat w odniesieniu do pasażerów okazało się sprawą znacznie prostszą. Mając tyle samo wolnego czasu co on, bardzo chętnie spędzali go w jego towarzystwie, grywając z nim w szachy lub tylko rozmawiając. Kilka razy Jonny bardzo żałował, że nie zabrał z sobą Hallorana, ale nawet bez jego zdolności dokonywania nieformalnych psychologicznych ocen charakterów, wkrótce sam był w stanie podzielić ich na dwie grupy: tych, którzy będą umieli poradzić sobie z przystosowaniem się do sytuacji kryzysowej, i pozostałych, którzy tego nie będą potrafili. Na czele listy osób należących do tej pierwszej grupy Jonny umieścił nazwiska dwojga pasażerów, któ-

rych już wkrótce mógł uważać za swoich przyjaciół i ewentualnych sojuszników. Pierwszą z tych osób była Dnu Quoraheim, kierowniczką jednego z działów zakładu farmaceutycznego. Jej twarz i poczucie humoru przywołały Jonny'emu na myśl Ilonę Linder. Drugim był Rando Harmon interesujący się metalami ziem rzadkich, a od czasu do czasu także zaletami Dru Quoraheim. Przez pewien czas Jonny się zastanawiał, czy Dru nie szukała jego towarzystwa głównie dlatego, aby nie musieć przebywać w towarzystwie Harmona. Już wkrótce jednak stało się jasne, że zainteresowanie, jakie okazywał jej Harmon, miało podłoże wyłącznie przyjacielskie, i Jonny zdał sobie sprawę z tego, że postępowanie Dru było podyktowane chęcią skoncentrowania się na czymś innym niż tylko myśleniu o bezgłośnych krążownikach Troftów.

A kiedy zakończył ocenianie ludzi... pozostało mu tylko czekać. Grywał w szachy z Dru i Harmonem, pilnie śledził kurs statku i – kiedy często nie mógł w nocy zasnąć -rozmyślał, w jaki sposób mógłby zapobiec grożącej wojnie, a przynajmniej nie dopuścić, aby zagroziła Aventinie. Zastanawiał się też, czy i kiedy Troftowie zechcą zwrócić się przeciwko „Menssanie”.

Zechcieli to zrobić, kiedy statek znajdował się o dwadzieścia pięć lat świetlnych od przestrzeni Dominium.

Było popołudnie czasu pokładowego i większość pasażerów spędzała czas w świetlicy, rozmawiając w dwu- lub trzy-osobowych grupkach, popijając napoje czy grając w różne gry. Przy stole w samym kącie sali Jonny, Dru i Harmon łączyli te wszystkie trzy czynności, dyskutując, popijając znakomite awentiańskie sher-ry i rozgrywając szczególnie złośliwą partię trójwymiarowych szachów.

Partię, w której figury Jonny'ego od jakiegoś czasu sromotnie przegrywały.

– Rzecz jasna, zdajecie sobie sprawę z tego, że taka przyjacielska współpraca jest *prima facie* świadectwem spisku między waszymi przedsiębiorstwami. Jeżeli przegram tę partię, obiecuję, że złożę skargę, kiedy tylko znajdziemy się na Asgardzie.

– Nigdy nie oddawaj sprawy do sądu – odezwał się głębokim basem, chociaż z pewnym roztargnieniem Harmon. Miał powód, aby zwracać uwagę na coś innego: Dru stopniowo, ale nieubłaganie atakowała jego królewskie skrzydło, a zbyt wiele jego figur znajdowało się w miejscach, w których nie mogły przybyć z odsieczą. – W naszej grze to Dru jest tą osobą, która chyba dorabia sobie na boku, kiedy nie zajmuje się taktyką w biurze Połączonego Dowództwa Wojska.

– Bardzo chciałabym tam pracować – rzekła Dru, kręcąc z uśmiechem głową. – Przynajmniej mogłabym robić coś podczas wojny. Badacze rynku nie mają dużo pracy, kiedy kurczą się wszystkie rynki zbytu.

Przez kilka minut jedynymi dźwiękami były odgłosy stawianych na szachownicy figur. Dru wyprowadzała swój atak, Harmon się bronił, a Jonny, korzystając z tej przerwy, przegrupowywał swoje siły. Okazało się jednak, że Harmon spóźnił się o jeden ruch z wymianą figur, i wskutek tego stracił większość przewagi, jaką zapewniała mu niedawna rozszada.

– Powiedz mi jeszcze raz coś na temat tego spisku – odezwał się, kiedy seria posunięć i kontrposunięć wreszcie dobiegła końca.

– No, cóż, może byłem w błędzie – przyznał Jonny. Harmon chrząknął i pociągnął łyk płynu z kieliszka.

– Myślę, że to ostatnie aventińskie sherry, jakie uda się nam dostarczyć na Asgard, przynajmniej przed dłuższą przerwą – stwierdził. – Prawdziwa szkoda.

– Wojna dla wszystkich jest prawdziwą szkodą – przyznał Jonny. Potem na chwilę się zawahał. – Powiedzcie mi, co sądzi środowisko przedsiębiorców na temat zagrażającej nam wojny?

Dru wzruszyła ramionami.

– Mam nadzieję, że nie chodzi ci o ludzi pracujących w fabrykach zbrojeniowych albo stoczniach?

– Nie, miałem namyśli takie firmy, w jakich wy pracujecie. O te, które utrzymywały kontakty z Aventiną. Może nawet z Troftami, ale tego nie wiem. Jak mówiałś, Dru, tracicie rozwijający się rynek zbytu.

Dru spojrzała na Harmona.

– Masz rację, jeżeli chodzi o Aventinę. Chciałabym jednak oświadczyć wyraźnie, że żadna z naszych firm nie handluje z Troftami. Kopuła bardzo niechętnie podchodzi do sprawy wydawania zezwoleń na tego rodzaju handel. Masz jednak rację, że ze stratą rynków Odległych Światów pogodzić się będzie nam bardzo trudno.

– Wszyscy, którzy zajmowali się handlem z wami, czują w tej chwili mniej więcej to samo – dodał Harmon. – Ale na to chyba nic nie można poradzić.

– Myślę, że co najwyżej możemy mieć nadzieję, że nasz pierwszy atak będzie tak zdecydowany i skuteczny, że zakończy wojnę, zanim wyrządzi duże szkody – rzekła Dru.

Zrobiła ruch pionkiem, stwarzając nowe zagrożenie dla króla, którym grał Harmon, równocześnie uniemożliwiając

Jonny'emu wykonanie zaplanowanego posunięcia jego jedyną wieżą.

Hannon, widząc to, machnął ręką w stronę szachownicy.

– Jeżeli ci z Oddziałów Gwiazdnych mają choć trochę oleju w głowach, powinni powierzyć jej dowództwo nad... a to co takiego?

Jonny to także odczuł: głuchy, niemal wyczuwamy łoskot, jak gdyby ktoś upuścił bardzo ciężki klucz na podłogę w sekcji silnikowej „Menssany”.

– Właśnie wyszliśmy z nadprzestrzeni – stwierdził cicho, odsuwając krzesło od stolika i rozglądając się po sali. Na szczęście nikt z obecnych w świetlicy ludzi nie wyglądał na zaniepokojonego.

– Tutaj? – zdziwiła się Dru, unosząc brwi. – Czy nie mieliśmy jeszcze przez dwa tygodnie przebywać w korytarzu Troftów?

– To mogła nie być dobrowolna decyzja – odezwał się półgłosem Jonny wstając. – Zostańcie tu, a ja pójdę na mostek. Na razie nie mówcie nikomu ani słowa... nie ma sensu wywoływać paniki, tym bardziej że nie wiemy, co się dzieje.

Dotarł na mostek i stwierdził, że kapitan Davi Tarvn stara się opanować chaos, jaki ogarnął załogę.

– Co się stało? – zapytał, stając na miejscu dowodzenia.

– Jeszcze nie wiemy – odparł Tarvn przez mocno zaciśnięte zęby. – Wygląda mi na to, że wpadliśmy w drgającą sieć przeciwwinową Troftów, ale dotąd ich statki-pająki się nie pokazały. Może w ogóle się nie zjawia.

– Pobożne życzenia – odrzekł Jonny.

– Też tak sędzę, ale nie pozostaje nam nic innego – stwierdził Tarvn i kiwnął głową. – Jeżeli Troftowie przylecą, zanim uda się nam przekalibrować napęd, to wpadliśmy. Wystarczająco długo badał pan przecież statek... Sam pan wie równie dobrze jak ja, ile czasu wytrzyma nasz pancierz i uzbrojenie, jeśli nas zaatakują. Jonny skrzywił się.

– Najwyżej pół godziny, jeżeli się postarają – odparł. – W jaki sposób mogę panu pomóc?

– Wynosić się do wszystkich diabłów z mostka! – huknął czyjś głos za jego plecami.

Jonny odwrócił się i zobaczył podążającego w ich stronę Wreya.

– Co ze statkiem, kapitanie?

– Potrzebuję minimum godziny, zanim da się przekalibrować napęd – powiedział Tarvn. – Do tej pory będziemy próbowali nie rzucać się nikomu w oczy na tyle, na ile to możliwe.

– Nieprzyjaciel w sektorze dziewięćdziesiąt-siedem koma sześćdziesiąt – odezwał się nagle nawigator. – Zbliżają się, kapitanie.

– Pogotowie bojowe! – Tarvn zgrzytnął zębami. – No, panowie, to byłoby tyle, jeżeli chodzi o nierzucanie się w oczy. Panie Wrey, co mam zrobić?

Wrey zawahał się.

– Mamy jakąś szansę ucieczki? – zapytał.

– Drugi nieprzyjaciel – odezwał się nawigator, zanim Tarvn zdołał mu odpowiedzieć. – Sektor dwa-dziewięćdziesiąt koma dziesięć. Także idą kursem na przechwycenie.

– Dokładnie nad nami – mruknął Tarvn. – Powiedziałbym, że niewielkie, dopóki nie naprawimy napędu.

– A zatem, musimy się poddać – odezwał się Jonny. Wrey odwrócił się i spiorunował go wzrokiem.

– Powiedziałem panu, żeby się pan wynosił – warknął. – Nie ma pan tu nic do roboty. To sprawa dla wojskowych.

– Właśnie z tego powodu jestem wam potrzebny. Walczyłem kiedyś z Troftami, czego z pewnością panowie nie robili.

– A więc jest pan podstarzałym rezerwistą? – odezwał się pogardliwie Wrey. – To nadal nie upoważnia pana do...

– Nie – odparł Jonny tak cicho, aby mogli usłyszeć go tylko Wrey i Tarvn. – Jestem Kobrą.

Wrey przerwał, nie kończąc zdania, i tylko zmierzył Jonny'ego wzrokiem od stóp do głów. Tarvn natomiast mruknął coś bardzo cicho, ale Jonny nie zadał sobie nawet trudu włączenia wzmacniaczy słuchu, aby go usłyszeć. A jednak to kapitan przyszedł do siebie jako pierwszy.

– Czy wie o tym ktoś z pasażerów? – zapytał półgłosem. Jonny pokręcił głową.

– Tylko pan i Wrey – odparł. – I chciałbym, żeby na razie nie dowiedział się nikt więcej.

– Powinien pan być powiedzieć mi o tym wcześniej... – zaczął Wrey.

– Proszę być teraz cicho, sir – przerwał mu niespodziewanie Tarvn, a później, przez cały czas nie spuszczać wzroku z Jonny'ego, zapytał: – Panie gubernatorze, czy Troftowie mogą wykryć pana wyposażenie i uzbrojenie?

– To zależy od tego, jak dokładnie będą chcieli nas przebadać – odrzekł Jonny, wzruszając ramionami. – Dokładne bioskanowanie to wykaże, ale powierzchowne sprawdzanie za pomocą wykrywacza uzbrojenia nie powinno.

Stojący za plecami Jonny'ego sternik nagle chrząknął.

– Kapitanie? – zapytał głosem, nad którym starał się za wszelką cenę zapanować. – Troftowie wzywają nas do poddania się.

Tarvn popatrzył na ekrany, a później odwrócił się tyłem do Wreya.

– Naprawdę nie mamy innego wyjścia – powiedział.

– Proszę poinformować ich, że jesteśmy oficjalnym statkiem kurierskim Dominium i że ich postępowanie jest pogwałceniem zawartego z nami traktatu – nakazał Wrey przez zaciśnięte zęby, także spoglądając na ekrany. – Groźcie, starajcie się ich przekonać... róbcie wszystko, byle tylko się wykręcić sianem. Dopiero gdyby.... – Wypuścił głośno powietrze, przez cały czas zaciskając zęby. – Jeżeli się wam nie uda, dopiero wtedy się poddamy – dokończył.

– I proszę wynegocjować z nimi warunki, umożliwiające nam wszystkim pozostanie na pokładzie „Menssany” – dodał Jonny. – Być może będziemy musieli wynosić się w pośpiechu, kiedy tylko nadarzy się okazja.

– Lepiej będzie, żeby ta cholerna okazja się nadarzyła – mruknął cicho Wrey. – Proszę pamiętać o tym, że to wszystko był pański pomysł.

Jonny omal nie roześmiał mu się w nos. Wrey był prawdziwym biurokratą średniego szczebla – konflikt dopiero się zaczynał, a on już za wszelką cenę starał się znaleźć kogoś, kogo mógłby obarczyć za niego winą. Można to przewidzieć, można się temu dziwić, ale także czasami można próbować wykorzystać do swoich celów.

– W takim razie rozumiem, że upoważnia mnie pan do zajęcia się całą sprawą? Włącznie z tym, że mogę wydawać rozkazy kapitanowi?

Wrey zawahał się, ale tylko na krótką chwilę.

– Cokolwiek pan zechce – powiedział. – Teraz to jest pańska sprawa.

– Dziękuję – odparł Jonny i odwrócił się do Tarvna. – Zobaczmy, co da się zrobić, żeby chociaż trochę poukładać karty i może przy tej okazji spróbować małej dywersji.

Wyłuszczył swój pomysł, uzyskał na niego zgodę Tarvna i pospieszył do pomieszczenia zajmowanego przez komandosów, aby wszystko przygotować. Później powrócił do świetlicy i odbył z Dru i Harmonem cichą naradę. Obydwoje przyjęli nowiny dość spokojnie, a kiedy zbierali i chowali szachowe figury, wyjaśnił im pomocnicze – i teoretycznie przynajmniej – dość bezpieczne role, jakie chciał im powierzyć w realizacji swego planu. Obydwoje zgodzili się na to z ponurą satysfakcją, która dowodziła, że wybrał swych politycznych sojuszników dobrze.

Wrócił do kabiny po kwadransie i właśnie ukrywał najbardziej poufne dane na temat Aventyny na przypadkowych sektorach swoich magnetycznych kart, kiedy Tarvn oficjalnie ogłosił poddanie się „Menssany”. Postępując zgodnie z zarządzeniami kapitana, razem z innymi pasażerami przeszedł do świetlicy i postarał się odprężyć. Udało mu się to mniej więcej tak samo jak wszystkim pozostałym.

Po następnych trzydziestu minutach na pokładzie zjawili się Troftowie.

Świetlica była największym dostępnym dla pasażerów pomieszczeniem, ale piętnastu podróżnych, trzynastu członków załogi i czterech komandosów sprawiało, że zrobiło się w niej dosyć ciasno, nawet gdyby nie liczyć siedmiu uzbrojonych, stojących teraz pod ścianami żołnierzy Troftów. Wreya i Tarvna nie było – prawdopodobnie przetrzymywano ich w innym miejscu. Jonny zacisnął kciuki, mając nadzieję, że każdy, kto to zauważy, pomyśli, że dwóch brakujących komandosów także przebywa razem z nimi.

W czasie wojny Jonny był świadkiem niewielu rozmów przeprowadzanych z żołnierzami Troftów, ale nawet wtedy odniósł wrażenie, że obce istoty nie miały zwyczaju prowadzić grzecznościowej wymiany zdań na tematy społeczne czy polityczne. Grupa Troftów, która przybyła na ich statek, jak na razie nie zrobiła niczego, aby go tego wrażenia pozbawić.

– Od tej chwili ten statek i całe jego wyposażenie są własnością domeny Drea’shaa’chki Zgromadzenia Troftów – odezwał się metaliczny, monotony głos z translatora obcych istot. – Załoga i pasażerowie pozostaną na pokładzie jako dowody pogwałcenia przez ludzi ugody-przepisu. Tak zwany korytarz Troftów zostaje uznany za zamknięty.

A wiec jednak mieli pozostać na pokładzie. Spotkało ich zatem szczęście, o jakim Jonny co prawda marzył, ale którego się nie spodziewał. Jeżeli to Wreyowi udało się wynegocjować na to zgodę, być może pomimo wszystko do czegoś jeszcze się nadawał...

Tok jego myśli został nagle zakłócony, gdyż dwaj Troftowie wciągnęli przez drzwi świetlicy odzianego w pancerz, ale rozbrojonego komandosa, po czym ustawili go w jednej linii z resztą więźniów. Jonny w myślach tylko wzruszył ramionami. Spodziewał się, że lepiej wyposażony z dwójki ukrywających się komandosów zostanie odkryty względnie szybko. Drugi, odziany w koszulę i uzbrojony w nóż i garotę, powinien uchodzić uwagi przeszukujących statek Troftów trochę dłużej. Jego pozostawanie na wolności czy odnalezienie i tak w ostatecznym rozrachunku niczego nie zmieniało. Spełniał swoje zadanie dopóty, dopóki poszukiwania odwracały uwagę przybyszy od cywilów; Jonny jednak nie sądził, aby komandos zdawał sobie z tego sprawę.

Więźniowie przebywali w świetlicy jeszcze przez całą godzinę. Jonny zaczął się zastanawiać, czy Troftowie nie zamierzają trzymać ich tak długo, dopóki się nie upewnią, że wszystkich odnaleźli. Kiedy jednak kolejno zaczęto odprowadzać ich do kabin, a brakujący komandos nadal nie został odnaleziony, Jonny domyślił się, że przyczyna tego opóźnienia była bardziej prozaiczna: obce istoty zapewne przeszukiwały kabiny, mając zamiar zamienić je na cele dla więźniów. Jego przypuszczenia już wkrótce okazały się trafne, gdy po kilku minutach Jonny znalazł się u siebie.

Ale nie całkiem sam.

Od razu rzuciły mu się w oczy krążki trzech czujników rozmieszczonych przez Troftów na ścianach i suficie. Każdy miał może dwa centymetry średnicy i półprzeźroczystą, lekko wypukłą powierzchnię. Szybkie sprawdzenie innych pomieszczeń pozwoliło na stwierdzenie, że także łazienka, a nawet ubikacja zostały wyposażone w takie same krążki. Jonny nie wiedział, jakie sygnały poza optycznymi mogły przekazywać, ale uznał, że i tak nie to jest teraz ważne. Nie mógł zrobić niczego, dopóki znajdowały się na swoich miejscach, a więc jego pierwszym zadaniem powinno być ich usunięcie.

Pomyślał, że po raz pierwszy od dwudziestu siedmiu lat mógłby rozwiązać ten problem za pomocą miotacza energii elektrycznej, ale nie wolno mu było się nim posłużyć, jeśli nie chciał rozgłaszać wszem i wobec faktu, że jest Kobrą. Na szczęście istniały inne sposoby osiągnięcia tego, co zamierzał. Powrócił do łazienki i z szafki z lekami umożliwiającymi udzielanie pierwszej pomocy wyciągnął tubkę z maścią przeciw oparzeniom. Zasmarowywał właśnie grubą warstwą mazi drugi krążek w dużym pokoju, kiedy zjawił się oczekiwany przez niego strażnik Troftów.

– Proszę natychmiast zaniechać tej czynności – odezwała się obca istota, a monotony głos z translatora zatarł wszelkie emocje, jakie mogły się kryć w tych słowach.

– Niech mnie diabli, jeżeli to zrobię – odburknął Jonny, wkładając zarówno w słowa, jak i towarzyszące im gesty całe święte oburzenie, jakie potrafił okazać. Uczynił tak na wypadek, gdyby miał do czynienia z Troftem, który umiał się na czymś takim poznać. – Zaatakowaliście nas, zajęliście nasz statek, przeszukaliście nasze kabiny, popatrz tylko, w jakim nieładzie pozostawiliście moje magnetyczne karty... a teraz jeszcze macie czelność nas szpiegować. Jeżeli chodzi o mnie, nie zamierzam tego tolerować. Zrozumiałeś?

W odpowiedzi membrany górnych części ramion obcej istoty niepewnie zafalowały.

– Nie wszystkim z was przeszkadzają nasze środki bezpieczeństwa – odezwał się translator.

„Nie wszystkim z was...” oznaczało, że Dru i Hann on postępowali zgodnie z jego instrukcjami i także sprawiali kłopoty Troftom. Nie był to tłum, w którym mógłby się ukryć, ale i tak lepiej, niż gdyby miał reagować w ten sposób jako jedyny.

– Nie wszyscy z nas dorastali w domach mających indywidualne łazienki, ale ci, którzy je mieli, nie mogą się teraz bez nich obejść – odparł. – Lubię mieć chociaż trochę prywatności i nie zamierzam z niej rezygnować.

– Czujniki pozostaną – upierał się strażnik Troftów.

– A więc będziesz musiał skuć mnie łańcuchami – burknął Jonny, krzyżując w buntowniczym geście ręce na piersi.

Obca istota zawahała się, a dzięki wzmacniaczom słuchu Jonny usłyszał potok piskliwej, bardzo szybkiej mowy Troftów.

– Mówisz o prywatności w łazience – odezwał się po chwili translator. – Jeżeli czujnik zostanie stamtąd zdjęty, czy to zaspokoi twoje wymagania?

Jonny zacisnął usta. Rzecz jasna, to mu wystarczało, ale nie zamierzał okazywać, że bardzo chętnie zgadza się na ten kompromis.

– No cóż... – odezwał się po chwili. – Myślę, że na początek wystarczy.

Troft minął go i zniknął w łazience, ale po chwili wrócił. W jednej ręce trzymał zdjęty ze ściany czujnik, a w drugiej kilka papierowych chusteczek, które wyjął ze stojącego tam pojemnika. Te ostatnie wyciągnął ku Jonny'emu. Dopiero po sekundzie Kobra zrozumiał, o co chodzi, wziął chusteczki i zabrał się do czyszczenia obydwu krążków, które zasmarował maścią. Kiedy skończył, Troft bez słowa odwrócił się i opuścił pokój.

Ustał wyjątkowo łatwo – przyszło Jonny'emu od razu do głowy. Dokładne przeszukanie łazienki upewniło go jednak, że naprawdę nie było tam żadnych czujników. Powrócił więc do dużego pokoju, usiadł wygodnie z pulpitem komputerowym na kolanach i zaczął czytać, ale przez cały czas starał się okazywać, jak bardzo czuje się skrepowany.

Odczekał godzinę, z której dziesięć minut spędził w łazience, chcąc się przekonać, czy Troftowie nie zaniepokoją się i nie przyślą strażnika. Obce istoty jednak widocznie doszły do wniosku, że nie mógł robić tam niczego niebezpiecznego, i zostawiły go w spokoju. Połknąwszy większą niż zwykle porcję tabletek przeciw artretyzmowi i anemii, wrócił do swojego pulpitu... a kiedy środki zaczęły działać, uznał, że pora przystąpić do akcji.

Zaczął od normalnych przygotowań do wieczornej kąpieli. Wyjął piżamę i zaniósł ją do łazienki, a kiedy się tam znalazł, odkręcił wodę. Korzystając z szumu i plusku, z jakim rozpryskiwała się o kafelki, laserami małych palców wyciął duży prostokąt dosyć cienkiej blachy między miejscem odpływu wody a ścianką działową natrysku. Po minucie dysponował otworem, którym mógł przedostać się do korytarza technicznego, ciągnącego się równoległe do rzędu kabin. Nie zakręcając kranu, przeszedł przez wypalony otwór i idąc bokiem, zaczął powoli oddalać się od kabiny.

Projektant „Menssany” zapewne uważał, że oddzielne systemy wentylacyjne dla ciągnących się na różnych poziomach statku korytarzy technicznych byłyby marnotrawstwem miejsca i aparatury, więc uznał, że wystarczy tylko połączyć je okratowanymi, umieszczonymi mniej więcej w równych odległościach otworami. Było to rozwiązanie, które komuś znajdującemu się w tym miejscu co Jonny w niczym by nie pomogło, gdyż ciasnota pomieszczeń i duża wysokość wykluczały przemieszczanie się w pionie równie pewnie jak gdyby oddzielały je podłogi. Projektant statku nie pomyślał jednak o Kobrach.

Jonny minął trzy następne kabiny, a potem trafił na kratę wiodącą na wyższy pokład. Zgiąwszy kolana o kilka stopni, na tyle, na ile pozwalała na to ciasnota korytarza, skoczył. Zdusił w sobie jęk, jaki chciał mu się wyrwać, kiedy poczuł w stawach dwa impulsy bólu, po czym uchwycił się kraty i przez chwilę wisiał, szukając miejsca, w którym byłoby ją najłatwiej przeciąć. Później, pomagając sobie serwomotorami nóg, docisnął stopy do ścian tak silnie, by się nie ślizgały, i skierował na kratę ogień laserów. Po minucie precyzyjnie przeszedł przez powstały otwór i posuwając się wciąż bokiem, ruszył dalej korytarzem technicznym tego pokładu. Po następnych dwóch minutach zerkał przez szparę w drzwiach wejściowych wiodących do pograżonego w ciemności pomieszczenia. Trzymano w nim aparaturę niezbędną do dokonywania remontów i napraw tego pokładu.

Jonny wiedział, że sąsiednia kabina umożliwiała załodze przygotowywanie się do wypraw w przestrzeń, a dalej znajdowała się główna śluza, prawdopodobnie połączona w tej chwili tunelem ze statkiem Troftów.

Jonny przeszedł przez pomieszczenie techniczne i uchylił jego drugie drzwi, wiodące na główny korytarz. Nasłuchiwał przez chwilę, czy nie dobiegnie go odgłos kroków, ale na szczęście niczego takiego nie usłyszał. Stwierdził, że główna śluza jest rzeczywiście otwarta, ale widoczny za nią tunel zakrzywia się tak bardzo, że śluzy prowadzącej do znajdującego się na drugim końcu statku Troftów nie można było dojrzeć. Jeżeli obce istoty przedsięwzięły jakieś środki ostrożności, musiały to zrobić w tamtym, odległym i niewidocznym końcu. Było to rozwiązanie trudniejsze, ale nie niemożliwe do wykorzystania. Podjęcie jednak jakichkolwiek działań wymagało tego, by „Menssana” znalazła się znów pod kontrolą ludzi... a żeby to osiągnąć, należało opanować mostek. Jonny minął więc śluzę i ruszył dalej.

Spiralna klatka schodowa wiodąca na mostek nie została zaprojektowana z myślą o względach wojskowych, ale Troftowie umieścili na niej jeden ze swoich czujników w kształcie krążka w takim miejscu, że nie można było go ominąć. Stojąc w zacienionym miejscu u stóp schodów, Jonny zgrzytnął zębami i spróbował sobie przypomnieć, czy istniała jakaś inna droga, którą mógłby się dostać na mostek z drugiej strony. Stwierdził jednak, że zajęłoby mu to zbyt wiele czasu, a w tej chwili nie miał go za dużo. Z drugiej strony... gdyby Troftowie zobaczyli nadchodzącego człowieka, który nie miał przy sobie broni, chyba nie powitaliby go od razu ogniem automatycznych pistoletów laserowych. Zapewne skierowaliby na niego pistolet, wezwali do poddania się, a potem odprowadzili do celi i spróbowali się dowiedzieć, w jaki sposób z niej wyszedł. Zgodnie z wojskowymi regułami postępowania w takich sytuacjach powinni najpierw go ostrzec, zanim zaczną strzelać... ale aby to sprawdzić, musiał zaryzykować. Teraz, kiedy „Menssana” znajdowała się nadal w korytarzu Troftów lub w jego pobliżu, ludzie mieli największą szansę ucieczki. Zgrzytnąwszy jeszcze raz zębami, podszedł ostrożnie do schodów i wstąpił na pierwszy stopień.

Szedł po nich dosyć szybko, ale nie szybciej, niż szedłby każdy inny człowiek. Nikt nie zaczął do niego strzelać. Dzięki włączonym wzmacniaczom słuchu jego ciche, podobne do kocich kroki brzmiały mu w uszach niczym wybuchy niewielkich bomb. Oprócz nich słyszał także dochodzące z mostka dźwięki, świadczące o nagłym poruszeniu. Szedł dalej... a kiedy wystawił ostrożnie głowę ponad poziom podłogi mostka, zobaczył wycelowane w siebie wyloty luf czterech laserowych pistoletów trzymanyh przez czterech stojących półkolem Troftów.

– Nie będziesz wykonywał żadnych nagłych ruchów – usłyszał głos z translatora, kiedy zamarł w miejscu. – A teraz wejdź i odpowiedz na pytania.

Jonny powoli pokonał ostatnie stopnie schodów i znalazł się na mostku, przez cały czas trzymając ręce na widoku. W pomieszczeniu znajdowało się jeszcze trzech innych strażników, którzy siedzieli przy aparaturze „Menssany”. Byli uzbrojeni, ale pistolety mieli w kaburach. Na aparaturze służącej do utrzymywania łączności spoczywała niewielka skrzynka, bez wątpienia należąca do obcych istot. Najprawdopodobniej aparat do porozumiewania się ze swoim statkiem – pomyślał Jonny – ale ustawiony w zbyt rzucającym się w oczy miejscu.

– W jaki sposób opuścicieś pomieszczenie? – zapytał go jeden ze strażników.

Jonny zwrócił uwagę ponownie na stojących półkolem Troftów.

– Wezwijcie swojego kapitana – powiedział. – Chcę porozmawiać z nim na temat wymiany handlowej. Membrany na ramieniu Trofta zafalowały.

– Znajdujesz się w położeniu wykluczającym jakikolwiek handel – stwierdził.

– Skąd wiesz? – zapytał go Jonny. – Takie oświadczenie może wydać tylko wasz kapitan.

Troft zawahał się. Później, bardzo powoli, unióśł dłoń do umieszczonej w kołnierzu spinki i wydał z siebie potok piskliwych, bardzo szybkich dźwięków. Nastąpiła po nich chwila przerwy... a po niej skrzynka komunikacyjna nagle się odezwała:

– Tu komandor domeny-statku. Czym chciałby pan ze mną handlować?

Jonny zacisnął usta. To było pytanie, nad którym zastanawiał się od pierwszej chwili, w której Troftowie weszli na pokład... i na które aż do tej chwili nie umiał znaleźć zadowalającej odpowiedzi. Zaproponować mu wolność i życie strażników, znajdujących się teraz na „Menssanie”? Troftowie w odniesieniu do istot żywych nie stosowali pojęcia „zakładnik”. A więc co, sam statek? Przecież los „Menssany” nie spoczywał w jego rękach. Polityka nauczyła go jednak wielu rzeczy, a jedną z nich była wartość kłamstwa, noszącego w sobie wszelkie pozory prawdy.

– Proponuję panu wymianę – powiedział. – Daję panu pański statek w zamian za uwolnienie ludzi, których pan więzi, oraz zwrot „Menssany”.

Po jego słowach nastąpiła długa cisza.

– Proszę powtórzyć – odezwał się w końcu głos z translatora. – Proponuje mi pan mój własny domenę-statek?

– Zgadza się – stwierdził Jonny i kiwnął głową. – Z naszego pokładu mogę go bardzo łatwo zniszczyć. Na przykład ostre zbczenie z kursu na sterburkę spowoduje rozerwanie łączącego nasze jednostki tunelu, a tym samym utratę powietrza przynajmniej w części pana jednostki. Zarazem przy tak małej odległości ogień z dysz naszych silników spowoduje uszkodzenie, a może nawet zniszczenie waszego napędu. Jeżeli chce pan tego uniknąć, może lepiej zastanowić się nad moją propozycją.

Membrany ramion strażników falowały teraz niemal nieprzerwanie. Albo tak bardzo wzrosła temperatura na mostku, albo rzeczywiście trafił w jakieś ich czułe miejsce.

– Komandorze? – przynaglił.

– Możliwość, o której pan mówi, nie istnieje – odezwało się urządzenie. – Nie sprawuje pan żadnej kontroli nad swoim statkiem.

– Myli się pan, komandorze. Mój towarzysz i ja całkowicie panujemy nad sytuacją.

– Nie ma pan żadnego towarzysza. Żołnierz ukrywający się w kanale wentylacyjnym stołówki został odnaleziony i odprowadzony do swojej celi.

A więc udało się im znaleźć drugiego komandosa.

– Nie o nim mówiłem – odezwał się Jonny.

– Gdzie jest pana towarzysz?

– W pobliżu i panuje nad sytuacją. Jeżeli chce pan wiedzieć coś więcej, będzie musiał pan przyjść tutaj i porozmawiać na temat wymiany, którą proponowałem.

Nastąpiła kolejna, tym razem jeszcze dłuższa cisza.

– Bardzo dobrze. Przyjdę – odezwał się w końcu translator.

– To świetnie – rzekł Jonny i zdmuchnął z czubka nosa kroplę potu.

Być może naprawdę w pomieszczeniu zrobiło się trochę za ciepło.

– Ujawnisz nam, gdzie jest twój towarzysz, zanim przyjdzie komandor – odezwał się jeden ze strażników. Nie zabrzmiało to jak uprzejma prośba.

Jonny głęboko odetchnął... i przygotował się do akcji.

– Oczywiście – powiedział. – Jest tam.

Lewą ręką pokazał kąt pomieszczenia, odwracając tym samym uwagę Troftów od lekkiego ugięcia nóg w kolanach...

I odbiwszy się od sufitu, wyładował z hukiem za plecami czterech strażników na podłodze, a jeszcze w locie otworzył ogień z laserów małych palców.

Urządzenie komunikacyjne zostało trafione strzałem z miotacza energii elektrycznej jako pierwsze i zamieniło się w dymiący stos roztopionego metalu. Pistolety dwóch strażników upadły na podłogę w chwilę później, także trafione tą pierwszą salwą. Dwaj następni strażnicy unosili właśnie broń, ale zanim ich lasery rozbłysnęły światłem, one także zamieniły się w chmury parującego metalu i plastiku. Wirując, wypadły im z poparzonych dłoni. Skok w bok, półobrót i Jonny znalazł się w miejscu, z którego mógł obserwować pozostałą trójkę Troftów.

– Nie ruszać się! – rozkazał ostro.

Wskutek zniszczenia translatora nie mogli jego słów zrozumieć, ale to jakoś obcym istotom nie przeszkadzało. Wszyscy strażnicy zamarli bez ruchu w tych miejscach, w których siedzieli albo stali, a membrany ich ramion pozostały nieruchome. Jonny rozbroił pozostałych trzech, a później wyrwał szpilki komunikacyjne z kołnierzy wszystkich siedmiu. Sprowadził ich potem spiralną klatką schodową i kazał wejść do najbliższego pomieszczenia, które okazało się stacją uzdatniania wody. Następnie, na wszelki wypadek, by mieć pewność, że jeńcy nie uciekną, zaspawał mocno zamek i pospieszył ku rufie do głównej śluzy. Spodziewał się, że komandor Troftów nie pojawi się sam, a musiał wiedzieć przynajmniej w przybliżeniu, z iloma przeciwnikami przyjdzie mu toczyć walkę. Wolał się nie zastanawiać, co będzie, jeśli komendant po prostu zmieni zdanie i poświęci swój oddział okupujący „Menssanę” w zamian za dwóch znajdujących się w jego rękach ludzi.

Usłyszał kroki nadchodzących tunelem Troftów o wiele wcześniej, niż ich zobaczył, i na podstawie dźwięków ocenił, że było ich od dziesięciu do piętnastu. Ukrył się w znajdującej się o kilkanaście metrów dalej awaryjnej akumulatorni i przez szparę w uchylonych drzwiach obserwował, jak nadchodzą. Komandora odróżnił bez kłopotu – trzymał się w geometrycznym środku grupy, osłaniany ze wszystkich stron przez uzbrojonych strażników. Pęcherz na jego gardle był upstrzony purpurowymi brodawkami, a mundur na ciele dosłownie kapał od różnobarwnych rurek, świadczących o wysokiej randze. Poprzedzało go sześciu strażników, a sześciu innych szło za nim, wszyscy z gotowymi do strzału laserami zwróconymi w różne strony. Cała procesja, kierując się korytarzem ku mostkowi, musiała przejść obok kryjówki Jonny’ego. W chwili, w której straż przednią ją minęła, Jonny otworzył nagle drzwi na oścież i skoczył.

Drzwi uderzyły tak silnie w plecy najbliższego Trofta, że ten przewrócił się na podłogę, umożliwiając w ten sposób Jonny’emu przedostanie się przez kor-

don do środka grupy. Doskoczywszy do komandora, objął go od tyłu ręką, a impet skoku obrócił ich obu i popchnął ku przeciwległej ścianie. Przedarłszy się między dwoma strażnikami, uderzyli o wspornik, a Jonny aż skręcił się z bólu, kiedy jego plecy przejęły na siebie całą siłę uderzenia.

Przez kilka następnych chwil w korytarzu panowała niezwykła cisza, której wrażenie podkreślał fakt, że wszyscy znieruchomieli.

– No, dobrze – odezwał się w końcu Jonny, kiedy uspokoił oddech. – Wiem, panie komandorze, że nie uznaje pan pojęcia „zakładnik” w odniesieniu do siebie, ale proszę pomyśleć w kategoriach swojego osobistego bezpieczeństwa. Pozostali: złożyć broń na podłodze. Nie zamierzam zabijać waszego dowódcy, ale zrobię to, jeżeli będę musiał.

Nikt jednak się nie poruszył, a półokrąg wymierzonych w niego błyszczących luf dwunastu laserów dziwnie współgrał z widokiem trzymających je, wyposażonych w membrany ramion.

– Powiedziałem: złożyć broń na podłodze – powtórzył nieco ostrzej Jonny. – Nie zapominajcie, że nie możecie mnie trafić, dopóki nie zabijecie swojego komandora.

Troft lekko poruszył się w jego uścisku.

– Moje życie ani trochę ich nie obchodzi – odezwał się monotonicznie translator. – Nie jestem komandorem domeny-statku, a tylko inżynierem od napraw, przebranym w mundur komandora. Przyznaję, że to podstępna sztuczka, ale nauczyliśmy się jej od ludzi.

Jonny poczuł, jak zasycha mu w ustach. Przesunął wzrokiem po twarzach stojących półkolem Troftów i odnalazł potwierdzenie tych słów w zdecydowaniu, z jakim mierzyli w nich obu z laserów.

– To kłamstwo. – Nie wierzył we własne słowa, lecz musiał powiedzieć cokolwiek. – Jeżeli nie jest komendantem, dlaczego nie zaczęliście jeszcze strzelać?

I na to pytanie potrafił sobie odpowiedzieć: chcieli pochwytać go żywcem. Historia – a przynajmniej jego własna historia – właśnie się powtarzała... a wiedział, że w porównaniu z czasami Adirondack znał teraz o wiele więcej bardzo cennych tajemnic, których za żadną cenę nie mógł ujawnić wrogom. Chrys – tchnęła jakaś oderwana cząstka jego umysłu, kierując to słowo ku niebu, kiedy przygotowywał się do ostatecznej walki...

– Nie będą strzelali – odezwał się trzymany przez niego Troft. – Jesteś przecież żołnierz-koubra ze świata-Aventiny, a więc jeżeli cię zabiją, będziesz walczył tak długo, dopóki nie pozabijasz wszystkich na pokładzie.

Jonny uniósł brwi.

– O czym ty mówisz? – zapytał.

– Nie musisz wypierać się tego, co jest prawdą. Wszyscy u nas słyszeli o tym raporcie.

O jakim raporcie? Jonny już otwierał usta, aby o to zapytać... kiedy nagle zrozumiał.

MacDonald. W jakiś sposób musieli dowiedzieć się o MacDonalddie.

Popatrzył jeszcze na półokrąg Troftów, widząc teraz wyprężone membrany na ich ramionach w innym świetle, Przedtem sądził, że utrzymuje je w tej pozycji determinacja, a może także wściekłość. Teraz jednak lepiej rozumiał, czym było to uczucie: zwykłym, nie ukrywanym przerażeniem. D'arl miał rację – pomyślał tym samym oderwanym fragmentem swojego umysłu – oni naprawdę się nas boją.

– Nie zamierzam nikogo zabijać – powiedział cicho. – Chcę tylko uwolnić naszych ludzi i dokończyć to, co zamierzałem zrobić.

– W jakim celu? – odezwał się ten sam monotony głos, tym razem dochodzący od strony tunelu.

Jonny odwrócił głowę i zobaczył jeszcze jednego będącego w średnim wieku Trofta powoli zbliżającego się w jego stronę. Był ubrany w mundur identyczny z tym, jaki miał na sobie osobnik, którego trzymał Jonny.

– W celu ochrony mojego świata, panie komandorze – powiedział Jonny. – Za pomocą politycznych środków, o ile to możliwe, albo wojskowych, jeżeli nie będzie innego wyjścia.

Zbliżający się Troft wydał z siebie kilka szybkich pisków, a po jego słowach wymierzone dotychczas w Jonny'ego lasery powoli zwróciły się ku ziemi. Nie spuszczać wzroku z komandora, Jonny uwolnił swojego więźnia i odsunął się na bok. Już się za nim nie chował. Może wszystko to był podstęp mający na celu uśpienie uwagi Kobry, ale drzemiący w Jonnym polityk uznał, że powinien odpowiedzieć jakimś świadczącym o dobrej woli gestem.

– Czy są jakieś szanse na to, żebyśmy doszli do porozumienia? – zapytał komandora.

– Być może – odparł tamten. – Oszczędził pan życie Troftów znajdujących się w centrum dowodzenia pana statku, chociaż mógł pan ich bardzo łatwo zabić. Dlaczego?

Jonny zmarszczył brwi, uświadamiając sobie po raz pierwszy, że nie ma pojęcia, dlaczego załatwił tę sprawę w taki sposób. Czyżby tak bardzo przesiąknął polityką, w której przecież nie zabijało się swoich przeciwników?

Nie. Prawdziwy powód był znacznie mniej chwalebny.

– Nie miałem potrzeby ich zabijać – odrzekł, wzruszając ramionami. – Myślę, że taka możliwość w ogóle nie przyszła mi do głowy.

– Żołnierzy-koubry stworzono przecież po to, żeby zabijali.

– Stworzono nas po to, żebyśmy b r o n i l i – odparł Jonny. – To zasadnicza różnica, panie komandorze.

Tamten milczał przez chwilę, jak gdyby chciał dobrze zrozumieć jego słowa.

– Być może są jakieś szanse porozumienia – powiedział w końcu. – Albo przynajmniej dyskusji. Czy pan i pański towarzysz zechcieliby teraz udać się ze mną na mój statek?

Jonny kiwnął głową.

– Tak... chociaż towarzysz, o którym przedtem mówiłem, nie będzie się mógł pokazać. Jest pozbawionym ciała bytem, który my, ludzie, zwiemy Łutem Szczęścia.

Komandor przez chwilę się nie odzywał.

– Myślę, że pana rozumiem – powiedział. – Jeśli tak, nadal chciałbym, żeby nam towarzyszył.

Odwrócił się i po chwili zniknął w tunelu łączącym oba statki. Zawahawszy się przez sekundę, Jonny ruszył za nim. Eskorta z bronią zwróconą przez cały czas ku ziemi podążyła jego śladem.

Cztery godziny później był z powrotem na pokładzie „Menssany” i czekał przy wylocie tunelu na Wreya i Tarvna.

– Dobry wieczór – odezwał się na ich widok, a towarzyszący im Troftowie odwrócili się i bez słowa zniknęli w czeluści tunelu. – Kapitanie, jeżeli zechce pan uszczelnić śluzę, za chwilę będziemy mogli ruszać w dalszą drogę.

– O co, do diabła, tutaj chodzi? – zapytał Wrey. Był tak zdezorientowany, że słowa te zabrzmiały bardziej jak skarga niż pytanie. – Żadnych pytań, żadnych żądań... nawet żadnych rozmów, kropka... i nagle pozwalają nam lecieć, jak gdyby nigdy nic się nie stało?

– Och, doszło do rozmów, i to nawet dość długich – zapewnił go Jonny. – Długich i całkiem szczerych. Czy ta śluzka już jest szczelna? To dobrze. Panie kapi-

tanie, jestem pewien, że nasz napęd został już naprawiony, ale będzie musiał pan pójść na mostek, żeby to potwierdzić. I zanim wyda pan rozkaz odlotu, proszę sprawdzić wszystko... Choćby to, czy ten drugi statek Troftów, który nie brał udziału w abordażu, nie będzie chciał nas znów zatrzymać. Brwi Tarvna powędrowały do góry, ale zanim puścił się niemal biegiem na mostek, wyrzucił z siebie tylko jedno słowo:

– Rozumiem.

– Co się dzieje? – zapytał ostro Wrey, kiedy Jonny odwrócił się i ruszył za kapitanem. – Co pan miał na myśli, mówiąc, że doszło do długich rozmów?

– Porozmawiałem sobie naprawdę szczerze z dowódcą statku Troftów i przekonałem go, że w jego najlepiej pojętym interesie leży, by nas uwolnił.

– Innymi słowy, zawarł pan z nim jakiś układ – burknął Wrey. – Czego on dotyczył?

– Czegoś, o czym będę rozmawiał tylko z Najwyższym Komitetem i to tylko wtedy, kiedy znajdę się na Asgardzie – odparł oschle Jonny.

Wrey popatrzył na niego, marszcząc brwi, a w jego wzroku walczyły o lepsze podejrzliwość z rozdrażnieniem.

– Nikt pana nie upoważnił do prowadzenia negocjacji w imieniu całego Dominium Ludzi.

– Nic nie szkodzi – odparł beztrudno Jonny. – Dowódca tamtego statku też nie miał pełnomocnictw do negocjacji w imieniu Zgromadzenia Troftów.

Przez „Menssanę” przeszło ciche drżenie i Jonny rozluźnił mięśnie, o których nawet nie wiedział, że trzymał przez cały czas napięte.

– Ale te pełnomocnictwa, które miał, wystarczyły, by udzielił nam zezwolenia na dalszą podróż – dokończył.

– Moreau...

– A teraz zechce mi pan wybaczyć – przerwał mu Jonny. – To był ciężki wieczór, a ja jestem bardzo zmęczony.

Dobranoc panu, panie Wrey. Będzie musiał pan sam się stanowić, jak opisać w swoim raporcie cały ten incydent, jestem pewien, że wypadnie pan w nim jak prawdziwy bohater.

Kiedy kierował się do kabiny, musiał przyznać przed samym sobą, że z jego strony to nie była wielkoduszność. W tej chwili jednak całe ciało bolało go znacz-

nie bardziej, niż chciałby to Wreyowi okazać, i nie miał cierpliwości do wysłuchiwania pogroźek jakiegoś biurokraty średniego szczebla władzy.

A także, jeżeli już o tym mowa, uwag na temat wprowadzania w błąd czy nielegalnych czynów. To właśnie z tego powodu zamierzał przez kilka dni wypoczywać, a potem spotkać się z Dru i Harmonem i uraczyć ich częścią prawdy o przebiegu swojej rozmowy z dowódcą statku Troftów. Byli przecież jego sojusznikami i mogli być nimi w przyszłości... a oprócz tego Jonny chciał, o ile możliwe, aby pozostali także jego przyjaciółmi.

Do granicy Przestrzeni Troftów i Dominium Ludzi lecieli jeszcze przez całe dwa tygodnie. Było to czternaście najdłuższych dni, jakie Jonny przeżył od czasu zakończenia wojny. A to, rzecz jasna, z powodu ochłodzenia uczuć, jakimi darzyli go pasażerowie na pokładzie „Menssany”. To wszystko przywodziło Jonny’emu na myśl bolesne wspomnienia ostatnich chwil spędzonych na Horizonie. Zdążył prawie całkowicie zapomnieć, co odczuwali na widok Kobr mieszkańcy znajdujących się w centrum Dominium światów. W dodatku podejrzewał Wreya o rozpuszczanie złośliwych plotek na temat przerażającego układu, jaki Jonny musiał zawrzeć z Troftami, aby wykupić ich wszystkich z niewoli. Wydawało mu się, że tylko Harmon i Dru nie odnoszą się do niego powściągliwie, ale był przekonany, że ich przyjaźń nie jest bezinteresowna. Zaraz po uwolnieniu „Menssany” niemal zmusił ich do odbycia z nim długiej i szczerzej rozmowy i wiedział, że bardzo łatwo mogli mieć skutek tego dużo przykrości. Obydwoje zresztą także to wiedzieli.

Towarzyska izolacja była jednak tylko niewielką częścią odczuwanej przez Jonny’ego frustracji z powodu zbyt wolnego tempa podróży. Wiedział, że istniała duża szansa, aby nie dopuścić do wojny, ale tylko w przypadku, gdyby dotarł na Asgard, zanim rozpocznie się wymiana ognia. Na Asgard i na zebranie członków Najwyższego Komitetu. Miał nadzieję, że Jame będzie mógł to ułatwić, gdyż nie wierzył, aby Wrey zechciał mu w czymkolwiek pomóc.

W końcu jednak „Menssana” wylądowała na Adirondack, w docelowym punkcie wszystkich lecących przez korytarz statków... i wówczas dopiero Wrey wyciągnął swój najważniejszy atut.

– Przykro mi z powodu wszystkich niedogodności, jakie mogą państwa spotkać w związku z podróżą na wasze macierzyste planety – oznajmił grupie pasażerów zgromadzonych przed wejściem do urzędu celnego dannimorskiego kosmodromu. – Niestety, na pokładzie szybkiego statku kurierskiego, jakim zaraz odlatuję na Asgard, nie ma miejsca dla nikogo oprócz mnie i kapitana Tarvna.

– I mnie, jak sądzę – odezwał się Jonny.

– Obawiam się, że nie – odparł z szyderstwem w głosie Wrey. – Zapewne pan pamięta, jak przestrzegałem, aby nie zmuszał pan mnie do wzięcia pana na pokład „Menssany”.

Na chwilę potrzebną na jedno uderzenie serca Jonny zamarł, nie mogąc uwierzyć własnym uszom.

– Nie może pan tego zrobić, Wrey...

– Nie mogę? – zapytał Wrey, złośliwie się uśmiechając. – Proponuję, żeby sprawdził pan to w przepisach, Moreau., To znaczy, jeżeli w ogóle zna się pan na rzetelnym prawie.

Jonny spojrział na pełną zadowolenia z siebie, nalaną twarz tamtego oraz na nikły uśmiezek czający się w kącikach zaciśniętych ust i pomyślał, że oto widzi człowieka małego ducha przeżywającego swoją wielką chwilę. On sam zaś musiał myśleć o wielu innych sprawach naraz, toteż zupełnie się nie spodziewał, że coś tak absurdalnego może się wydarzyć.

– Niech pan posłucha – powiedział cicho. – Sam pan wie, że to śmieszne. Komitet musi jak najszybciej dowiedzieć się o tym, co oznajmił mi dowódca statku Troftów.

– Jasne, o tym tak zwanym tajnym planie zapobieżenia wojnie, o którym nie chce nikomu pan powiedzieć – odparł Wrey niemal pogardliwie. – Może będzie lepiej, jak w końcu zdecyduje się pan zapoznać mnie z nim choć w zarysie, a wówczas z całą pewnością wspomnę o nim komitetowi.

– Nie wątpię, że pan wspomni – rzekł Jonny, zgrzytnąwszy zębami. – Wyba- czy pan jednak, ale nie ufam panu na tyle, by sądzić, że robi pan to we właściwy sposób. Rzecz jasna, zdaje pan sobie sprawę z tego, że pozostawienie mnie tu bez środka transportu z tak ważną informacją już wkrótce wpędzi pana w poważne tarapaty.

– Och, o to bym się nie martwił – odparł Wrey.

Uniósł palec i czterech roślących, odzianych w wojskowe mundury mężczyzn odkleiło się od ścian, pod którymi dotychczas stali, i ruszyło ku nim. Zatrzymali się, otoczywszy Jonny'ego.

– Na pana miejscu też bym się tym nie martwił – dodał Wrey. – Już wkrótce będzie pan pod dobrą opieką.

Jonny popatrzył na strażników, a jego wzrok ześlizgnął się z twarzy, na których malowała się teraz czujność, i spoczął na naszywkach na kołnierzach mun-

durów. Interror, najbardziej elitarna brygada kontrwywiadowczo-antyterrorystyczna w całym wojsku.

– Co to ma, do diabła, znaczyć? – zapytał.

– Będzie pan miał bardzo komfortową podróż na Asgard, chociaż w warunkach wojskowych – odrzekł Wrey. – Ale dopiero po przebadaniu pana pod kątem zmian hipnotycznych i manipulacji, jakie mogły zostać dokonane w pana podświadomości.

– Co takiego? Wrey, o ile ostatnio nie zawieszono najbardziej elementarnych praw obywatelskich...

– Kiedyś pan oświadczył, że przebywał pan przez kilka godzin sam na sam z Troftami – przerwał mu obcesowo tamten. – Być może uwolnili pana tylko dlatego, że przeprogramowali pana w celach szpiegowskich, a może nawet po to, aby pan kogoś zabił.

Jonny poczuł, że ze zdziwienia opada mu szczęka.

– Ze wszystkich najbardziej niedorzecznych... nie może pan zarzucać mi czegoś takiego i spodziewać się, że choć przez kwadrans ktokolwiek zechce traktować to poważnie.

– Niech się pan nie unosi, panie gubernatorze. Nie próbuję panu niczego „zarzucać”. Postępuję tylko zgodnie z przyjętymi procedurami. Zostanie pan uwolniony za... ile to dni, mówił pan kiedyś? Co najmniej od trzech do pięciu? Rzecz jasna, uwolnienie pana od wszelkich podejrzeń będzie wymagało większości trzech czwartych głosów badających pana osób.

Jonny zgrzytnął zębami po raz drugi. Wrey naprawdę mścił się na nim, jak najlepiej umiał.

– A co będzie, jeżeli zmarnuję tu tylko czas, siedząc z aparaturą biomedyczną na karku, podczas gdy pana opowieść o napaści Troftów na nasz statek doprowadzi do wybuchu wojny, do której można nie dopuścić? – zapytał. – Czy taka możliwość nie przyszła panu do głowy?

Na krótką chwilę oczy Wreya straciły trochę z widocznej w nich buty.

– Nie sędzę, żeby istniała taka groźba – odparł. – Wkrótce zresztą i tak znajdzie się pan na Asgardzie. – Uśmiechnął się przebiegle, a potem dodał: – Być może. No, dobrze, zabierajcie go ze sobą.

Przez sekundę Jonny walczył z pokusą. Żołnierze jednak bez wątpienia mieli wsparcie w postaci nieumundurowanych kolegów, a poza tym wokół było zbyt wielu cywilów, którzy podczas takiej wymiany ognia mogliby bardzo łatwo stra-

cić życie. Wypuściwszy więc powietrze przez zaciśnięte zęby, pozwolił się odprowadzić na badania.

Jeszcze z czasów, kiedy szkolono go, aby został Kobrą, Jonny pamiętał, że pierwszym elementem takich badań było ustalenie psychofizjologicznego profilu badanej osoby przez odosobnienie jej na kilka godzin i zebranie na jej temat wszystkich danych za pomocą ukrytych kamer i czujników. Efektem ubocznym tej procedury, zwłaszcza u osób, które jej nie znały, było zwiększenie pobudliwości spowodowane zastanawianiem się, co może przynieść najbliższa przyszłość. Jeżeli chodzi o Jonny'ego, wlokące się długie godziny zmarnowanego czasu doprowadzały go niemal do szału. Kilkanaście razy w ciągu pierwszej godziny całkiem serio rozważał możliwość wyrwania się z celi siłą i uprowadzenia międzyplanetarnego statku, ale za każdym razem powstrzymywała go w końcu świadomość, że zbyt wielu rzeczy nie był w stanie przewidzieć. Pod koniec drugiej godziny jego myśli zaczęły się mącić pod wpływem coraz częściej dokuczających mu ukłuc bólu. Zawołał strażnika, ale ten zdecydowanie, chociaż dosyć uprzejmie oświadczył, że dopóki zabrane mu lekarstwa nie zostaną zbadane, nie dostanie ich z powrotem. Jego protesty nie odniosły skutku i musiał powrócić na swoją pryczę, czując, jak w miarę upływu czasu uczucie płonącego w nim gniewu przeradza się powoli w obawę. Wiedział, że wkrótce nie będzie mógł się normalnie poruszać... a wówczas dopiero naprawdę znajdzie się na łasce Wreya.

Przebywał w celi od prawie trzech godzin, kiedy zobaczył cień, który na chwilę przysłonił judasza, a w chwilę później wzmacniacze słuchu uchwyciły jakiś cichy dźwięk, dobiegający od strony drzwi celi.

Odwrócił głowę w tamtą stronę i napiął mięśnie... drzwi jednak się nie otworzyły. Zamiast tego niewielkie, umieszczone pod nimi półkoliste zagłębienie obróciło się, ukazując tacę z jedzeniem. W chwilę później w judaszu pojawiła się twarz strażnika.

– Dziękuję – odezwał się Jonny, wstał i podniósł tacę.

Kiedy doszedł z nią do pryczy i ponownie usiadł, jego zmysł powonienia uchwycił dobrze mu znany zapach gotowanych adirondackich potraw.

– Nie ma za co – odparł strażnik i przerwał, jak gdyby chciał powiedzieć coś więcej, ale na chwilę się zawahał. – Czy naprawdę jest pan jedną z tych Kobr, które ocaliły Adirondack przed Troftami? – spytał w końcu.

Jonny unosił właśnie łyżkę zjedzeniem do ust, ale słysząc te słowa, znieruchomiał.

– Tak – powiedział. – Czy pochodzi pan z tej planety? Strażnik kiwnął głową.

- Urodziłem się i wychowałem tu, w Dannimor. A pan gdzie wówczas stacjonował?

- W Cranach. - Siatka, jaką zabezpieczono okienko, uniemożliwiła Jonny'emu zobaczenie twarzy strażnika, ale ocenił, że mógł liczyć najwyżej trzydzieści kilka lat. - Zapewne jest pan zbyt młody, by pamiętać coś z czasów wojny?

- Pamiętam wystarczająco dużo - odrzekł strażnik. - Moja rodzina miała wielu krewnych w Paryżu, kiedy miasto zostało zrujnowane. - Na wspomnienie tych czasów zacisnął usta. - Miałem także wuja, który wtedy mieszkał w Cranach. Może go pan znał, nazywał się Rob Delano.

- Niestety, nie. - Jonny wrócił pamięcią do twarzy i nazwisk znanych mu wówczas ludzi... a razem ze wspomnieniami przyszedł mu do głowy pewien pomysł. - Niech pan mi powie, jak długo mam przebywać w takim odosobnieniu?

- A o co panu chodzi? O odwiedziny, czy o coś w tym rodzaju?

- Chociażby o rozmowy telefoniczne. Być może gdzieś w pobliżu mieszkają ludzie, których nie miałem nadziei spotkać już nigdy w życiu. W tym czasie, kiedy jestem tutaj zamknięty, mógłbym się chociaż z niektórymi przywitać.

- No, nie wiem... być może będzie to możliwe, ale trochę później.

- Czy może mi pan chociaż przynieść książkę telefoniczną albo jakiś spis nazwisk, żebym mógł zorientować się, którzy z nich mieszkają najbliżej? - nalegał Jonny. - Moje odosobnienie mimo wszystko nie ma być żadną karą, jest tylko częścią procedury mającej przygotować mnie do szczegółowych psychofizjologicznych badań. Powinno być mi wolno chociażby mieć coś do czytania.

Strażnik zmarszczył brwi, ale po chwili namysłu wzruszył ramionami.

- Nie jestem pewien, czy dowódca straży uzna to za coś do czytania, ale go zapytam.

- I proszę mu przy tej okazji przypomnieć, że jestem funkcjonariuszem władz Dominium, i to wcale nie najniższego szczebla - powiedział łagodnie Jonny.

- Tak jest, proszę pana.

Twarz strażnika zniknęła.

Jonny zaczął znów jeść, starając się nie rozbudzać w sobie zbyt wielkich nadziei. Nie wiedział jeszcze, co mógłby zdziałać, gdyby dysponował książką telefoniczną ani nawet gdyby mógł liczyć na pomoc swoich dawnych sojuszników, do których zamierzał się dodzwonić, ale uznał, że od czegoś musi zacząć. Jeżeli nie

osiągnie nic więcej, będzie miał chociaż pojęcie o tym, jak bardzo Wrey go nie znosi i jak długo zamierza przetrzymać.

Skończył posiłek, odstawił tacę na poprzednie miejsce i właśnie się zastanawiał, czy się nie położyć, kiedy powrócił strażnik.

– Dowódca straży jest nieuchwytny – oznajmił, nie ukazując Jonny’emu swojej twarzy, kiedy zabierał tacę i zamiast niej umieszczał w zagłębieniu niewielki komputerowy pulpit. – Jest pan jednak przedstawicielem władz Dominium, a więc myślę, że to powinno być coś w sam raz dla pana.

Jego twarz pojawiła się znów w okienku, przez które obserwował, jak Jonny idzie po urządzenie i wraca z nim na pryczę.

– Jestem panu bardzo wdzięczny – odezwał się do niego Jonny. – Książka telefoniczna jest na tej magnetycznej karcie?

– Tak – i obejmuje okręg Cranach, Dannimor i kilkanaście innych mniejszych miast, znajdujących się w pobliżu. – Przerwał na chwilę. – Czytałem kiedyś o tym, że wy, Kobry, radziliście sobie naprawdę dobrze – dodał. W jego głosie było coś, co zwróciło uwagę Jonny’ego.

– Robiliśmy tylko, co było w naszej mocy – przyznał. – Rzecz jasna, nie mogliśmy tego zrobić, gdyby nie pomoc ludzi z cywilnego ruchu oporu.

– Albo raczej na odwrót – poprawił go strażnik. – Czy pan wie, że w tej następnej wojnie nie będziemy mogli liczyć na pomoc żadnych Kobr?

Jonny skrzywił się.

– Nie wiedziałem, ale wcale nie jestem tym zaskoczony. Wojsko chce pewnie zorganizować oddziały normalnej partyzantki, jeżeli wybuchnie wojna?

– Kiedy, a nie j e ż e l i – poprawił go znów strażnik. – Jest teraz u nas kilka grup Strażników i oddziałów Alfa. Niektóre z nich organizują sieć obrony ludności cywilnej.

Jonny kiwnął głową, kiedy w końcu zrozumiał, co zwróciło jego uwagę w głosie strażnika.

– Trochę się pan obawia, prawda? – zapytał. – Wojna zawsze przyprawia ludzi o strach... ta wojna jednak wcale nie musi się rozpocząć.

– Tak, słyszałem, jak mówili coś na ten temat chłopcy z Interroru. Powiedzieli, że Kobra, który został uwarunkowany pod hipnozą, dokonałby samouni-
cestwienia.

– To przestało już być prawdą. Zaraz po zakończeniu wojny pozbawiono nas urządzeń umożliwiających nam coś takiego. A zresztą, ja nie zostałem uwarunkowany pod hipnozą ani przez Troftów, ani przez kogokolwiek innego.

– Ten gość z Najwyższego Komitetu, Wrey, uważa, że pan został. Jonny uśmiechnął się gorzko.

– Wrey jest krótkowzrocznym idiotą, w dodatku rozpieranym przez obrażoną dumę. Musiałem dosłownie zmusić go, żeby zabrał mnie ze sobą z Aventyny, a później uratowałem mu skórę, kiedy „Menssanę” zaatakowali Troftowie. To, co teraz wyprawia, jest tylko jego sposobem pokazywania mi, gdzie powinno być moje miejsce.

– Ale czy musiałyby pan wiedzieć, gdyby w pana organizmie ktoś dokonał jakiejś zmiany?

– Oczywiście. Każda taka manipulacja wymaga pogrążenia pacjenta w stan nieświadomości lub przynajmniej częściowej świadomości, a ja mam w swym organizmie czujniki, które by mnie ostrzegły przed jakimikolwiek chemicznymi, optycznymi czy dźwiękowymi sposobami dokonywania tego rodzaju przeobrażeń.

Strażnik z namysłem kiwnął głową.

– Czy Wrey o tym wie? – zapytał.

– Nie dał mi szansy, żebym mu to powiedział.

– Rozumiem. No cóż... Chyba muszę zająć się teraz innymi obowiązkami. Po pulpit wrócę trochę później.

– Dziękuję jeszcze raz – rzekł Jonny, ale twarz strażnika zdążyła już zniknąć.

I co to wszystko miało znaczyć? – zaczął rozmyślać, trochę zaniepokojony. – O co w tym wszystkim miało chodzić? O zdobycie informacji? Przywrócenie zaufania? A może ktoś to robił celowo, starając się dowiedzieć, co można ze mnie wyciągnąć? Może Wrey zdecydował się opóźnić o kilka godzin swój odlot, pragnąc oszczędzić sobie trudu zabierania go na Asgard? Jeżeli byłoby to prawdą, Jonny miał przed sobą naprawdę długie oczekiwanie. Ułożywszy pulpit komputerowy na kolanach, zabrał się do poszukiwań.

Weissmann, Dane, Nunki – nazwiska kilkunastu przybranych rodzin i co najmniej dwukrotnie większej liczby znajomych, a także nazwiska i twarze żyjących i zabitych Kobr – wszystko to podsunęła mu pamięć tak łatwo, jak gdyby tamtych czasów nie dzieliła dwudziestosześcioletnia przerwa. Przez prawie pół godziny przeszukiwał książkę w jedną i w drugą stronę tak szybko, jak pozwalały

mu na przebieranie po klawiszach sztywniejące palce, a przez następną godzinę szukał nieco wolniej, w miarę jak potok zapamiętanych nazwisk przemienił się najpierw w strumyk, a później wysechł całkowicie.

Nie odnalazł nikogo ze znajomych.

Patrzył bezmyślnie na ekran i nie mógł pogodzić się z tym, na co patrzyły jego własne oczy. To prawda, że Adirondack wciąż jeszcze zaliczano do grupy planet z pogranicza, bo ciągle cywilizowano na niej nowe obszary -ale czy możliwe, aby w ciągu dwudziestu sześciu lat wszyscy, których znał, przenieśli się w inne miejsca?

Wciąż starał się to jakoś zrozumieć, ale usłyszawszy za drzwiami celi jakiś odgłos, uniósł głowę. Szczęk otwieranych wielu zamków dał mu czas na wsunięcie komputerowego pulpitu pod poduszkę. Później drzwi celi się otworzyły i do środka weszła dosyć młoda kobieta.

- Pan gubernator Moreau? - zapytała.

- Tak - odparł Jonny i kiwnął głową. - Mam nadzieję, że reprezentuje pani tu jakąś władzę.

Po jej twarzy przemknął skurcz, ale tak szybko, że Jonny nie zdążył się zorientować, co to było.

- Nie zaprzeczam - powiedziała i odwróciła się w stronę stojącego u jej boku strażnika.

Jonny nie omieszkał zauważyć, że był to inny strażnik, a nie ten, z którym rozmawiał trochę wcześniej.

- Wezwę pana, kiedy skończę - dodała.

- Dobrze, pani doktor - odparł strażnik i wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

- No, cóż, panie gubernatorze, pańskie lekarstwa zostały przebadane - odezwała się żywo, sięgnęła do małej torby u pasa i wyjęła z niej dwie fiołki, które przedtem zostały Jonny'emu odebrane. - Domyślam się, że będzie pan chciał je zażyć, zanim przystąpię do dalszych badań.

Jonny zmarszczył brwi.

- Badań?

- To zwykła formalność. Zechce pan teraz wziąć lekarstwa. Jonny usłuchał, a ona usiadła obok niego na prycy.

– Muszę teraz uzyskać kilka danych na temat stanu pańskiego organizmu – powiedziała, wyjmując z tej samej torby niewielki cylinder. – Proszę siedzieć i nic nie mówić.

Włączyła urządzenie i po chwili celę wypełniło dziwne, przenikliwe buczenie.

– Bardzo się zmieniłeś, Jonny – powiedziała tak cicho, że z trudem mógł usłyszeć, co mówi. – Nie byłam pewna, że to ty, dopóki nie usłyszałam twojego głosu.

– Słucham?

– Proszę cię, staraj się mówić cicho i jeśli możesz, nie poruszaj wargami.

Powoli przesunęła buczącym urządzeniem przed jego klatką piersiową, przez cały czas spoglądając na umieszczony na nim wskaźnik.

Jonny poczuł, jak na czoło występują mu krople zimnego potu. Ponownie przyszło mu do głowy, że jest poddawany jakiejś próbie... ale jeśli tak było, stawka w grze była o wiele za wysoka. Nawet bierna zgoda na współpracę z tą kobietą mogła narazić go na zarzut konspiracji.

– Kim pani jest? – wymamrotał cicho, starając się jak najlepiej umiał mówić bez poruszania wargami.

Po raz pierwszy spojrzała mu prosto w oczy, a w kącikach jej ust zagościł dziwny, szelmowski uśmiech.

– Czy już nie pamiętasz swojej uczennicy, którą kiedyś uczyłeś geometrii gwiazdnej? Geometrii?

– Danice? Danice Tolan?

Uśmiech na jej twarzy stał się trochę bardziej widoczny.

– Wiedziała, że nie mogłam zmienić się aż tak bardzo! – Nagle jej twarz spoważniała. – A teraz: co robisz w więzieniu wojskowym Dominionum?

– Oficjalnie przebywam tutaj, bo rozmawiałem z Troftami na temat pokoju, i w związku z tym uważa się, że mogę być niebezpieczny. W rzeczywistości zaś trzymają mnie tutaj, bo tak nakazał jakiś małostkowy gość z komitetu, któremu nastąpiłem na odcisk.

– Pokoju – powtórzyła Danice, jak gdyby chciała delektować się tym słowem. – Czy z twoich rozmów wynikało coś, co można byłoby nazwać postępem?

– To właściwie nie były formalne negocjacje, ale tak, myślę, że mógłbym zapobiec wybuchowi wojny. To znaczy, gdyby udało mi się przekonać Najwyższy Komitet, że mam rację.

– Czego z pewnością nie będziesz mógł zrobić, siedząc tutaj – powiedziała, spoglądając na niego upartym, taksującym wzrokiem. – Jak długo zamierzają cię tu trzymać?

– Wrey powiedział, że od trzech do pięciu dni, a może nawet dłużej. On jednak odleciał już na Asgard, a ja nie mam pojęcia, co zrobi przewodniczący, kiedy Wrey mu powie, że zostaliśmy zatrzymani i uwięzieni przez Troftów.

– Myślisz, że mogą chcieć od razu wypowiedzieć wojnę?

– Skąd mam coś takiego wiedzieć? Ty mi to powiedz... Na temat polityki prowadzonej przez władze Dominium musisz mieć teraz o wiele więcej informacji ode mnie.

Danice tylko przygryzła lekko wargę, a przez całą następną minutę w pomieszczeniu było słycać jedynie buczenie jej sondy. Dwa razy przerywała badania i nastawiała coś na tarczy przyrządu, a Jonny zauważył zmartwioną minę, która w miarę upływu czasu pojawiała się coraz częściej.

– No, dobrze – mruknęła w pewnej chwili. – Zrobimy to jeszcze dzisiaj. Możliwe, że wykryłam tętniaka w twojej tętnicy wątrobowej... Konieczna będzie wizyta w szpitalu, żebyśmy mogli dokładniej się temu przyjrzeć. Tylko nie pozwól, żeby badał cię ktokolwiek inny.

Nie czekając na odpowiedź, wyłączyła urządzenie i kazała wezwać dowódcę straży. Dowódca nie był zachwycony pomysłem przewiezienia Jonny'ego do szpitala, ale z tonu jej głosu i zmartwionej miny wywnioskował, że uważa Kobrę za bardzo ważnego więźnia. Nie upłynęło piętnaście minut, a Jonny i Danice w towarzystwie licznej i dobrze uzbrojonej grupy strażników jechali przez pogrążone w zapadającym mroku ulice ku najnowszemu i najlepiej wyposażonemu szpitalowi w mieście. Ostatnim kontaktem Jonny'ego z głównym nurtem badań medycznych był ten tuż przed odlotem na Aventinę, i teraz wielkie wrażenie wywarły na nim postęp i dokładność, jaką w ciągu tych wszystkich lat osiągnęła aparatura medyczna. Wielowarstwowe, niemal natychmiast uzyskiwane holograficzne obrazy narządów mogły być wyświetlane w aż czterokrotnym pomniejszeniu lub w powiększeniu do dwudziestu tysięcy razy, a w dodatku z podświetlonymi strukturalnymi i chemicznymi zmianami. Danice posługiwała się urządzeniem z szybkością świadczącą o nabytej wprawie i już wkrótce mogła umiejscowić i pokazać mu obszar ciała z rzekomym tętniakiem tak wyraźnie, że nawet Jonny'emu wydawało się, że dostrzega go na hologramie.

– Będzie konieczna operacja – odezwała się do najstarszego stopniem strażnika. – Proponuję, żeby pan skontaktował się ze swoim dowódcą i uzgodnił z nim tok dalszego postępowania. Może zechce przekazać panu nazwisko chirurga, który powinien przeprowadzić operację, a może będzie miał też jakieś inne uwagi. Ja w tym czasie podam środki uspokajające i zrobię zastrzyk z leku rozszerzającego naczynia, by osłabić ciśnienie w miejscu tego tętniaka.

Strażnik kiwnął głową i sięgnął po telefon. Po kilku chwilach do sali wprowadzono podnoszony stół, który z powodu długiego, sięgającego do podłogi prześcieradła nieprzyjemnie kojarzył się Jonny'emu z trumną. Położono go na nim, a Danice wyjęła ze znajdującej się z boku stołu szafki aparat do zastrzyków i dwie ampułki. Wstrzyknęła ich zawartość Jonny'emu w ramię i odłożyła aparat, a potem zaczęła nakładać na jego twarz maskę tlenową.

– Po co to wszystko? – zapytał jeden ze strażników.

– Potrzebny mu będzie zwiększony dopływ tlenu, żeby skompensować obniżone ciśnienie – powiedziała. – Który pokój, panie pielęgniarzu?

– Trzysta siódmy – odparł mężczyzna, który przyszedł z podnoszonym stołem. – Gdyby wszyscy zechcieli odsunąć się trochę na bok...

Z idącą obok stołu Danice przeszli przez labirynt szpitalnych korytarzy i w końcu znaleźli się przed drzwiami do trzysta siódemki. Jonny z powodu swojej maski tylko z trudem mógł dojrzeć cyfry na drzwiach pokoju.

– Poczekać tutaj, aż operacja dobiegnie końca – poleciła Danice strażnikom. – W środku jest zbyt mało miejsca, by pomieścić tylu gapiów.

Leżącego na stole Jonny'ego wepchnięto do środka i umieszczono równolegle ze stojącym w niewielkiej alkowie łóżkiem. Później Danice i pielęgniarz stanęli po przeciwległej stronie stołu – bliższej drzwi, za którymi zostali strażnicy – ujęli krawędź blatu...

I obrócili go w taki sposób, że Jonny znalazł się w całkowitym mroku.

Wszystko odbyło się tak niespodziewanie, że nie potrafiłby powiedzieć, co się stało w ciągu kilku uderzeń serca. Widocznie blat podnoszonego stołu dokonał półobrotu wokół swojej dłuższej osi, a on sam znalazł się twarzą w dół w wydrążeniu zrobionym w górnej części stołu. Nad sobą słyszał stłumione dźwięki, świadczące o unoszeniu z blatu jakiegoś ciężaru... po chwili poczuł, jak stół odsuwa się od łóżka... usłyszał krótką dyskusję, ale słów nie zrozumiał... później zdał sobie sprawę z tego, że jest znów w ruchu, kilka razy zakręca, zjeżdża na dół windą...

Kiedy w końcu obrócono go z powrotem twarzą do góry, znajdował się tylko z Danice na podziemnym parkingu.

– Szybko! – szepnęła, rozpinając krępujące go pasy. – Musimy wyekspedować cię w przestrzeń, zanim się zorientują, że to nie ty leżysz w tamtym łóżku.

– A kto mnie zastępuje? – zapytał Jonny, kiedy puścili się truchtem w kierunku szarego, nie wyróżniającego się niczym szczególnym samochodu.

– Fritz – jeden z naszych medycznych robotów. – Danice usiadła za kierownicą i głęboko odetchnęła. – Mieliśmy tylko kilka minut na to, żeby trochę zmienić mu rysy twarzy, ale sprawa wyjdzie na jaw, kiedy ktoś zechce ściągnąć mu tę maskę.

– Może chcesz, żebym ja prowadził? – zapytał Jonny, widząc napięcie w jej oczach. Energicznie potrząsnęła głową.

– Kiedyś i tak muszę do tego się przyzwycząć. Równie dobrze może to być teraz.

Wyjechała z parkingu na podjazd, a z niego skręciła na zatłoczoną o tej porze ulicę. Jechali przez kilka minut, a potem Jonny zadał nieuniknione pytanie:

– Dokąd teraz?

– Za dwie godziny odlatuje na Palmę statek towarowy – powiedziała, nie patrząc na niego. – Zapłaciliśmy kapitanowi krocie. Zabierze na pokład mały jacht kosmiczny i pilota. Wystarczy, jeśli mu powiesz, gdzie i kiedy powinien odłączyć się od statku.

Jonny kiwnął głową, czując niejakie oszołomienie szybkością, z jaką to wszystko się toczyło.

– Wolno zapytać, komu powinienem za to podziękować?

– Naprawdę chcesz to wiedzieć? Jonny zastanowił się przez chwilę. To nie było trywialne pytanie.

– Tak – odrzekł w końcu. Danice westchnęła.

– No, dobrze. Po pierwsze, możesz pozbyć się wszelkich obaw. Nie jesteśmy żadnymi przestępcami. Prawdę mówiąc, w pewnym sensie działamy z upoważnienia Połączonego Dowództwa Wojsk Dominium. Chociaż po tym, co zrobiliśmy, to wszystko może ulec zmianie. Nazywa się nas Organizacją Obronną Podziemnego Ruchu Oporu i oczekuje, że w czasie tej wojny będziemy robili to samo, co ty i podziemie z czasów moich rodziców podczas tamtej. Tyle że tym razem nie będziemy dysponowali żadnymi Kobrami.

– Mówisz to samo, co jeden z moich strażników – mruknął Jonny. – To on ci o mnie powiedział?

Danice spojrzała na niego z nie ukrywanym zdumieniem.

– Orientujesz się tak szybko, jak zawsze. Dobrze to zapamiętałam. Tak, to on nas powiadomił. Jest jednym z tajnych łączników między wojskiem a podziemiem, chociaż wątpię, czy jego przełożeni zdają sobie z tego sprawę. To on, używając naszego systemu telekomunikacyjnego, dał nam znać o twoim aresztowaniu.

– I przekonał was, że z mojego powodu warto narazić się legalnej władzy? Danice uśmiechnęła się z goryczą.

– Nic podobnego. Wszyscy, którzy nam pomagają, sądzą, że to jeszcze jedne ćwiczenia. Porywanie Więźnia Sprzed Nosa Obcych, egzamin końcowy.

– Z wyjątkiem ciebie?

Odpowiedź była oczywista, nie musiał nawet o to pytać.

– W czasie tamtej wojny byłam jeszcze dzieckiem, Jonny – odezwała się cicho. – Wspomnienia tamtych lat jednak są tak silne, że będą mnie prześladowały przez całe życie. Nie chcę przechodzić przez to jeszcze raz od początku... ale jeżeli Dominium wypowie wojnę, nie będę miała innego wyjścia.

– Może to nie będzie konieczne – odezwał się niepewnie Jonny.

– Co to ma znaczyć: „może nie będzie”? – wybuchnęła. – Czy sądzisz, że wdadają się we wszystko tylko dla zabawy? Dobrze wiedzą, że Adirondack będzie pierwszym i głównym celem ataku Troftów i wcale nie muszą mówić tego, że w żaden sposób nie będą mogli nas obronić. Naga prawda wygląda tak, że spisują nasz świat na straty i pozwalają nam tonąć lub pływać o własnych siłach. To wszystko nie ma żadnego sensu. – Przerwała i głęboko odetchnęła. – Przepraszam cię, Jonny. Jestem pewna, że Aventina także wiele dla ciebie znaczy. Ale nie widzę sensu w poświęcaniu Adirondack, a może także Silvern i Iberiandy w wojnie toczonej wyłącznie z zemsty.

– Nie masz mnie za co przepraszać – zapewnił ją Jonny. – Żaden świat nie powinien walczyć o prawo do życia dwa razy w ciągu jednego pokolenia.

Danice pokręciła ze znużeniem głową.

– Nie znasz ani połowy całej prawdy – powiedziała. – Nie wiesz nic o wstrząsach społecznych, jakie wywołała tamta wojna. Po jej zakończeniu napisano na nasz temat kilka książek, w których wymieniono nazwiska wielu ludzi należących wówczas do podziemia. No i Połączone Dowództwo doszło do wniosku, że

w przypadku kolejnej napaści Troftów życie tych ludzi może być zagrożone, więc przed jakimiś pięcioma laty wezwano wszystkich wymienionych w tych książkach, zmieniono im nazwiska i kazano przenieść się w inne miejsca na planecie. Z wielkim trudem udało mi się odnaleźć moich rodziców, a oni do tej pory nie wiedzą, co stało się z połową ich najlepszych przyjaciół.

Na horyzoncie przed nimi Jonny dostrzegł wieżę kontrolną kosmodromu, odcinającą się na tle ostatnich śladów ciemnej czerwieni na południowo-zachodnim niebie.

– Ten pilot, którego wybrałaś, także uważa, że wszystko to tylko ćwiczenia?
– zapytał.

– Teoretycznie, tak. On jednak jest bardzo sprytny. Być może więc domyśla się całej prawdy. A zresztą, będziecie mieli kilka dni, żeby o tym podyskutować. – Obdarzyła go przeciągłym, zamyślonym spojrzeniem. – Zapewne nie podoba ci się, że musisz powierzyć swój los i życie w ręce innych osób, prawda? Domyślam się, że nawyków Kobry nie można się tak łatwo pozbyć.

– Nie tak trudno, jak myślisz – odparł Jonny, kręcąc głową. – Twoje wspomnienia o mnie są wspomnieniami dziesięciolatki. W tamtych czasach moje życie także zależało od innych ludzi w takim samym stopniu, w jakim twoje teraz.

Co, rzecz jasna, nie było żadną odpowiedzią na jej pytanie. Naprawdę nie znosił, kiedy jego los zależał od kogokolwiek, zwłaszcza gdy stawka w grze była taka wysoka.

Ale to było coś, do czego mógł się przyzwyczać.

– Tu biuro przewodniczącego D’arla – odezwała się znudzonym głosem urzędniczka, kiedy tylko jej twarz pojawiła się na ekranie.

– Proszę z Jame’em Moreau – powiedział Jonny, uważnie ją obserwując. Gdyby okazała chociaż najmniejszym gestem, że go poznaje...

– Kto mówi? – zapytała.

– Teague Stillman. Byłem kiedyś burmistrzem jego rodzinnego miasta. Proszę powiedzieć mu, że to ważna sprawa.

Jonny na chwilę wstrzymał oddech, ale ona powiedziała tylko: „Proszę chwilę poczekać”, a jej twarz na ekranie została zastąpiona widokiem stylizowanej kopuły. Zapewne taki miejscowy symbol, mający oznaczać: „Nie wyłączać się” – domyślił się Jonny, uruchamiając automatycznie zegar w obwodach nanokomputera. Miał zamiar dać Jame’owi na zgłoszenie się tylko dwie minuty, zanim dojdzie

do wniosku, że urzędniczka, zamiast połączyć go z bratem, wezwała na pomoc gliny. Musiałby wówczas wynosić się gdzie pieprz rośnie...

– Cześć, Jonny.

Jonny odwrócił wzrok od ulicy, gdzie wypatrywał najdogodniejszej drogi ucieczki, i popatrzył na ekran. Jeśli nawet Jame był zaskoczony widokiem brata, po jego twarzy nie można było tego poznać.

– Cześć, Jame – odparł niepewnie. – Hm...

– Linia nie jest na podsłuchu – upewnił go Jame. – U ciebie wszystko w porządku?

– W porządku, tylko bardzo potrzebna mi jest twoja pomoc. Muszę...

– Tak, wiem już wszystko na ten temat – nie dał mu dokończyć Jame. – Niech to diabli, Jonny... posłuchaj, gdzie właściwie jesteś?

Jonny poczuł, jak za gardło zaczynają ścisnąć go lodowate palce.

– Dlaczego pytasz?

– A jak myślisz? – odparł pytaniem Jame i z widoczną irytacją machnął ręką.
– A zresztą, rób, jak uważasz. Ja i tak aż za bardzo nadstawiam za ciebie karku.

Jonny zgrzytnął zębami.

– Dzwonię z publicznej rozmównicy przy ulicy V'awter, nieco na pomoc od Parku Carle'a. Jame westchnął.

– No, dobrze. Przyjadę tam po ciebie najpóźniej za pół godziny, a może nawet kilka minut wcześniej. Tylko tym razem nie ruszaj się stamtąd, rozumiesz?

– Rozumiem. I dziękuję.

Napięcie widoczne dotychczas na twarzy Jame'a jakby trochę zmalało i nawet pojawił się na niej nieśmiały, z trudem zauważalny uśmiech.

– No to w takim razie do zobaczenia.

Przyjechał dokładnie po dwudziestu minutach samochodem, który nawet dla kogoś tak nieobytego z ostatnimi osiągnięciami przemysłu motoryzacyjnego jak Jonny sprawiał wrażenie najnowszego modelu.

– Ładny – odezwał się, kiedy usiadł w głębokim i wygodnym fotelu obok swojego brata. – O klasę czy dwie ładniejszy od dawnego gruchota naszego taty.

– Niedługo będzie taki ładny, jeżeli ktoś nas zauważy – odparł cierpko Jame, kiedy udało mu się włączyć do miejskiego ruchu. – Mamy szczęście, że listy goń-

cze za tobą rozesłano tylko wśród wojska, a nie ludności cywilnej. Co właściwie chciałeś osiągnąć, uciekając z miejsca odosobnienia?

– A co myślisz? Miałem siedzieć bezczynnie jako prywatny więzień Wreya i czekać, aż ten pompatyczny idiota doprowadzi do wybuchu wojny?

– Przyznaję, że Wrey jest małostkowym egocentrykiem, ale ma przynajmniej tyle inteligencji, żeby dobrze dbać o własną skórę – burknął Jame. – Nie pozostałby cię tam dłużej niż przez dwa dni... a zresztą, załatwił ci patrolowiec Oddziałów Gwiazdnych, który miał cię zabrać na Asgard, jak tylko zakończą badania. Lecąc z tak dużą prędkością, z jaką latają te patrolowce, byłbyś tutaj już przed czterema dniami, to znaczy w jeden dzień po przylocie Wreya.

Jonny zacisnął dłonie w pięści. Czyżby naprawdę ocenił Wreya tak niesprawiedliwie?

– Niech to diabli – mruknął tylko. Jame westchnął.

– Tak więc zamiast stanąć przed komitetem i przedstawić im swoje zdanie, znalazłeś się na liście osób poszukiwanych wojskowym listem gończym. Nie sądzę, by sam Wrey wierzył w swoją bajeczkę o zawarciu przez ciebie prywatnej umowy z Troftami, ale łatwość, z jaką twoi przyjaciele cię uwolnili, sprawiła, że wielu naszych ludzi dostało nerwowych drgawek. A jeśli już o tym mowa, w jaki sposób udało ci się to wszystko zorganizować?

– To nie moja zasługa. No, dobrze, przyznaję, że zasłużyłem na naganę. Ale to nie zmienia faktu, że komitet musi wysłuchać tego, z czym przybywam.

Jame pokręcił głową.

– Nie ma na to najmniejszej szansy. Nie przedostałbyś się przez pierwsze drzwi Kopuły.

Nagle Jonny zdał sobie sprawę z tego, że zamiast kierować się do centrum miasta, zdążali w stronę jego przedmieść.

– Dokąd jedziemy? – zapytał.

– Do wiejskiej posiadłości przewodniczącego D'arla. Jonny poczuł, jak nagle w ustach robi mu się bardzo sucho.

– Dlaczego?

Jame spojrzał na niego, marszcząc brwi.

– Sam przecież powiedziałaś, że chciałbyś z kimś porozmawiać. Przewodniczący D'arl zgodził się z tobą spotkać.

– W swojej prywatnej rezydencji – stwierdził z przekąsem Jonny. Tam, gdzie bardzo łatwo mógł zniknąć tak, aby nikt o tym się nie dowiedział.

Jame westchnął.

– Posłuchaj, Jonny. Wiem, że nie lubisz przewodniczącego, ale to jedyny sposób, by cię przyjął. I powiem ci bez ogródek, że nigdzie w Kopule nie znalazłbyś uważniejszego słuchacza. – Popatrzył na starszego brata. – Daj spokój. Usiądź sobie wygodnie i się odpręż. Wiem, że w tej chwili wydaje ci się, że masz przeciwko sobie cały wszechświat, ale jeśli nie zaufasz swojemu partnerowi od walk na poduszki, to komu?

Wbrew swoim chęciom Jonny poczuł, jak na twarzy pojawia mu się nikły uśmiech.

– Być może masz rację – przyznał.

– Oczywiście, że mam rację. A teraz: została niecała godzina, żebyś zapoznał mnie z dziejami aventińskiej gałęzi naszego rodu. Nie marnuj więc czasu i zacznij.

Podmiejska posiadłość D’arla była co najmniej tak duża jak cała Capitalia. W pewnej chwili Jonny pomyślał, że był to wiejski odpowiednik rezydencji Tylera i otaczających ją terenów na Adirondack, na których kiedyś walczył. Środki bezpieczeństwa były także odpowiednie do jej rozmiarów. Ich samochód zatrzymały sześć razy grupy uzbrojonych w różną broń strażników, a przy każdym szlabanie, przy którym przystawali, wzmacniacze wzroku Jonny’ego pozwalały mu dostrzec ukryte wokół zdalniaki i trzymany w odwodzie żołnierzy, czających się pod drzewami czy dziwacznymi rzeźbami. Bracia Moreau byli jednak widocznie oczekiwani, gdyż strażnicy przepuszczali ich bez zadawania jakichkolwiek pytań.

Główny budynek sprawiał takie samo wrażenie, jak cała rezydencja – wspinały i wielki, o wnętrzu emanującym tym samym spokojnym luksusem i pięknem, jaki Jonny dostrzegł już dawno temu na międzyplanetarnym statku D’arla. Pomyślał wtedy, że kryje się za tym dobry gust jego właściciela, ale teraz, po kolejnych jedenastu latach spędzonych na zajmowaniu się polityką, lepiej rozumiał kryjące się za tym ostrzeżenie: właściciel nie należał do ludzi, których można przekupić.

D’arl oczekiwał ich w niewielkim gabinecie zaprojektowanym z pewnością z myślą o cichej pracy w samotności, a nie prywatnych czy publicznych audyencjach. Uniósł głowę, kiedy wchodzili, i bez słowa wskazał im krzesła ustawione już naprzeciwko jego biurka. Usiedli. Przez chwilę przewodniczący spoglądał w milczeniu na Jonny’ego.

– No, cóż, panie gubernatorze... bo wciąż jeszcze jest pan gubernatorem, prawda? – zaczął w końcu. – Wygląda na to, że swoim drobnym dyplomatycznym wypadem narobił pan niezłego bałaganu. Domyślam się, że brat uświadomił panu, jak idiotyczną rzeczą była ucieczka z Adirondack, więc daruję sobie jakiegokolwiek dalsze uwagi na ten temat. Proszę mi teraz powiedzieć, dlaczego pana zdaniem warto, żebym narażał dla pana swoją skórę.

– Ponieważ dysponuję informacją na temat Zgromadzenia Troftów, którą, jak sądzę, pan nie dysponuje – powiedział spokojnie Jonny. – Uważam też, że ta informacja może powstrzymać wybuch wojny. „Największe dobro dla jak największej grupy ludzi”... czy nie według tej reguły zwykł pan postępować?

Wargi D’arla drgnęły w ledwo zauważalnym uśmiechu.

– Pańskie umiejętności polityczne wyraźnie się poprawiły, panie gubernatorze – odparł. – No, dobrze. Zacznijmy może od tego, dlaczego przed chwilą nazwał pan Imperium Troftów zgromadzeniem.

– Ponieważ tak nazywają je sami Troftowie i ponieważ jest nim w rzeczywistości. Nie istnieje żaden rząd centralny, a przynajmniej nie mają niczego takiego, co odpowiadałoby zasięgiem władzy naszej Kopule czy komitetowi. Zgromadzenie nie jest w gruncie rzeczy niczym innym jak nieformalnym stowarzyszeniem małych, liczących od dwóch do trzech planet grup, które nazywają domenami.

D’arl zmarszczył brwi.

– Wybacz pan, ale nie mogę w to uwierzyć. Nie uważam, żeby zbieranina takich domen, których interesy mogą być przecież wzajemnie sprzeczne, była zdolna przeciwstawić się sile militarnej całego Dominium i to przez trzy lata.

– To prawda – przyznał Jonny. – Ale ja nie powiedziałem, że ich interesy są sprzeczne. D’arl pokręcił głową.

– Indywidualne interesy niemal zawsze gwarantują konflikty, a takie muszą wystąpić między tyloma domenami.

– Chyba że pojawiłby się jakiś problem tak ważny, że dla wszystkich najważniejszy – powiedział cicho Jonny. – Taki na przykład jak inwazja obcych istot. Nas.

– Jonny, to Troftowie zaczęli tamtą wojnę, a nie my – odezwał się Jame. – To nie propaganda. Osobiście czytałem przesyłane nam raporty.

– Więc być może czytałeś też raport wyprawy badawczej na Scorpionii 471 – odparł Jonny. – To właśnie, zdaniem Troftów, było przyczyną wybuchu wojny.

D'arl otwierał usta, aby coś odpowiedzieć, ale zamiast tego tylko sięgnął po komputerowy pulpit leżący na małym stoliku stojącym obok jego krzesła.

– Myślę, że wiem, o co chodzi – rzekł Jame.

– Był to niewielki układ podwójnej gwiazdy, który Dominion uznało za godny uwagi ze względu na istnienie tam źródeł surowców – odezwał się D'arl. – Ale zgodnie z tym, co mam tu zapisane, pierwsza nasza wyprawa miała miejsce prawie dziesięć lat przed atakiem Troftów na Silvern.

– Tak jest – rzekł Jonny i kiwnął głową. – Tyle czasu zajęło domenom, które poczuły się zagrożone, przekonanie innych, że nie da się tego rozstrzygnąć bez wojny.

Przez dłuższą chwilę D'arl spoglądał na ekran pulpitu, bębniąc palcami po oparciu.

– Usiłuje pan mi powiedzieć, że przez całe trzydzieści lat komitet błędził po omacku – odezwał się w końcu.

Ton jego głosu wskazywał, że nie miał to być zarzut, a raczej myślenie na głos.

Jonny wzruszył ramionami.

– Troftowie nie mieli zamiaru rozpowiadać czegoś, co najprawdopodobniej uznali za bardzo groźne dla siebie pod względem militarnym. A wszystko, co od tej chwili robili, bardzo przypominało sposób, w jaki podobne sprawy załatwia się w Dominion. Ale objawy takiego stanu rzeczy można było zaobserwować, o ile oczywiście liczby podane mi przez komandora statku Troftów są prawdziwe. Czy pamięta pan, ilu przedstawicieli wysłali Troftowie na rozmowy pokojowe zaraz po zakończeniu wojny?

– Przysłali... zobaczymy: dwudziestu sześciu przedstawicieli starszych rangą. Oprócz nich... na Iberiandę przyleciało jeszcze osiemdziesięciu czterech doradców i pomocników.

– Dwudziestu sześciu. A ilu ludzi wysłało na te rozmowy Dominion? Dziesięciu?

– Dwunastu. I pamiętam, jak przewodniczący H'orme narzekał, że nasza delegacja wydaje mu się zbyt liczna. – Popatrzył na Jonny'ego. – Dwadzieścia sześć domen Troftów?

Jonny kiwnął głową.

– Po jednym przedstawicielu z każdej położonej w tym rejonie pogranicza. Tylko z tych, które czuły się zagrożone możliwością powstania naszego osadnic-

two. Ale w rok później rozpoczęły się negocjacje o prawo do przelotu tak zwanym korytarzem Troftów. Oceniam, że istnieniem tego korytarza mogło się poczuć zagrożonych około osiemdziesięciu kolejnych domen.

D'arl już przebierał palcami po klawiaturze.

– Stu sześciu starszych rangą przedstawicieli – potwierdził, z niedowierzaniem kręcąc głową. – Dokładnie o osiemdziesięciu więcej.

– Były także i inne objawy – odezwał się Jonny w ciszy, jaka zapadła po tych słowach. – Komandor, który pozwolił nam odlecieć, zapewne nie przejmował się tym, że łamie rozkaz, gdyż czuł się usprawiedliwiony istniejącą sytuacją. Także podczas wojny, kiedy mnie schwytano, jakiś niższy rangą oficer nie pozbawił mnie życia, postępując z pewnością wbrew rozkazom. Może pamiętasz, Jame, kiedyś ci o tym opowiadałem.

Młodszy Moreau tylko zmarszczył brwi.

– Pamiętam... ale uważam, że nie rozumiesz prawidłowo. Tak wielka autonomia jednostek terytorialnych już sama w sobie jest zła, ale jeśli przeniesiesz ją na szczebel wyższego dowództwa wojska, będziesz musiał się liczyć z chaosem i nieuniknioną anarchią.

Jonny wzruszył ramionami.

– Szczerze mówiąc, sam nie bardzo to rozumiem przyznał. – Komandor statku Troftów starał mi się wyjaśnić, w jaki sposób ich system stopniowania szacunku i posłuszeństwa oparty na dotychczasowych osiągnięciach każdej jednostki sprawia, że społeczeństwo funkcjonuje bez konfliktów, ale wciąż jeszcze brzmi to dla mnie bardziej jak bajka.

– No, dobrze – odezwał się nagle D'arl. – Przypuśćmy na chwilę, że wszystko to jest prawdą. I co dalej? Jonny odwrócił się w jego stronę.

– Jeśli tak, sprawa uniknięcia wojny sprowadza się po prostu do usunięcia przyczyny, dla której domeny się zjednoczyły. Mówiąc wprost, należy pozwolić im na zamknięcie tego korytarza.

– Wykluczone – odezwał się D'arl tonem nie dopuszczającym dyskusji. – Zgodnie z oficjalnym stanowiskiem władz Dominium korytarz ma pozostać otwarty, a Troftowie zapłacą bardzo drogo, jeżeli kiedykolwiek go zamkną.

– Zasady polityki Dominium nie są wyryte w kamieniu – rzekł Jonny. – Powodem tej groźby było to, że Dominium chciało ochronić Awentinę przed napaścią Troftów. Świetnie, ale teraz mamy większą szansę przetrwania i to bez tej

ochrony, a jeśli ceną ma być utrata kontaktów z wami, jesteśmy gotowi ją zapłacić.

– Czy na pewno? – zapytał go D’arl. – A co będzie, kiedy zaczną się psuć wasze urządzenia i systemy elektroniczne? Aventina nie dysponuje na tyle rozwiniętym zapleczem technicznym, aby utrzymać te wszystkie urządzenia w ruchu.

– To prawda, ale Troftowie nimi dysponują. Nie wątpię, że będziemy mogli prowadzić z nimi handel, tak jak Dominion handluje z nimi teraz.

– Nasz handel z nimi praktycznie nie istnieje. Prowadzimy go właściwie tylko ze względu na potrzeby wywiadu.

– Och, niechże pan da spokój – parsknął Jonny. – Wie pan równie dobrze jak ja, o czym mówię. Praktycznie każdy statek kurierski lecący na Aventinę zatrzymuje się w drodze, by handlować z Troftami. Jak pan myśli, z jakiego innego powodu domeny znajdujące się w sąsiedztwie korytarza godziły się z jego otwarciem przez te wszystkie lata? Dostawały od nas rzeczy i informacje, za które w przeciwnym razie musiałyby płacić wysokie cło innym, znajdującym się wokół nich domenom.

D’arl spojrzał na niego z kwaśną miną.

– Jeżeli o to chodzi, staramy się właśnie znaleźć sposób na ukrócenie tego pokątnego handlu. Jonny rozłożył szeroko ręce.

– No, teraz ma pan najlepszą szansę.

– Panie gubernatorze, obawiam się, że wciąż pan nie rozumie realiów miejscowej polityki. Komitet zajął stanowisko i nie możemy teraz się z niego wycofywać, nie mając naprawdę istotnego powodu.

– Więc niech pan jakiś wymyśli – odciął się Jonny, czując, jak zaczyna tracić cierpliwość. – Jest pan wytrawnym politykiem, z pewnością pan nie pozwoli, aby taki drobiazg jak prawda stał na drodze do osiągnięcia pańskiego celu. – D’arl nachmurzył się, ale Jonny mówił dalej, nie pozwalając mu dojść do słowa. – Aventina nie chce wojny. Troftom także specjalnie na niej nie zależy. Pozostali ludzie też z całą pewnością jej nie pragną. Czy komitet naprawdę jest tak żądny krwi, że przestaje się liczyć nawet z wolą wszystkich obywateli?

– Jonny! – odezwał się ostrzegawczo Jame.

– W porządku, Moreau, dam sobie jakoś radę – odrzekł D’arl. – Panie gubernatorze, jutro rano przekażę komitetowi pana zdanie. Uważam, że to najlepsze, co mogę dla pana zrobić.

– I to mówi przewodniczący z tak wielkim doświadczeniem? – zakpił Jonny.
– Z pewnością stać pana na więcej niż tylko na bawienie się w reportera.

– Musiałbym dysponować jakimś porządnie umotywowanym i politycznie uzasadnionym powodem, żeby domagać się zamknięcia korytarza – odciął się D’arl. – Musi mi pan dostarczyć powód, który będę mógł uznać za wystarczający.

– Chce pan mieć politycznie uzasadniony powód? – zapytał go Jonny. – Świetnie, zaraz go panu dostarczę.

Wstał, z trudem uświadamiając sobie, że przestaje panować nad ogarniającym go gniewem.

– Jak pan sądzi, co uczyniliby członkowie komitetu, gdyby bawiący z wizytą dostojnik z Aventyny zastrzelił kogoś z ich grona? – zapytał.

– Jonny! – krzyknął Jame i zerwał się ze swojego miejsca.

– Nie wtrącaj się, Jame – ostrzegł go Jonny, nie spuszczać wzroku z D’arla.
– No co, panie przewodniczący? Oznaczałoby to ogłoszenie sankcji ekonomicznych wobec kolonii, prawda? Praktycznie równałoby się to zamknięciu korytarza.

– Zgadza się – odparł z niewzruszonym spokojem D’arl. – Ale nie zastrzelił mnie pan z zimną krwią tylko z tego powodu.

– Tak pan sądzi? „Największe dobro dla jak największej grupy ludzi”, pamięta pan? Cóż to znaczy, że przy tej okazji pan i ja zginieemy? A ja mam oprócz tego inny powód, jeżeli już o tym mowa. Za to, co pan zrobił tysiącom chłopców z Aventyny, nienawidzę pana tak bardzo, że mógłbym pana zabić. Jame, nie wtrącaj się do nas!

Młodszy brat nie zwrócił na niego uwagi. Powoli podszedł do Jonny’ego i stanął między nim a D’arlem. Przez dłuższą chwilę obaj Moreau patrzyli sobie prosto w oczy. Później Jonny wyciągnął ręce, chwycił Jame’a za ramiona, bez najmniejszego wysiłku uniósł go w powietrze i odstawił na bok. Wiedział, że napad złości minął, pozostawiając po sobie jedynie determinację i przeświadczenie, że zabrnął tak daleko, iż nie mógł już teraz się wycofać.

– Panie przewodniczący – odezwał się ponuro do D’arla. – Chciałbym, żeby skorzystał pan z telefonu i zadzwonił do tych członków komitetu, którzy są panu winni jakąś wdzięczność. I to teraz. Nie wątpię, że w ciągu tych wszystkich lat pełnienia przez pana funkcji wielu ludziom załatwił pan to i owo. Dopilnuje pan, aby jutro komitet wyraził zgodę na zamknięcie korytarza.

D’arl nie ruszył się z miejsca.

– Pod groźbą śmierci? Nigdy. A z pewnością nie z powodu pańskich nierozsądnych uczuć względem akcji przeniesienia ośrodka szkolenia Kobr na Awentinę.

Powiedział to tak beztrosko, że Jonny przez chwilę nie mógł wykrztusić ani słowa. Nie pozwalała mu na to dławiąca go wściekłość... ale nagle zrozumiał.

– A więc nic pan nie wie, prawda? – zapytał tonem świadczącym bardziej o rozgoryczeniu niż złości. – Myślę, że pańskich Kobr jeszcze to nie spotkało.

– O czym nie wiem?

Jonny sięgnął do kieszeni po lekarstwa, wyjął dwie fiołki i rzucił je D’arlowi. Przewodniczący złapał je w locie, zmarszczył brwi, czytając nazwy, a potem wystukał je na klawiaturze pulpitu. Po chwili uniósł głowę i spojrzał Jonny’emu prosto w oczy.

– Anemia i artretyzm – powiedział niemal szeptem.

– Tak – odparł Jonny i kiwnął głową, zastanawiając się, dlaczego reakcja D’arla na tę wieść była taka żywa. – Każdy Kobra z pierwszej generacji, jakiego mamy w koloniach, wykrywa u siebie objawy tych dwóch chorób. Nie wątpię, że jest to rezultat naszych implantowanych serwomechanizmów i laminowanych kości. Coraz więcej oznak świadczy także o tym, że i system immunologiczny Kobr został w ten sposób osłabiony. Najbardziej optymistyczne prognozy dają mi nie więcej niż dwadzieścia lat życia, a możliwe, że będę żył znacznie krócej. To jest ta ostateczna spuścizna, jaką zostawił nam pański projekt przeniesienia fabryki Kobr na Awentinę. D’arl patrzył w milczeniu na fiołki.

– To samo zaczyna się dzieć i u nas, panie gubernatorze – odezwał się cicho. – Mniej więcej od roku docierają do mnie raporty o przewlekłych chorobach Kobr, ale jak dotąd te informacje nie były przekonujące w sensie statystycznym... miałem nadzieję, że moje obawy są nieuzasadnione. – Zwrócił głowę w stronę Jame’a i zobaczył zdumienie, malujące się na jego twarzy. – Zleciłem zajęcie się sprawą tych raportów Alveresowi, Moreau... Nie widziałem sensu w niepokojeniu pana stanem zdrowia pańskiego brata.

Jame nabrał powietrza w płuca.

– Panie przewodniczący... – zaczął. – Jeżeli to, co mówił Jonny, jest prawdą... jeżeli korytarz przez tak długi czas był otwarty dzięki pokątnemu handlowi z Troftami, to znaczy, że cały projekt przeniesienia Kobr na Awentinę okazał się rzeczywiście chybiony, a co najmniej przedwczesny.

– Kobry będą tam teraz bardzo potrzebne – odezwał się D’arl.

– Nie będą. – Jonny pokręcił głową. – Postaramy się nawiązać z Troftami kontakty handlowe, a po zamknięciu korytarza przestaniemy stanowić dla nich zagrożenie militarne. Nie zaatakują nas bez powodu, a my postaramy się ich nie sprowokować. I jeszcze jedna uwaga, panie przewodniczący. Jeżeli dopuści pan do wojny, nie będzie mógł pan liczyć na to, że sto tysięcy żołnierzy Troftów będzie zajętych okupacją Awentyny.

– Wspominałem panu o tym – wtrącił się Jame, ale D’arl mu przerwał, unosząc dłoń.

– Spokój, Moreau – powiedział cicho. – Nie mówiłem, że nie chcę pomóc, a tylko, że muszę mieć przekonujące argumenty. Teraz je mam... Zechcą panowie mi wybaczyć.

Wstał zza biurka, przeszedł obok Jonny’ego, niemal się o niego ocierając, i podszedł do ustawionego w kącie niewielkiego stolika.

– Wieża kontrolna – odezwał się w stronę ekranu telefonu. – Mówi przewodniczący D’arl. Proszę przygotować statek numer jeden do podróży. Dowodzić nim będzie Jame Moreau. Listę pasażerów i spis towarów dostarczy panu osobiście. Ostateczny cel podróży: Adirondack... Dziękuję. – Wyłączył urządzenie i odwrócił się w stronę obu braci. – Wracam teraz do Kopuły i zaczynam całą akcję. Panie gubernatorze, pan i pański brat z pewnością zechcecie sporządzić listę rzeczy, które będzie pan chciał zabrać ze sobą tym ostatnim statkiem. Może pan ruszać w drogę, kiedy będzie pan gotów. Zanim pan odleci, skontaktuję się z panem na Adirondack, żeby przekazać ostatnie wiadomości.

Odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia.

– Panie przewodniczący! – zawołał za nim Jonny. – Bardzo dziękuję.

D’arl odwrócił się do niego, a Jonny ze zdumieniem zobaczył lekko ironiczny uśmiech.

– Nie dopuszczę do wybuchu wojny, panie gubernatorze – powiedział. – Ale niech pan mi nie dziękuję, dopóki pan nie zobaczy, jak to zrobię.

Wyszedł z gabinetu, cicho zamykając drzwi za sobą.

Jonny już nigdy więcej go nie zobaczył.

Dla obu był to czas rozstania i obaj o tym dobrze wiedzieli. Przez długą chwilę stali więc w milczeniu obok otwartego głównego wjazdu „Menssany” i patrzyli sobie prosto w oczy. Jonny pierwszy przerwał ciszę.

– Widziałem dziś w porannych wiadomościach pewną informację. Wynikało z niej, że Aventina jest niezadowolona ze sposobu, w jaki Kopuła traktuje Odległe Światy. Reporter, który to czytał, wydawał się tym oburzony.

Jame kiwnął głową.

– Obawiam się, że wkrótce sprawy przybiorą jeszcze gorszy obrót. Kiedy to wszystko się zakończy, zakaz wszelkich kontaktów czy handlu z koloniami będzie wydawał się najmniej drastycznym krokiem, na jaki mógł się zdecydować komitet.

– Innymi słowy, historia ma obarczyć Aventinę wyłączną winą za to wszystko.

– To był jedyny sposób... jedyny polityczny sposób na to, aby komitet wycofał się ze stanowiska zajętego tak dawno temu. Przykro mi, ale nie było innego wyjścia.

Jonny ogarnął spojrzeniem panoramę miasta, porównując w myślach zapamiętany widok Adirondack zniszczonego przez wojnę z tym, na co spoglądał teraz.

– To bez znaczenia – odezwał się do brata. – Będziemy skłonni to zrozumieć, jeżeli zwalenie na nas całej winy pozwoli im zachować twarz.

– Mam nadzieję. Nie słyszałeś o jeszcze jednym, utrzymywanym w tajemnicy powodzie, dla którego komitet zaakceptował propozycję przewodniczącego D'arla.

Jonny zmrużył filuternie oko.

– A mianowicie...?

– Była to nieco zmieniona wersja konfrontacji, do jakiej doszło między tobą a D'arlem w jego rezydencji. Przekonał ich, że Kobry z Aventiny na wieść o tym, że komitet nie zgadza się na zamknięcie korytarza, wpadną w taką złość, iż mogą posunąć się nawet do zamachu na jego życie. – Jame zachichotał. – Wiem, to wszystko jest bardzo dziwne. Od czasu końca tamtej wojny komitet stara się znaleźć niezawodny sposób na pozbycie się swoich Kobr, a teraz, kiedy im się ten sposób daje, trzeba go praktycznie zmuszać, aby to rozwiązanie przyjął.

– Nikt nigdy nie powiedział, że polityka jest czymś racjonalnym – rzekł Jonny, wzruszając ramionami. – Ale funkcjonuje, a to przecież liczy się najbardziej.

– A więc i o tym już słyszałeś – rzekł Jame i kiwnął lekko głową. – Oświadczenie Troftów wydane w odpowiedzi na nasze było naprawdę bardzo ciekawe.

Eksperci twierdzą, że zgodnie z użytymi w nich zwrotami nasza kapitulacja w sprawie korytarza kompletnie ich zaskoczyła.

– Nie dziwi mnie to – odparł Jonny. – Ale na twoim miejscu nie martwiłbym się, że stwarza się w ten sposób jakiś precedens. Pamiętaj, jak trudno będzie domenom się porozumieć i dojść do zgody w sprawie jakichkolwiek przyszłych żądań.

Rozejrzał się po kosmodromie, niemal wbrew samemu sobie mając nadzieję, że być może w ostatniej chwili pojawi się Danice Tolan.

Jame podążył za jego wzrokiem i zrozumiał, o czym brat teraz może myśleć.

– Na twoim miejscu nie liczyłbym za bardzo na to, że przed odlotem zobaczysz swoją przyjaciółkę – powiedział. – Prawdopodobnie przebywa teraz w budynku Połączonego Dowództwa, gdzie zwalniają ją z obowiązków w stylu płaszcza i lasera. Domyślani się, że nagle doszli do wniosku, iż dłużej nie potrzebują niezależnych oddziałów paramilitarnych, kręcących się im po Dominium. – Uśmiechnął się lekko, ale po chwili spowaźniał. – Jonny... mam nadzieję, że nie skazujesz swojego świata na powolną śmierć tylko dlatego, że chcesz zapobiec wojnie, prawda? To znaczy, utrzymywanie kontaktów handlowych z Troftami wygląda bardzo pięknie w teorii, ale w praktyce nikt jeszcze właściwie tego nie próbował.

– To prawda, ale nauczymy się tego dosyć szybko. Dysponując „Menssaną” podwoimy liczebność naszej floty międzygwiazdnej, a to znacznie pomoże nam w nawiązywaniu kontaktów. Poza tym nie zaczynamy zupełnie od zera. – Poklepał dłońią po kieszeni kurtki, w której miał schowaną listę kontaktów handlowych i miejsc wymiany towarów, jaką otrzymał od Randa Harmona i Dru Quorahaim. – Nie martw się, damy sobie radę.

– Mam nadzieję, że tak będzie – odrzekł Jame. – Obawiam się tylko, że nie czeka cię tam świetlana przyszłość. Jonny pokręcił głową.

– Przebywałeś na Asgardzie zbyt długo, aby pamiętać, jak żyje się na pogranicznych światach. Ja zaś właściwie nigdy nie żyłem na żadnych innych. Horizon, Adirondack, a teraz Aventina. Poradzimy sobie, Jame... choćby tylko dlatego, aby pokazać wszechświatowi, że to potrafimy.

– Panie gubernatorze Moreau? – doleciał ich głos od strony czekającego nie opodal statku. – Kapitan przesyła panu pozdrowienia. Mamy zezwolenie wieży kontrolnej na start, kiedy tylko zechcemy.

Tak więc nadeszła chwila ostatecznego pożegnania.

– Uważaj na siebie, Jonny – odezwał się Jame, kiedy jego brat wciąż zastanawiał się, co powiedzieć. – I pozdrów ode mnie wszystkich, dobrze?

– Jasne. – Jonny podszedł do brata i wziął go w objęcia. W oczach obu zakręciły się łzy. – Ty też na siebie uważaj, Jame. I... za wszystko ci dziękuję.

Dwie minuty później stał na mostku „Menssany”.

– Panie gubernatorze – odezwał się do niego kapitan, tylko z częściowym powodzeniem starając się ukryć rozpierający go entuzjazm. Cała załoga zresztą składała się z podobnych do niego ludzi: młodych, idealistycznie nastawionych do życia zapaleńców, którzy z trudem kwalifikowali się do takiej pracy. Spośród grupy ochotników wybrano w tę podróż w jedną stronę tych, którzy posiadali największe doświadczenie. W pewnym sensie mieli być ostatnimi kolonistami, jakich Dominium wysyłało do swoich Odległych Światów. Zarówno oni jak „Menssana” i jej ładunek stanowili pożegnalny prezent od przewodniczącego i komitetu.

– Kurs mamy już wytyczony, a Troftowie zgodzili się, żebyśmy po raz ostatni przelecieli ich korytarzem. Kiedy tylko da pan znak, możemy lecieć.

Spojrzenie Jonny’ego po raz ostatni spoczęło na maleńkiej sylwetce brata znikającej właśnie w drzwiach budynku przylotów.

– Jestem gotów – oświadczył kapitanowi. – Możemy wracać do domu.

Koniec tomu 2